

*Tom Szósty*

# BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

## WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) . rs. 10	} Rocznie . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5	
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50	
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.	
	} Półrocznie (26 tomów) „ 6
	} Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

### DOPLĄTA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . . .	rs. 6 kop. —
Półrocznie . (za 26 tomów) . . . . .	3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . . . .	1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Główni współpracownicy:

Teodor Jeske-Choiński,  
Dr. Julian Ochorowicz,  
Julian Adolf Świącicki.

REDAKTOR I WYDAWCA

*Franc. Jul. Granowski.*

Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 564,  
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

# BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 130.

*995*

# MOJA DRUGA MŁODOŚĆ

z niewydanych pamiętników

## SZYMONA KONOPACKIEGO

(1816—1826).



*Szymon Konopacki*

TOM I.

Cena 40 kop.

W pren. 30 1/2 kop.

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja

47. Nowy-Świat 47.

1900.

Moja druga młodość.

# MOJA DRUGA MŁODOŚĆ

z niewydanych pamiętników

SZYMONA KONOPACKIEGO

b. Prezesa Izby Cywilnej Wołyńskiej i Marszałka powiatu Zastawskiego

(1816—1826).

—  
Tom I.  
—

WARSZAWA.  
DRUKARNIA  
A. T. Jezierskiego  
47. Nowy-Świat 47.

Zbiory specjalne

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
Im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



F U W 0 1 7 6 5 6 7

Дозволено Цепзурою.

Варшава, 18 Октября 1899 года.



M 9 0 8 3 / 1

K-164/80 / M 9 0 8 3  
Z KSIĘGOZBIORU

Zygmunta Salomego

Nr. \_\_\_\_\_

Dla ścisłych moich stosunków z Brunonem hr. Kicińskim, jako już bezczynny, częściej bywałem u jego krewnych, to jest u poważnej wiekiem panny Cieciszewskiej, jego ciotki, gdzie była, jak wyżej wspomniałem, jej siostrzenica, panna Konstancya Łuszczewska. Kazimierz zauważył, iż starannie ubieram się na te wizyty i ztąd zaczął żartować, przepowiadając, iż nowe będą piosneczki. Napróżno upewniałem go, że tylko raz w życiu kochał i że na podobne uczucie nigdy się już nie zdobył, aby wyprowadzić go z błędu, usilnie namawiałem, aby zechciał poznać się z tym domem, a może miła, młodzianka Kostusia potrafi go ująć.

— Nie namówisz mnie na to i zanie jej nie pragnę. Ona nie dla mnie. Mówiłeś mi, że lubo córka ministra, przecież nie więcej mieć będzie posagu, jak sto tysięcy złotych. Choćby ona była aniołem i z piękności i z dobroci, czy mógłbym z nią być szczęśliwym, kiedy zawsze tkwiłoby w myśli to podejrzenie, że ona oddała mi rękę nie dla osoby mojej, ale dla funduszów posiadanych przezemnie, które o kilka razy są większe niż jej posag; a kochać się bez celu nie mogę.

Uśmiełem się z jego dziwacznych zasad i po kilku powtórzonych wizytach, po raz ostatni przed wyjazdem będąc u panny Cieciszewskiej z pożegnaniem, przyjąłem jej list do jej stryja, biskupa łuckiego,

księdza Cieciszewskiego, któremu osobiście oddać go, jadąc przez Łuck, przyrzekłem.

Nastęrczono mi lokaja z dobrymi świadectwami; najalem furmana Żyda z czterema jego końmi; Kazimierz Budzyński do swojego koczka zabrał Ignacego Izbickiego, a ja za nimi koczem p. Morzkowskiego wyruszyłem z Warszawy w piękny dzień maja śród ciągłej pogody. W Puławach miałem wypadek. Furman, zbyt pewny siebie, nieostrożnie spuszczał konie na prom w czasie przebywania Wisły i złamał dyszel u koczka. Za to, nim nowy przyprawiono dyszel, za który z okuciem dałem złotych szesnaście, mieliśmy przyjemność zwiedzić piękny ogród przy pałacu księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Byliśmy w świątyni Sybilli, gdzie nam pokazywano zabytki drogie, tak dla archeologów jakiej bądź narodowości, jako też osobno nieocenione pamiątki krajowe, drogie dla każdego z Polaków. Tam są dochowane z dalekich rozmaitych budowli cegielki, mówiące o starożytności zamierchłej. W tem mnóstwie zabytków z epok historycznych trudno mi było wszystkie szczególnie objąć pamięcią, aby je dziś dokładnie opisać. Poemat Woronicza pod tytułem *Sybilla* wspomina o nich.

W Lublinie westchnąłem cichutko nad poniesioną tu stratą drogiego pieska, danego mi na wiernego stróża przez tę, która nie wytrzymała po kilkunastu miesiącach w swej przyrzeczonej dla mnie wierze.

Na ówczesnej granicy przed Uściliugiem wstrzymano nas. Naczelnik straży granicznej poznał mnie i zrobił uwagę, że w roku 1815 w grudniu jechałem do Warszawy saniami, a dziś wracam nowo kupionym koczem. Miałem gotowe na ten zarzut dwie buteleczki perfum i pachnące mydelka. Oddając je, rzekłem:

— Proszę pana przyjąć to na pamiątkę, że w tym roku w maju nie ma sannej drogi.

Przybywamy do Łucka, tej starej niegdyś,

księztwa wołyńskiego, która stolicy przetrwała liczne klęski w ciągu wieków, najwięcej z częstych pożarów wynikłe; dziś ruinę widocznie poświadczają gruzy upadłych kościołów i klasztorów już na zawsze znikłych, z czego u mieszkańców urosło przysłowie: „*A w naszym Łucku, use ne po ludzku: na dokoło woda, w seredyni bila!*“ Sterczą tam jeszcze potężne bramy murowane i wieże zębate u wierzchu, ślady przedwiecznej fortyfikacji tego grodu. Styr przypomniał mi głośnie tam niegdyś dziwactwo Stefana księcia Czetwertyńskiego, który gdy został Dominikanem i tam wkrótce życia w klasztorze dokonał. Z pozostałą po nim wdową, Regina z Kaszowskich Czetwertyńska, prapradziad mój, Jan Konopacki, 1688 roku ożenił się, o czem w familijnych podaniach szczegółowo napisałem. Tu niegdyś za czasów Kazimierza Wielkiego, udziałnym był księciem Lubart, syn Gedymina, przodek trwającej dotąd rodziny książąt Sanguszków.

Skorośmy się rozlokowali w zajezdnem domostwie żydowskiem, Kazimierz zaczął badać gospodarza, jak z Łucka daleko do wsi Mstyszyna, gdzie mieszkają państwo Pielawscy, i skłaniał nas, abyśmy z nim jechali do nich. On z panią Pielawską i jej córką zabrał znajomość u jej krewnych, Dąbrowskich, w Januszpolu. Chętnie zgodziłem się towarzyszyć mu do Mstyszyna, ale z warunkiem, aby poczekał na mnie, bo wprzód mam tu być u biskupa Cieciszewskiego, aby mu oddać list od jego synowicy z Warszawy, potem być na chwilę u marszałka Stanisława Lipskiego w Hnidawie, która ztąd tak jest blisko, że tę wieś uważają za przedmieście Łucka. Jakoż udałem się naprzód do sędziwego, patryarchalnej postawy biskupa, który znając mego ojca, łaskawie mnie przyjął, a gdy mu list z Warszawy oddałem, badał mnie o krewnych swoich Łuszczewskich i Brunona hr. Kicińskiego. Następnie dojechałem do Hnidawy, gdzie mnie serdecznie powitał Lip-

ski i chciał mnie zatrzymać, lecz krótko tam bawić mogłem, bo mnie oczekiwał kawaler spieszący do panny na wydaniu. Przy pożegnaniu, Lipski oddał mi moje dziesięć dukatów, które pożyczyłem mu, gdy wyjeżdżał z Warszawy. Zaczynając to był człowiekiem i powszechnego też doznawał szacunku, a jak cały powiat łucki kochał tego marszałka, została na to pamiątka w krzyżu św. Włodzimierza, który on otrzymał będąc chorążym, gdy w roku 1812 zastępował marszałka. Ten order IV klasy dało mu zdarzenie następane: Generał książę Bahratton idąc ze swoim korpusem na wojnę z Napoleonem I, gdy stanął ze sztabem swoim w Łucku, kazał przywołać do siebie zastępcę powiatowego marszałka, pana chorążego Lipskiego. Groźnie a treściwie powitał go temi wyrazy:

— Jeśli za trzy dni obywatele nie dostawią do Łucka drewna cztery tysiące fur, to wśród tego miasta każe cię powiesić.

Lipski rozesał natychmiast po powiecie wiadomość o tem postanowieniu. Lasy wprawdzie niedaleko, ale 4,000 fur nie łatwo zebrać. Przecież w oznaczonym terminie drwa w żądanej ilości zwieziono do Łucka i w miejsce szubienicy, Lipski, jako pamiątkę przychylnych mu powietników, krzyż św. Włodzimierza otrzymał.

Wieczorem przybywamy do Mstyszyna. Zastajemy dom oświetlony, a w nim jedyne gościa, generała Ururga. Był to konkurent, jak się później okazało, do ręki panny Pielawskiej. Ojciec jej, wiekiem lat około 90 nachylony, nie dał się nam widzieć. Kazimierz, znany gospodini, prezentował jej obu nas z nim przybyłych. Uderzyło mnie niestosowne do wieku pretensjonalne jej ubranie głowy, upstrzonej sztucznym czerwonym kwiatem i świetnej barwy kokardami wstążek. Pstro w tej głowie—pomyślałem sobie.—Jakoż dowiedziałem się, że na domiar niestosowności do marszerek na twa-

rzy, ta dama, udając młodzieńką, wśród licznych towarzyszy staje do skocznych anglezów. Panna Pielawska, dość przystojna, przyzwoicie wychowana, jak to zwykle mówią, bo umie odezwać się po francuzku i gra na fortepianie, była jedyną pociechą domu, starsza bowiem jej siostra wydana już była za męża, a jaki los ją spotkał, głosi o tem bardzo zajmująca i porządnie napisana powieść przez drogiego przyjaciela mego, Jana Załęskiego, nadesłana z Kaukazu, gdzie on pokutował, a umieszczona w „Gwiaździe“ kijowskiej roku 1849, pod tytułem „Arystokracja z warjaczami.“ Gdyśmy w Mstyszynie nocowali, zapytałem na boku Kazimierza:

— Jakże ci się zdaje? czy panna Pielawska kiedykolwiek ściągnie cię tu jeszcze?

— Bogu to wiadomo. Potrzebuję wprzód pewnych o tym domie wiadomości.

Rozjechaliśmy się z kochanym Kazimierzem Budzyńskim nie pomnę już w jakim punkcie, o trzy lub cztery mile od naszych domów, on z Ignacym Izbickim do swojej Wygnanki pod Lubar, a ja do Szulajek pod Cudnow, do kochanych rodziców. Jakie było powitanie, gdym stanął na progu domowym, łatwo się domyśli, kto doznał szczęścia w stosunkach rodzinnych.

Ojciec rad był, że nie marnował czasu na zbijanie bruków warszawskich, jak o niektórych z sąsiedztwa mawiano i rad był z mego powrotu, bo w myśli sięgał przyszłości, w której bym na prowincyi stał się użytecznym dla swoich. Matkę zaś widocznie cieszyło, że błyszczałem nieznanym w okolicy znakiem, jakkolwiek blahej zasługi. Siostry nacieszyć się mną nie mogły. Opowiadały jak zrecznie mistyfikował je przyjaciel mój Józef Bobrowski, przybywszy tam dwoma miesiącami wprzód. Utrzymywał przed niemi uporczywie, zaklinając się na wszystko, co mu jest najdroższe, że biedny Szymon zostanie już do śmierci kawalerem, i nieprędko, aż za

wejściem do pokoju matki mojej, objawił, że król dał mi order ś. Stanisława. Z tem wszystkiem, sam na sam będąc ze mną, litowały się nad udręczonem sercem mojem wiadomością o zaręczynach Józefy Bierzyńskiej z Turkulem. Starsza żałowała, że tak długo ludził się daremną nadzieją; a młodszą, gdy wspominał przysłowie: *Les absentes ont toujours fort*, usprawiedliwiała Józję, bo wówczas powiedziała mi: *Vous me trouverez libre*, gdy na jej zapytanie, jak prędko wrócę z Warszawy, rzekłem jej te słowa: *dans six mois ou jamais*. Ona więcej niż rok cały oczekiwała ciebie i nakoniec, nie z własnej zapewne woli, bo, jak ci z ust jej wiadomo, wcale nie sprzyjała Turkulowi, lecz za czynnym wpływem otaczających ją ciotek i niezłomnem postanowieniem wuja, jej opiekuna, musiała biedaczka zdecydować się. O! nie będzie ona szczęśliwą, bo ciebie jedynie tylko kochała i do śmierci kochać będzie. Jakże jej nie żałować?

Z całą usilnością otrząsałem się z tych wspomnień, aby nakoniec oswoić się z położeniem obecnem, z woli Boga wynikłem.

Do odesłania kocza o mil kilkanaście w gubernię Kijowską do Koilówki panu Morzkowskiemu, którego córka wyszła później za p. Teodora Bobra, a o którym będę miał niemało do napisania, ojciec mój użył jednego z czynszowej szlachty, i po dniach kilku odebrałem grzeczny list od pana Morzkowskiego z podziękowaniem za dostawienie powozu.

Z pomiędzy kilku sztuk moich malowideł olejnych ojciec wybrał do swego pokoju św. Katarzynę z książką w rękę, z oczami ku niebu, którą pod okiem Villaniego kopiowałem z cudnego oryginału Dominikina.

Zabawiwszy z parę tygodni u rodziców, puściłem się w podróż do familijnych domów: do Wyszczynus, Michałówki, Wagnanki, Przewałówki i Ożarówki, gdzie jeszcze żyła stryjenka mojej matki, sę-

dziwa a pobożna pani skarbnikowa Garbowska, którą lat dziewięćdziesiąt siedem liczono.

Gdy od krewnych wróciłem do domu, ojciec mój miał jakąś potrzebę sprawunków. Dawszy mi na to pieniądze, wyprawił mnie o pięć mil do Berdyczowa, gdzie wówczas ciągnął się trzy lub cztery tygodnie jarmark onufrejski.

W Berdyczowie, porobiwszy sprawunki poleczone mi przez ojca, dowiedziałem się, że tu jest z Niemierzyniec dobrze mi znajoma marszałkowa Abramowiczowa. Mąż jej Józef, urodzony z Budzyskiej, był ciotecznym bratem blizkich mi z mojej matki krewnych. Niegdyś bywałem w ich domu.

Ubrawszy się, jak na wizytę, ani przeczuwam, co mnie tam czeka. Uprzejmie byłem przyjęty przez panią marszałkową. Zastałem przy niej troje jej dzieci: córkę, pannę Cecylię, którą wówczas uważałem za niemylnie narzeczoną mego przyjaciela, Jakóba Cichońskiego, i dwóch młodszych od niej synów: Tytusa i Apolinarego. Z radością powitałem tam Pijara, czcigodnego niegdyś mego profesora, księdza Seweryna Kulikowskiego, który przy tych malcach domowym był czas jakiś gubernierem. Zastałem obcych kilku mężczyzn dobrze mi znanych, pomiędzy którymi powitał mnie poeta ukraiński, Kajetan Marcinkowski, znany z wierszów swoich „o rzekach polskich.“ Zawsze wesoły, zawsze dużo mówiący, pożądanym był niekiedy gościem, chroniącym od uśpienia etykietałnego pomiędzy damami towarzystwa. Gdy w najlepsze rozmaite zabawiamy się gawędą, wchodzi lokaj z oznajmieniem wizyty... pani podkomorzyny Zaleskiej z pannami. Wnet, unikając niemiłego dziś dla panny Bierzyńskiej spotkania się ze mną, chwytam mój kapelusz i chcę żegnać gospodynię. Ta z rąk mi go wyrwa:

— Nie puszczę pana! — zawołała — chcę koniecznie widzieć, jak też spojrzycie sobie w oczy po jej zaręczynach.

Wśród targów o mój kapelusz wchodzą zapowiedziani goście. Smutnaż tam była moja postawa! Po powitaniach z gospodynią, gdy wśród innych mężczyzn i ja powitałem te panie uchyleniem głowy, podkomorzyna, jak zwykle rubaszna, a niegdyś dla mnie łaskawa, dostrzegłszy mój ukłon, zawołała:

— A gdzie to pan zadziałeś się nam na tak długo?

— Sądzę, że pani wiadomo, iż przebywałem w Warszawie.

— Tak, bo przed odjazdem, ale na długo, pan byłeś u nas. Nawet w roku przeszłym na wiosnę odebrałyśmy z poczty grzeczny list jego z książką. Ależ potem na dwa listy nasze nie raczyłeś pan ani słówka odpisać. Czy to grzecznie!

Zdziwiony rzekłem:

— Świadczę się Bogiem, żem żadnego tam listu z Wołczyńca nie odebrał.

— Józiu! — staruszka ozwała się do wnuczki — powiedz szczerze prawdę, jak było?

Zarumieniona, ze spuszczeniem oczu, cicho wymówiła:

— Pisałyśmy dwa listy.

Natychmiast uderzył mnie domysł o niezawodnej intrydze jej wuja i opiekuna, który niechęcią technął ku mnie, o czem wiedziałem od jej brata, Świętosława. Pewnie opiekun, dowiedziawszy się o moim liście przy posyłce książki, zapobiegł dalszej korespondencji, a mieszkając w Pilipach, o mil kilka od matki, mógł dać komuś tajne polecenie, aby odtąd listy z Wołczyńca adresowane do Warszawy i te, jakieby przychodziły odemnie na pocztę machnowiecką, odsyłane były do niego. Mamże ten mój domysł objawić przed nią? Czy to zmieni moje względem zaręczonej położenie? Niech się spełnia wola Boga, niech Bóg losami naszymi rozsądza!

Wkrótce oznajmiono wiecezrę. Wszyscy dali się na nią zaprosić. Było nas osób około dwudzie-

stu. Gdyśmy przeszli do jadalni, Marcinkowski jowialny, jak zawsze, ozwał się do gospodyni:

— Pozwól, pani, abym każdemu z mężczyzn naznaczył miejsce u stołu.

— Bardzo o to proszę — rzekła mu z lekkim uśmiechem, co pewnie wynikło z umowy pomiędzy nimi.

Nie uważałem, gdzie kogo Marcinkowski posadził; ale skoro dostrzegł próżne krzesło przy panie Bierzyńskiej, wnet pośpieszył ku mnie i wskazał mi miejsce przy niej. To wystawienie nas było wyraźnie jakby dla uciechy widzów, którym były wiadome moje kilkoletnie a serdeczne z Wołczyńcem stosunki. Wcalem o to nie dbał. Zrazu, milczący, utkwionem spojrzeniem śledziłem każdy ruch jej odechu. Oczy jej ciągle były spuszczone i ani razu nie zeszyły się z moimi. Nie wiem jak długo trwałoby moje zadumanie nad tym zaprzędanym aniołem, gdyby ktoś z biesiadników nie podjął kwestyi znanej mi w Warszawie młodzieży z Ukrainy, która przy mnie weszła do polskiej służby wojskowej. Spostrzegłem wówczas, jak w milczeniu, oczy wszystkich były na nas oboje zwrócone. Odpowiedziałem na zapytanie i oprzytomniony, zacząłem, niby swobodny i niczem niezajęty, opowiadać szczegóły o licznej szkole podchorążych, o ich oficerach wyższej i niższej rangi, o głównym dowódcy armii, o vice-królu i o całym owoczesnym rządzie Kongresowego Królestwa. Słowem, przez pozór mojej swobody, starałem się zatrzeć smutne wrażenie grochowego na mej głowie wianka, czyli, jak mówi Francuz, chciałem *faire bonne mine à mauvais jeu*.

Gdym zauważył, że już nacieszono się nami, bo zaczęto głośno pomiędzy sobą gwarzyć, chętna mnie wzięła przemówić do niej i przyszło mi na myśl moje pożegnanie jej w Wołczyńcu. Przemówiłem cichutku:



— Przypomina sobie pani, czyliż nie mówię, że nie zastanę pani już swobodną?

— Tak! pamiętam. A na zapytanie, kiedy pan wrócisz, była odpowiedź: za sześć miesięcy lub nigdy; i wówczas to powiedziałam, że pan zastaniesz mnie swobodną.

Tu rozmowa przerwana została, bo w tejsze chwili powstano od stołu. Opuszczając krzesło, zwróciła się twarzą ku mojej stronie, jakby na to, abym w jej rysach wyczytał, nie wiem, czy gniew tak niewłaściwy jej anielskiej dobrobi, czy zasłużoną pogardę. Widziałem tylko silne jej wzruszenie, a oczy zawsze spuszczone, jakby już nie miała ich dla mnie.

Gdym wrócił na swoją kwaterę, mocno nierad sobie i udręczony, zdało się, zem już nad grobem. Przez noc całą, z powodu dreszczy i gorączki, oka nie zmrużyłem. Amen! wołałem, amen szczęściu lat miodnych! O! gdybyż ona przynajmniej z tym dla niej niegdyś „nieznośnym“ mogła być szczęśliwa! Ach! i tego życzenia objawić jej nie miałem przytomności. Roił się po głowie śmiertelny pojedynek na zasadzie dawniejszych praw moich do jej serca. Jeśli on mnie zabije, lżej mi będzie niż teraz. Ona zabójcą pogardzi; a ja przed Bogiem stanę czysty, bom ważył życie w obronie uczuć natchnionych przez Boga! A jeśli on z ręki mojej ma zginąć?... Zkąd pewność, że ona będzie moja?... A gdybym nawet był kochany?... Gdzież ją zaprowadzę?...

Drejące myśli w szalony zamęt mnie wiodły. Samotność! Uchowaj mnie Boże! Za cóż mam karać dobrych rodziców, tak mnie kochających i tak kochanych? Wiara nasza grozi męką pośmiertną. O! bywa ona i za życia. Ta noc stała mi się piekłem, tem silniej dojmującym, zem przezuwał wierność jej dla mnie, bo gdyby była obojętna, czyliżbym widział to dziś tak silne wzruszenie? Tu w miotanych przekleństwach na świat cały i na siebie wzy-

wałem pomsty Boga za krzywdę nam obojgu zrządzoną; i zalałem się łzami dziecka, które za skargą stawi się przed ojcem. Serdeczne a głośne łkania ocknęły ze snu w drugim pokoju mego warszawiaka.

Pocziwy Mazur, niedawny u mnie służący, zapala świecę i wchodzi, a widząc mnie siedzącego w łóżku z niepowstrzymanym płaczem, a z głową rękami objętą, pyta mnie:

— Co to panu? Czy tak boli głowa? Może herbaty trzeba?

— Nic nie trzeba! Idź sobie!

— A tu, proszę pana, zajechał przez sień i stanął jakiś jegomość, kiedy pan się był położył. Widząc mnie w sieni, zapytał o nazwisko pana. Skoro powieźliałem, bardzo się uradował i chciał tu wejść, ałem ja nie puścił; powiedziałem, że pan już śpi, a on na to: No, to do jutra.

— Obudź jego furmana i spytaj, jak się ten jegomość nazywa.

Po chwili Mazur wrócił:

— Już dzień zaczyna; już koniom obrok dają; a ten furman mówi, że jego pan, to Józef, zdaje się, Bobrowski.

— O! Boże wielki! Jakżeś ty dobry! Weź ztąd świecę, może jeszcze zasnę.

I jak dziecię, pieszczotą matki utulone w płaczu, na jej rękę spokojnie zasypia, tak i ja, tą pewnością, że pod tymże dachem jest mój przyjaciel z lat pacholecych, ukojony w ubolewaniach nad sobą, cichym snem pokrzepilem znękanie sily. Już było około dziewiętej, gdym się obudził, a za ledwie ubrany, wpadam przez sień do Józefa, zastaje go na wpół ubranego. Rzucamy się w objęcia:

— Ach! kochany Szymonie! Blisko dwa lata nie widziałem się z tobą. Ależ co ci jest? Czyś ty nie chory? Widzę cię mocno zmienionym!

— Nie dziw się, rzecz dziwna, że jeszcze żyję!

Wyjęczalem przed nim wczorajsze nieszczęsne spotkanie z panną Bierzyńską.

— At! pluń na to! Czy ona warta pocziwego serca twego, skoro bogactwo wyżej nad ciebie ocenia!

— Mój kochany Józefie! Nie potępiaj tej biednej sieroty! Ona jest godną i moich uczuć i litości twojej!

— Powiedz mi tylko, że ona cię zawsze kocha, a wyzwiemy Turkula i zabijemy go!

Zaśmiałem się na tę pewność, że Turkul ma być zabity. — Tak! — rzekłem — zabijemy, lub on mnie zabije. Wiadoma ci moja niegdyś w Żytomierzu sprawa honorowa. Karol Pruszyński publicznie uznał się winnym i dlatego tylko złożyliśmy broń zabójczą. Ztąd wierzysz zapewne, że śmierć wcale mnie nie zastrasza.

Opowiedziałem mu krótką rozmowę wczorajszą z panną, dodając w końcu: — W takim dziś położeniu jestem, że gdybym wydarł ją Turkulowi, i cóż? oto nie miałbym gdzie wprowadzić tego anioła, a hardy wuj i opiekun jej posagu, podejrzywałby mnie, że nie mając kąta, czyham tylko na jej majątek.

— Poczekaj! z zimną krwią rozbierzmy tę sprawę. Jej wuja, pana marszałka, znam dobrze. Gdyśmy jeszcze byli w szkołach, mój ojczym, zagarnawszy nasz sierocy kapitał, na swoje imię za kontraktem dzierżawnym trzymał lat kilka wieś jego Pilipy. Pan marszałek jest to poprostu tuz żołądny, siedzący na worach z pieniędzmi. O szlachetność tam ani pytaj! Czyliż on cię pojmuje, kochany Szymonie? Ale czy nie masz w domu jej babki kogobadź z życliwych dla ciebie?

— Miałem brata panny, Świętosława, który pierwszy dał mi poznać sprzyjanie dla mnie swej siostry i niechęć ku mnie jej wuja. Na biedę moją, Świętosław zamieszkał w Petersburgu, gdzie ma miejsce w ministerstwie spraw zagranicznych.

— A więc pozostaje nam coś wnioskować z jej wyrazów, wczoraj wyrzeczonych. Zdaje się w nich przebijać wyrzut, żeś po sześciu miesiącach nie przybył i że ty wwiodeś ją własnymi słowami w to mylne mniemanie, iż nigdy już nie wrócisz. Może ja się mylę, ale rozważając jej wyrazy i to silne wzruszenie, które w niej dostrzegłeś, zdaje się, że najmocniej kochająca, a tak skromna panna, nie mogłaby więcej powiedzieć na okazanie żalu i niezachwianych uczuć. Obojętna, a z pierścieniem zaręczynowym na rękę, byłaby wesołą w odpowiedzi na wczorajsze twoje przemówienie i pewnie podobnych nie czyniłaby ci wyrzutów. Bądź przeto cierpliw! Ona, jeśli, jak mnie się widzi, jeszcze tobie jest wzajemną, może mu zwrócić jego pierścień, i wówczas on może cię wyzwąć, a ty, mając pewność jej wierności, będziesz miał przynajmniej o co bić się, familia zaś nie zdota jej zmusić do niemiłego dla niej związku z Turkulem. Gdy się tak wyjośnią wasze osobiste stosunki, czyliżbyśmy, u licha, nie zaradzili dzisiejszej trudności co do twego położenia? Wiem, że twój czcigodny ojciec ma coś na procencie, a nakoniec ręczę, że pocziwy Kazimierz, który tak śpieszył do Warszawy, aby cię widzieć, chętnie ci dopomoże. Weźmiesz jakąbądź dzierżawę i hardemu marszałkowi kłaniać się nie będziesz.

Kochany Józef tak łudzającem przypuszczeniem wierności kobiecej ukołysał moje cierpienia. Dzień cały poświęciłem jego towarzystwu w Berdyczowie. Tam on opowiedział mi dziwne sceny przy wyjściu swej pięknej siostry Joanny za Jacentego Czośnowskiego, jak dla niej szalał z miłości ich siwy ojczym i jak nakoniec zmuszeni byli rozpocząć z nim proces o zagarnięte ich sieroce fundusze.

Podczas samotnego powroctu do domu, wątpliwość znów się wkradła, i ztąd przybyłem do rodziców z twarzą zasępioną i zbolalą. Troskliwość matki zbywałem żartami i przybraną wesołością; siostry tyl-

ko wtajemniczone były w mój smutek. Ojcu zdało się, że żem tęsknił za miastem. Raz w ciągu lata przed zniwami rzekł do mnie:

— Pojedziemy rozerwać się trochę do Walejówki. Dawno nie byłem u chorążego Ochockiego, a pan Duklan nawiedza nas niekiedy i bardzo dopytywał się o ciebie.

Po lekkim śniadaniu, ulubionym mego ojca kozykiem bombą, puszczamy się na tę wizytę. Zaledwie wyjechaliśmy za wieś, ojciec ozwał się:

— Zmówmy, synu, godzinki.

Strach mnie przejął; dawno bowiem pożegnałem się z godzinkami, nie dlatego, abym przestał wierzyć w protekcję N. M. Panny, lecz, że niegdyś, przywykły z lat dziecinnych odmawiać je w towarzystwie rodziców, zaniedbałem je, poprzestając na zwykłym pacierzu i modlitwie szkolnej, jaką i dziś jeszcze odmawiam. Przeżegnawszy się, gdy ojciec przemówił: „Zacznijcie wargi nasze chwalić Panne świętą!” trafnie wiersz drugi przywołem. Lecz następnie, gdy zacząłem błąkać się, a ojciec poprawiał i ciągle naprowadzał, zniecierpliwiony na koniec, tak mnie łaskawie nauczał:

— Żle, synu! Świat cię zepsuł, zapomniałeś godzinek! Pamiętaj na to, że jak ty z Bogiem, tak będzie Bóg z tobą! Już ja sam zmówię godzinki.

W Walejówce najmilej mi było powitać gospodynię domu, panią Ochocką, jako siostrę pułkownika Euzebiusza Siemianowskiego, który przez przyjaźń dla mego ojca szukał znajomości ze mną w Warszawie i okazywał dla mnie życzliwość. Chlubilem się przed nią temi z jej bratem stosunkami, a ona, jako dobra przyjaciółka mojej matki, rada była temu. Zastaliśmy tam pana podkomorzego Kajetana Jukowskiego. Człowieczek to był bardzo niskiego wzrostu, ale zwykłą wesołością swoją, umiał zajmować wszelkie towarzystwo. Mieszkał w Bratałowie pod Lubarem, w jednym domu z bratem swoim starszym,

panem sędzią Adamem, i obaj, nie mając własnego funduszu, byli ożenieni z dwiema rodzonymi siostrami, które po swoich rodzicach Suszczewiczach odziedziczyły tę majątność. Dom ich był bardzo poważany. Bezdzietni oba, niepospolitym byli wzorem jedności i zgody braterskiej. Ich żony trudniły się koleją tygodniami zawiadywaniem domem i wydziałem płci swojej, a podobnież kolejne trudy około gospodarstwa, na dłuższe tylko terminy, mężów zajmowały. Ale podkomorzy, który umiał żyć w cichej zgodzie z bratem, nie zawsze pomniał na prawidła życia z ludźmi i w napadach krotoczwili zbaczał przeciw nim niekiedy. Bo też potrzeba nielada rozwagi, aby zamilczeć koncept czasem dotkliwy, jaki się w myśli nawinie. Zwykła to jest wada plujących co chwila dowcipem.

Po obiedzie, w osobnym dla mężczyzn pokoju, przy czarnej kawie, podano nam fajki. Gospodarz, wiekiem zbliżony do lat mego ojca, zaczął przywozić wypadki ostatnich lat Rzeczypospolitej, a mianowicie, jak wówczas magnaci wołyńscy zbywali tanio dobra swoje szlachcie i jak ci umieli z czasu korzystać. Tu podkomorzy przerywa, zwracając się do mego ojca:

— Naprawdę rzekłszy, ty, panie starosto, prześlepiłeś pomysły 1791 roku kontrakty dubieńskie.

— Mylisz się, panie podkomorzy, bo wówczas nabyłem bardzo tanio wieś Ożarówkę od Żurowskiego i dnia tegoż, bez najmniejszego zarobku, odstąpiłem ją stryjowi mojej żony, skarbnikowi Garbowskiemu, jako przyległa do wsi Wygnanki, gdzie mieszkała córka jego z Wojciechem Budzyńskim. Względ ten należał się odemnie dla skarbnika, bo z jego domu pojąłem dobrą moją żonę.

— Ależ—przerywa Jukowski—na tych kontraktach pan, dowiedziawszy się, że w Szulajkach, na błocie osadzonych, są wzdłuż rzeki sadzawki, gdzie



dzikie gnieźdzą się kaczki, jako zapalony myśliwy, wyrzekłeś się wszelkich z ziemi korzyści, byle swemu dogodzić upodobaniu strzelania z ganku do kaczek i wlepiłeś sto tysięcy złotych na zastawę dwóch błotnych wiosek, Szulajek i Raciów.

Dotknął mnie pan Jukowski tym żartem, na który ojciec mój odpowiedział mu:

— Trzeba najprzód wiedzieć, że moja żona zczyła sobie zamieszkać blisko sióstr swoich Budzyńskich, a po odstąpieniu Ożarówki jej stryjowi już nie było nic podobnego do nabycia i ztąd owe te wioski prawem zastawu objąłem. Mój panie podkomorzy, wolno ludziom mniemać o szczęściu, jak się podoba; ja rad mojej mierności, dziękuję Bogu, że z dochodów tego, jak nazywacie, błota, spłaciłem dług, jakie ciążyły na wiosce w Łuckim powiecie, spadłej po moim ojcu, i z tegoż błota dałem za pomocą Bożą wychowanie moim pięciorgu dzieciom.

A ja na to ozwałem się do p. podkomorzego:

— Oto brat pana, Piotr, umiał najrzęczniejsz z ostatnich czasów rzeczypospolitej korzystać!

Pan podkomorzy wnet spuścił z tonu. Utkwił oczy w ziemię i zamilkł, a baczny gospodarz, wiedząc o przyczynie jego zmieszania się, natychmiast zmienił przedmiot i zaczął nas zajmować opowiadaniem o świetnych czasach Łabunia, gdzie on w młodości swojej, dawnym obyczajem, był dworzaninem przy kijowskim wojewodzie Stępkowskim.

Gdyśmy dnia tego wracali do domu, ojciec mnie zapytał:

— Co ty wiesz o bracie podkomorzego, Piotrze Jukowskim?

Opowiedziałem zdarzenie następane: — W roku przeszłym w Warszawie, będąc raz na obiedzie w traktyerni, gdzie zwykle jadał, wypadło mi siedzieć obok nieznanego mi starca, porządnie ubranego. Załedwie podano mi zupę, wchodzi młody oficer

z polskiej gwardyi pieszej, z którym w zażyłej byłem znajomości. Powitał mnie podaniem ręki i usiadł z drugiej strony przy mnie. Ten oficer, spoufalony ze mną, zajmował mnie ciągłą rozmową, a ów starszyszek, nieznamy nam obu, nie spuszczał oka z niego. Po skończonym obiedzie oficer, zapłaciwszy, co się należało, pożegnał mnie i odszedł, a ja i mój sąsiad, gdyśmy kazali podać sobie czarnej kawy i fajek, jak wielu innych pozostałych biesiadników, zaczęliśmy z sobą rozmowę. On pierwszy przemówił do mnie:

— Przebacz pan, że mu nieznamy, śmiem zapytać, kto jest ów oficer, co z panem rozmawiał?

— Jest to Podolanin, syn, jak wnoszę, bogatego obywatela, bo, jak mi mówił, ojciec przysyła mu corocznie trzy tysiące dukatów na utrzymanie, które na jego potrzeby nie wystarczają.

— A nazwisko?

— Jukowski.

Na to uśmiechnął się i rzecze:

— Tak! zgadłem! Bo też to wykapany ojciec i z mowy, i z ruchów, i z twarzy, jakby miniatura pana Piotra!

— Pan znasz jego ojca?

— O! Boże mój! Nietylko dobrze go znałem, ale gdy był w biedzie, nieraz go moim karmiłem chlebem; ale słuszniej było dać go psu niż jemu, bo on go nie wart był, jak się okazało. Służyliśmy razem pod Kościuszką 1794 roku. Jukowski grywał w karty i czasem tak się zgrywał, że jako kolegę, wypadało przez litość utrzymać go przy życiu. Ze niekiedy mawiano, iż on w grze używa sztuczek szulerskich, to jeszcze mniejsza. Ale, panie! Wstyd wspomnieć to o koledze! Pod Maciejowicami, pan Piotr korzystał z popłochu, skradł wojenną kasę i oparł się z nią w Tarcynie. Tam tak podłatał kieszeń, że nareszcie mógł nabyć znaczny na Podolu majątek, Brahiłowszczyznę. Takim był tego

oficera ojciec; łotr wierutny, panie! Publiczny złodziej!

Na to mój ojciec:

— Przypominam sobie, że dawniej mówiono mi o tem, tylko nie z takimi szczegółami. Ale ty, synu, niepotrzebnie zawstydziliś podkomorzego wspomnieniem o Piotrze; bo cóż on winien, że brat jego wykroczył?

— Prawda — rzekłem, że podkomorzy nie ma żadnej na sobie plamy; ale nie należało mu żartować sobie z człowieka poważnego wiekiem i godnego szacunku, jak dziś postąpił z kochanym ojcem.

— Ja nie mam o to urazy—przerywa ojciec.— On takiej jest natury, że ować się nie może bez konceptu; i dlatego może i słusznie mówią, że do-wcipniś bawi, ale szacunku nie wzbudzi, bo łatwiej mu obrazić najszczerszego przyjaciela, niż zamilczeć koncept obraźliwy, jaki mu przyjdzie do głowy.

Wkrótce potem, dni pierwszych lipca tegoż 1817 roku, mój ojciec, nie mając zamiaru jechać na wybory do Żytomierza, gdzie nas obu, mnie i brata mego Franciszka, miał wysłać, pragnął pomówić z Budzyńskimi, Kazimierzem i Marcelem, o kandydacyach na urzędy gubernialne i nowogródwołyńskie, gdzie oni oba wotowali. Wziął przeto mnie z sobą i po drodze wprzód zajechaliśmy do Przewałówki, gdzie wówczas mieszkali Marcelemowstwo. Trafiliśmy na porę przedobiedną, a zastajemy i tam podkomorzego Jukowskiego. Ujrawszy go, przyzwolicie powitałem z tem w duchu postanowieniem, aby po owej u Ochockiego wzmiance o jego niegodnym bracie, tu w niczem mu nie uchybić. U stołu siedziałem naprzeciw podkomorzego. W ciągu obiadu ktoś z domowych nadmienił o nowo wyszłej z druku poezji. Pan podkomorzy, wcale nie literat, zabiera głos:

— Powiem szanownym państwu otwarcie, że u mnie poeta, niedość, że próżniak, ale poprostu wa-

ryat, bo po co mu łeb suszyć na dobieranie rymowych końcówek, kiedy przecież my, ludzie przy zdrowych zmysłach, rozumiemy się, rozmawiając prozą? Dodam jeszcze i to, że u mnie poeta nie wart jest ani czci, ani wiary; bo on dla rymu gotów poświęcić nietylko własne przekonanie, ale nawet wszelką świętość religii, jeśliby mu wypadło w miejscu Boga napisać dla kadencyi choćby o szatanie. O! bo to rzecz musi być nielada dobieranie rymów; i tak na przykład, proszę pana, jak tu obmyślić kadencyę (obrócił się do mnie), jeśli pierwszy wiersz kończy się na takim wyrazie: *dyszal*?

Ja mu na to, domyślając się, że on chce mnie dotknąć przymówką:

— Naprzód, zdaje mi się, że poeta z natchnienia wcale nie suszy głowy nad rymem; on mu sam nieproszony stawi się w potrzebie. A co do wyrazu *dyszal*, o którym pan wspomniałeś, jako niepodobnym do zrymowania, ja ważyłbym się naśladować Jana Kochanowskiego, który w poważnym wierszu o zwycięstwie Polaków za Zygmunta-Augusta użył raz jeden pewnej poetycznej licencyi: oto u niego w pierwszym wierszu był końcowy wyraz *głęboko*. Poeta w drugim wierszu, bez pracy nad rymem, rozdziela ostatni wyraz mu potrzebny, i pisze: *oko*, trzeci zaś wiersz zaczyna od reszty wyrazu rozdzielonego, i napisał: *-liczności*. Ja przeto, idąc za tym ojcem poetów naszych, który owej licencyi raz tylko użył, gdybym miał zlorzeczyć jakiemu łotrowi za jaką kradzież publicznego dobra, jeśliby przypadkiem w wierszu moim był na końcu wyraz *dyszal*, drugi wiersz kończyłby się także rozłamanym wyrazem; i napisałbym: *ty szal*-, a w trzecim wierszu, dokończyłbym myśl moją sylabą: *-ma!* Zaśmiał się na głos mój ojciec, któremu podobano się rozwiązanie podanej trudności, i zawołał:

— Wykręcił się, jucha!

A pan podkomorzy udał uśmiech tylko.

Tegoż dnia byliśmy w Wygnance u Kazimierza Budzyńskiego i z nim razem zdążyliśmy o milę do Ożarówki, gdzie jego babka i matka mieszkały. Tam zastaliśmy marszałkówną z Bukarów Wyleżyńską i jej siostrę pannę Maryę, którą nazywano Maryanna. Obie te panie były w żałobie po niedawno umarłym ojcu. Łączyło je powinowactwo z domem ciotki mojej Budzyńskiej, której córka jedyna, Julia, była od lat kilkunastu za ich stryjem, wysokich zalet człowiekiem, Sewerynem Bukarem. Te obie żałobne panie znałem z lat najmłodszych. Rodzice moi bywali we wsi Lemieszach u ich ojca, marszałka żytomierskiego, Marcina Bukara, który był starszym bratem Seweryna, i jeszcze po polsku się nosił; bywali też i w Burakach, u ich babki, poważnej wiekiem i dawnymi obyczajami pani sędziny Bukarowej, gdzie pani Wyleżyńska i jej siostra brały wychowanie, i gdzie miejscowy kapelan, pamiętny mi ksiądz Paizy, wykladał im naukę religii. Stosunki światowe tych Bukarów były z wyższej sfery. Marcin był ożeniony z Moniką Hańską, panną posażną, której brat Wacław, dziedzic dóbr licznych tu i w gubernii Kijowskiej, był niedawno naszym gubernialnym marszałkiem, a siostra starsza była wdową po znakomitym tak z prawnej głowy, jako też z rozrobionych głową milionów Morzkowskim, niegdyś prezesie kijowskiego sądu głównego, a która córkę swoją z czterema milionami posagu wydała za księcia Karola Jabłonowskiego z Ostroga; z dwóch zaś obecnych tu córek Marcina Bukara starsza, Kunegunda, była małżonką Jana Wyleżyńskiego, członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a spokrewnionego także ze znakomitymi domami; matka bowiem jego, Karwicka z domu, była siostrą generała Krzysztofa Karwickiego, który był ożeniony z Franciszką Małachowską, córką kanclerza wielkiego koronnego. Te wszystkie świetne stosunki podnosiły ich znaczenie w mniemaniu okolicznych domów. Przecież sędzina Bukarowa, starszka powszechnie

szanowana, równie jak jej synowie, Marcin, Seweryn, Adryan i Józef, jako też jej córka, wprzód generałowa Raczyńska, potem marszałkowna Nagórska, a ostatecznie Woroniczowa, podobnie jak państwo Wyleżyńscy, nawiedzali niekiedy dom szlachecki moich rodziców, tak z tytułu powinowactwa przez związek Seweryna z Budzyńską, po której on wziął sześć-kroć sto tysięcy złotych w posagu, jako też ze wzajemnego szacunku.

Pani Wyleżyńska, młoda jeszcze mężatka, bardzo ujmująca grzecznością, przytem przystojna a żywa, jak prawie wszystkie brunetki, dostrzegła we mnie jakiś tajony smutek. Po wieczery, wśród gwaru towarzystwa, usiadła na kanapie przy mnie i zaczęła badać:

— Co to panu jest? widzę wielką w jego humorze zmianę, jak gdybyś w poezyi swojej naśladował Yunga, co z wielką przyjemnością czytaliśmy w „Pamiętniku warszawskim”, oplakiwał istotnie stratę przyjaciela. Ale powiem panu otwarcie, w obronie płci mojej, co w tych wierszach wydało mi się niewłaściwym dla młodych lat pana. Doradzasz tam strzedz się miłości, jako zwodniczej dla młodzieży uludy. Ktośby sądził, że ówa rada pochodzi z ust człowieka lat sędziwych, który z własnego niegdyś doświadczenia podaje młodszym naukę.

Zbyteł ten zarzut uśmiechem, a rzuciłem jakąś obojętną kwestyę, byle się nie tłumaczyć na jej podejrzenia o swoim smutku. Ona wkrótce, ponawiając rozmowę o tej poezyi, dodała:

— Ale nie uwierzysz pan, jak ów lamentujący artykuł jego w „Pamiętniku” silnie sprawił wrażenie na mojej siostrze. Wpływa na to jej dotkliwe położenie. Ona biedaczka, z lat niemowlęcych wypieszczona u matki i u babki, a nadewszystko u naszego kochanego ojca, wszystko to utraciła i nad ich grobami potoki łez wylała. Zład, jako istotna sierota, przeżywszy to wszystko, co najmocniej w życiu ko-

chała, patrzy dziś na świat, jakby księżyc wśród nocy jakąś mgłą przykryty. Wszystko posepne, wszystko smutkiem tchnące, do jej duszy przemawia. Śmiałam się i żał mi jej było, gdy kilka dni temu zastałam ją płaczącą nad poezią pana.

A co starcze?... Po upływie lat pięćdziesięciu kilku, złapałeś sam siebie na gorącym uczynku. Musisz wyznać jak było: oto miłość własna podszeptała ci, że biedaczka sierota godną jest twego szacunku, bo cię zrozumiała. Tak było istotnie!

Lecz tyle tylko powiedziałem na to pani Wyleżyńskiej:

— Szczerze wchodzę w bolesne położenie siostry pani; i milejby mi było jakąbądź radość jej sprawić, niż przypomnieniem sieroctwa łzy jej wycisnąć.

Ona na to:

— Jeśli pan szczerze pragniesz radość nam przynieść, racz przyjechać do nas w następnym sierpniu; bo niebawem pan zapewne, podobnie jak i my, wyjedziesz do Żytomierza na wybory. Ale skoro wrócimy, czy pan nie odmówisz nam przyjemności powitania go w Kotelance?

— Miłym będzie dla mnie obowiązkiem złożyć państwu uszanowanie w ich domu.

Trzebaż i to wyznać, że po rozejściu się na spoczynek, gdy nieprędko mogłem zasnąć, sumienie przemówiło do mnie:

— Tam biedna Józia, może wierna tobie, dziś może niecierpliwą się w oczekiwaniu twego z jej narzeczonym pojedynku o jej wyzwolenie, o czym ktoś z domysłu mógł przed nią napomknąć; a ty, powodowany miłością własną, ocknioną przez pochlebne wrażenie, sprawione ramotą twoją na sierocie, już ją przyrzekasz pocieszać, gdy tamta może łzy leje za tobą!... I cóż? pomimo tak ciężkich wyrzutów sumienia, gdy się z niemi będzie, podchodzi uwaga nad niezwalczoną trudnością z hardym opiekunem, a tu

żałobne wejrzenie posepnej blondynki i tak ujmujące z ust jej siostry jakby przywabianie do niej.. Owóż, najpewniejszy siebie przeciw wszelkim ułudom, powzięłam cichutką myśl, Bóg wie na co, zgłębić tę bolejącą duszę.

Całych wyborów obojętnym byłem uczestnikiem. Wotowałem, jak zwykle, z dwóch powiatów: Łuckiego i Nowogrodwołyńskiego, a to wedle naraady pomiędzy ojcem moim i Kazimierzem Budzyńskim. Naszym marszałkiem został Nikulicz, ojciec Karola, który po ojcu i po Żeromskim dwanaście lat był naszym powiatowym, a sześć lat wołyńskim gubernialnym marszałkiem, i w tym urzędzie zakończył życie w Orebürgu 1864-go roku. Na tych zaś 1817-go roku wyborach gubernialnym marszałkiem był obrany Eustachy książę Sanguszko; prezesem cywilnego sądu głównego Stanisław Karwicki z Karpowiec, a departamentu kryminalnego Józef książę Lubomirski z Dubna. W Łuckim powiecie Lipski nadal został marszałkiem. O innych urzędach nie pomnę do jakich kto był wezwany; pamiętam tylko, że zacy mój przyjaciel, Eligi Piotrowski, po sześciu latach czynnej deputacji w cywilnym sądzie głównym, obrany został podkomorzym żytomierskim.

Balów tak świetnych, jak za czasów Komburleja, nie było. Jeden tylko wieczór tańczący był u gubernatora Giżyckiego, a drugi u księcia Sanguszki, gdzie dostrzegł serdeczne zalecanki Henryka Ilińskiego do księżniczki Doroty Sanguszkówny, cudnie pięknej panny, która później, dla widoków majątkowych, wydana była za stryjecznego brata swego ojca, księcia Karola Sanguszkę, kawalera już przekwitłego i twarzy wcale niepowabnej, a co do zalet rachunkowych miał siedem tysięcy dusz w Zaslawszczyźnie, a czternaście tysięcy na Białorusi. Ale Bóg temu związkowi nie błogosławił; bo nazajutrz po ślubie panna podała prośbę o rozwód, który łatwo

otrzymała za użyciem tych dzielnych środków, jakie wprzód wyjednały dyspensę na związek w tak blizkiem pokrewieństwie. A w lat kilka potem ta niewinna ofiara spekulacji, podróżując po Włoszech, w Rzymie życie zakończyła. Nad tak bolesnym ciosem dla rodziców, którzy utracili jedynaczkę we wdziękach zaledwie rozkwitłych, dwaj przyjaciele moi okazali w rymach współczucie: Konstanty Piotrowski ułożył klasyczną odę, a Mikołaj Wąż, obywatel powiatu Konstantynowskiego (o którym niżej pisać będę), już hołdując wprowadzonej do nas romantyczności, posłał przez ręce czyjeś do Sławuty wierszyki w rodzaju żałośnej idylli, którą wnet przetłómaczono na język francuski.

Oryginał dla pamięci drogiego mnie autora, który zbyt wczesnie nas pożegnał w 1823 roku, tu przywodzę:

Na śmierć księżny Dóroty Sanguszkowej.

Jak szczęście, jak radość miła,  
Jak wiosny ulotna pora,  
Jak róża, co z wiosną żyła,  
Kwitła nam piękna Izora.

Jak młodości urojenia,  
Jak chwila miłości skora,  
Jak mdłej nadziei złudzenia,  
Zn kła nam piękna Izoral

Dziś strojna w szatę niedzielną,  
Polyskasz wdziękiem i cnotą;  
Już ci koronę weselną  
Własne rywalki twe plotą.

Znika śród smutku dzień chlubny,  
Znika śród płaczu i jęku:  
Drogiej córki wianek ślubny  
Usycha w matezynym rękul

O! jakże błyszczysz wspaniale  
Młody kwiatku przy twym wschodzie!

Jakże błyszczysz okazała  
Jasnego poranku płodziel

Gdzieżeś się podział, o kwiecie,  
Szczęść a naszego ozdobo!...  
Ty kwitniesz na innym świecie,  
A ziemia płacze za tobą!...

Później, w lat kilkanaście, kiedy już zamieszkawszy w Ławrynowcach, bywałem niekiedy w Sławucie, książe Eustachy Sanguszko, w dowód swej życzliwości, przysłał mi raz na pamiątkę własne swoje wiersze, oplakujące stratę tej jedynej córki. Schowałem je tak dobrze, razem z listem jego, że dziś, w natłoku tysięcznych korespondencyj z dat rozmaitych, odszukać nie mogę. Pomnę tylko, że sam żal ojcowski nie doprowadził go do szczytów Parnasu.

Wracam do wyborów 1817 roku. Obyczajem dawnym, urzędnicy nowoobrani huczne dawali obiady. Kto obywatel, a do tego ukochany w powiecie, musiał się upić. Najczęściej od tych kielichowych napadów chronilem się do panstwa Wyleżyńskich. Wyleżyński, zdawszy urząd marszałka, lubił zabawiać się kartami. Do partyj wista zawsze się ktoś znalazł, a codziennym na to gościem był tam chorąży Ochocki, biegły wielbiciel gry każdej, z nieodstępny towarzyszem do wista, podkomorzym Kajetanem Jukowskim. Ten raz przy kartach przypomniał sobie moje odjadania się na jego przycinki niedawne i bez względu na własne swoje położenie, że fartuszkowym żyje chlebem, widząc mnie rozmawiającego z siostrą gospodyni, zanucił prostą piosenkę z wyrazami najoczywściej do mnie zastosowanemi, że nie mając kąta własnego, zalecam się do tej panny. Uśmiechnąłem się tylko, pomyślawszy: *kociol garnkowi przygania*... Ale ja swoją drogą, bez względu na owe przymówki, nie mając żadnej o Wolczyńcu wiadomości, zacząłem smakować w towarzystwie posępnej panny Maryi. Po wyborach spełniłem przyrzeczenie: byłem w Kotelance. Najuprzejmiej przyję-



ty, chętnie tam dwa dni zabawiłem. Trzeba wyznać moje nad sobą spostrzeżenie, że ciąga w spojrzeniu tej panny pośepność sieroca pociąga mnie ku niej.

Po powrocie z Kotelanki pojechałem do Bratalowa odwiedzić czcigodnych podkomorstwa Piotrowskich, których wiek sędziwy otacza się licznem gro-nem dzieci; mieli bowiem rozmaitych wieków siedmiu synów i trzy córki, z których dwie z pierwszego małżeństwa podkomorzego wyszły już za mąż: starsza za marszałka Kochanowskiego, młodsza za Knola, a trzecia z powtórnego związku z Proskurzańką, była jeszcze młodziutką panną. Państwo podkomorstwo słynęli w okolicy z cnót towarzyskich, bogobojności i z troskliwego wychowania swych dzieci; ich dom zwykle patriarchyalnym zwano.

Najstarszy syn podkomorzego z pierwszego związku z Chojecka, Jan, demisyonowany porucznik huzarów, były adjutant generała Suworowa, który utonął, jeszcze wówczas mieszkał przy rodzicach, lecz wkrótce potem wypuścił mu ojciec w dzierżawę wioskę za Cudnowem, Dryhłow.

W Bratalowie przy rodzicach mieszkali jeszcze moi koledzy szkolni, Eligi i Konstanty, a wszyscy, młodzi byli w gimnazjum krzemienieckiem. Miałem szczęście ująć sobie czcigodnego podkomorzego od owej daty, kiedy będąc podsędkiem, sądziłem sam jego sprawę z sąsiadem w lesie dryhłowskim, o czem wyżej wspomniałem. Lecz teraz podkomorzemu zdaje się, że uchybiłby dostojności mojej, gdyby mnie nazywał podsędkiem. Przy obiedzie, nalawszy swój kieliszek wina, głosi toast:

— Zdrowie pana kawalera.

Gdy w Bratalowie nocowałem z młodzieżą w oficynie, Eligi zapytał mnie, czy znam państwa Chojeckich w Motowidlówce? A dowiedziawszy się, że ich znam oboje, ale dawno tam nie byłem, namówił mnie, abym na dzień 30 sierpnia tam zjechał. Pań-

stwo Chojeccy przy dostatnim majątku, mają dwie tylko córki: starsza już wydana za Ksawerego Czeczota, a młodsza, Róża, jest jeszcze panną. W dniu tedy jej imienin ma być balik i zbiegowisko młodzieży.

Mając dobrze opatrzoną moją garderobę wedle najświeższej mody, przy wyjeździe z Warszawy, puszczam się do Motowidlówki na umówiony termin. Zastałem liczne zgromadzenie krewnych domu z gubernii Kijowskiej i okolicznych sąsiadów, znanych mi i nieznanym. Zabawy i tańce przeciągały się długo w noc.

Z tego baliku pozostała mi pamiątka w następującem zdarzeniu: Jako gość młody, musiałem należeć do tańców, a przez grzeczność dla solenizantki i jej rodziców, brać ją częściej niż inne. Raz śród walca, krzyż ś-go Stanisława, który miałem przy fraku, schwycił skrzydłami orzelków koronkę otaczającą gors panny Róży. W szybkim wirze nie dostrzegłem takiej pomiędzy nami kombinacji. Lecz kończąc walca, gdy przywiodłem pannę do jej krzesła, dostrzegam, że ona ręką przytrzymuje koronkę, którą mój krzyż pociąga.

— Ah? przepraszam pania! — Nachyliłem się przed nią, a z pobocznych krzeseł panny, widząc nasz kłopot, dopomogły wydobyć z niewoli ś. Stanisława.

Wnet znalazło się opróżnione miejsce przy pannie Róży, i przez grzeczność wypadało mi słów kilka najobojętniejszych przemówić. Uprzejmy gospodarz, pan marszałek Hilary Chojecki, kawaler ś. Stanisława i Orła Białego z tych jeszcze czasów, gdy za Rzeczypospolitej był sędzią ziemskim kijowskim, znany był mojemu ojcu. Urodził się kaleką, z wykrzywionemi nogami, niskiego był wzrostu, nosił się po polsku, a chodził, przechylając się na obie stony, jak kaczką.

Słyszałem to od mego ojca, że gdy otrzymał od

króla dyplom na to kijowskie sędziostwo ziemskie, ojciec jego, lubiący mówić po rusku, wyprawiając go z błogosławieństwem na ten dostojny urząd, nadający mu prawo miecza, powiedział mu:

— Chody krywo, bo tak Boh chotiwi; sudy prosto, bo tak Boh kazaw!

Brat młodszy Hilarego, Jan, był posłem z województwa Kijowskiego na wielki sejm czteroletni. W dyaryuszu tego sejmu zdarzyło mi się czytać mowy tego posła pełne uczuć patriotycznych. Król Stanisław August upodobał go sobie, chociaż Jan Chojecki, gardząc obcym strojem, nosił zwykle kontusz. Chciał król gorliwość jego poselską wynagrodzić orderami polskimi. Lecz ten, otrzymawszy audyencyę, prosił króla, aby tę łaskę raczył wyświadczyć starszemu jego bratu, Hilaremu, który dawniejsze niż on położył zasługi, urzędując w Żytomierzu. I stało się zadość tej prośbie: Hilary otrzymał patenty na ordeiry polskie.

Zdarzyło mi się słyszeć dość zabawną dykteryjkę o panu Hilarym. Od 1686 r., kijowskie województwo miewało swoje sejmiki już nie w Kijowie, odstąpionym Moskwie, lecz w Żytomierzu, i pan Hilary, lubo sądził sprawy w Żytomierzu, był sędzią ziemstwa kijowskiego. Wiadomo, że na sejmikach przedsejmowych, wybranym przez województwo posłom dawano polecenia, ażeby od zgromadzonych na sejmie stanów wyjednać potrzebne im prawo, albo zmianę dawnego. Owóż na sejmiku w Żytomierzu Jan Chojecki, jako poseł województwa kijowskiego, gdy przy instrukcyi danej mu od ziemiaków, miał załączony projekt do nowej ustawy, brat jego, Hilary, sędzia ziemski, nie czekając na potwierdzenie przez sejm owego projektu do prawa, uważał go za stanowczą ustawę i w jednym z dekretów swoich napisał, że decyzyę w nim zasadza *na mocy wypaść mającej konstytucyi*. Lecz zdaje się, iż to pewnie była wymyślona farsa.

Ale wracam do hucznego u jej rodziców balu 1817 r. w Motowidłówe, zkąd bliżsi rozjechali się nadedniem, a nam dalszym wygodny przysposobiono odpoczynek, po którym nazajutrz, byliśmy uraczeni poranną kawą, i nie widząc się z nikim, każdy w swoją puszczał się drogę. Gdy już byłem za wsią, dopędza mnie ktoś powozem i krzyczy:

— Stój, stój!

Furman wstrzymał konie. Oglądałem się i ostrzegam, że to Eligi Piotrowski, który mnie na ten bal namówił, a widocznie chce coś mówić ze mną, bo wysiada z koczka. Gdy wysiadł z mego powozu i zbliżyłem się, on uśmiechnięty rzecze:

— Słuchaj, mój aniele! Wczoraj tu o tobie szepiano. Gdyś był w tańcu z panną Różą i krzyżyk twój wplątał się w jej koronkę, z której go z trudnością wydobyto, a potem usiadłeś przy niej, ja stałem tuż za krzesłem jednej z matron, która ozwała się do siedzącej obok:

— Ot, jak to Bóg ludzi kojarzy! Tu widocznie Bóg zesłał w swaty Świętego Stanisława na krzyżu. Patrzcie! już usiadł przy niej i z przymileniem rozmawia. Zobaczycie asaństwo, że coś z tego będzie.

Serdecznie się zaśmiał z uwag tej kumoszki, a Eligi pyta:

— Powiedz mi otwarcie, czy nietrafny był jej domysł?

— O! bądź pewny, że tobie najpierw zwierzyłbym się przed naszym ztąd wyjazdem, gdybym jakie miał zamiary.

— Jeśli ich nie masz, to i ja otwarcie powiem, że ta panna podobala mi się; i proszę, ażebyś jakąbądź grzecznością nie wprowadzał ją w domysły, że masz starać się o jej rękę. Bo któż zgadnie? Może bez twojej woli te szeptki kumoszek będą mi przeszkadzać.

Na to upewniłem go, że noga moja nigdy odtąd nie postanie w domu państwa Chojeckich.

I w następnym 1818 r. kochany Eligi Piotrowski ożenił się z panną Różą Nieraz jeszcze będę o nim mówił, jako o prawdziwym moim przyjacielu.

Co do związku małżeńskiego osób mnie zajmujących, zapomniałem o okoliczności z czasu wyborów 1817 r.

Kazimierz Budzyński, dostrzegłszy w sali zgromadzenia naszego moją poufałą zażyłość z marszałkiem łuckim, Stanisławem Lipskim, szepnął mi raz na sali:

— Proś Lipskiego, który siedzi w kole marszałków, ażeby ci pozwolił zajrzeć do księgi obywateli jego powiatu. Ja będę za tobą i pod literą *M* wyczytam coś o Mstyszynie, gdzieśmy byli na wiosnę.

Idziemy oba za kratę, oddzielającą stół marszałków. Lipski na moje żądanie podaje mi księgę leżącą przed nim. Szukam i znajduję Mstyszyn. Kazimierz z ciekawością spojrzawszy tam, szepnął mi:

— Sto siedemdziesiąt dusz na dwie córki i żyjących rodziców! To nie warto zachodu.

Przecież później dowiedziałem się, że generał Orurg, ożenił się z tą panną Pielawską, przy której zastaliśmy go w Mstyszynie. A Kazimierzowi Bóg przeznaczył... ale zostawię to do roku następnego.

Pod koniec 1817 r., matka moja, patrząc troskliwie na częste zamyślenia i moją w nich posępność, wносиła sobie, że ten smutek pochodził z zupełnej beczynności i jak dowiedziałem się od siostr moich, wstawiała się za mną do ojca o wzięcie dla mnie jakiej niedalekiej od nich dzierżawy. Po ich naradzie stanęło na tem, że ponieważ brat mój młodszy o lat pięć, Franciszek, objawia upodobanie w gospodarstwie, a ja pewnie będę więcej książką zajęty, przeto ojciec, przeznaczając dla nas dwóch sześćdziesiąt tysięcy złotych, ma upatrzeć dzierżawę do wzięcia dla nas na wspólne imię.

Aby zaś mógł snadniej zajrzeć niekiedy do na-

szego gospodarstwa, powziął myśl o wsi Romanówce. Wieś ta dziedziczna jest senatora Ilińskiego, o dwie tylko wersty od Szulajek. Ten zamiar bardzo sprzyjał rojącej mi się myśli o pannie Bukarównie; o czem nikt w domu naszym nie wiedział.

Raz ojciec, wróciwszy z Romanowa, ozwał się przy wieczerzy:

— Senator chętnie wypuszcza synom moim Romanówkę w posesyę. Wprawdzie drogo ją ceni, bo żąda po złotych dwa za dzień ciąglej i pieszej pańszczyzny, i z góry za 3 lata, co z daninami i z karczemną areną wyniesie czterdzieści pięć tysięcy złotych. Ale ponieważ ozimina pięknie zielenieje, to może tyle dać warto. Z rachunków, jakie potrzeba sprawdzić, należy mi się coś od senatora, a co do reszty, może cokolwiek utargujemy, i jakoś się temu zaradzi. Lecz w tem największy kłopot, że senator temi dniami spodziewa się przybycia z Paryża córki swej żony z pierwszego jej małżeństwa, i powiedział mi otwarcie, że bardzo pragnie, ażeby Szymon z nią się ożenił. Zamileczałem na to przez grzeczność, alem pomyślał sobie: a na co nam to jakieś dziwadło aż z Paryża; co pewnie po ludzku i przemówić do nas nie potrafi.

Moja matka na to:

— Ja spokojna o to, bom pewna, że on związkiem swoim nie naniesie nam wstydu; nie ożeni się on z paryżanką, któraby nas nie rozumiała; ale z duszy radabym, ażeby, zamieszkawszy w Romanówce, zrobił sobie wybór wedle serca, a pewnie będzie wesełszym, niż teraz.

Nazajutrz ojciec wezwał mnie do swego pokoju i złożył mi kwity kaszaczestwa i kwity na rekwizyta wojenne, z gotowem ich przez marszałka ocenieniem. Wedle kontraktu zastawnego o wieś Szulajki i Racie, takie wszystkie opłaty dziedzic powinien zwrócić z procentem. Zliczyłem całą ztąd należność

od senatora i okazała się suma dwadzieścia siedem tysięcy złotych. Nie pomnę, od jakiej daty zaczynał się ten rachunek; lecz ja widząc z kwitów, że podatki powszechnie i ordynacyi ostrogskiej już za jesień są zapłacone, zliczałem wszystkie po rok 1818.

Suma, z tych podatków wynikła, dość była znaczna, lecz pomnieć potrzeba, że owe podatki i rekwizyta regulowały się zwykle do ilości dusz skazkowych, a w tych dwóch wioskach było dusz 340.

Okazało się z tak sprawdzzonego rachunku, że za dzierżawę trzyletnią Romanówki wypadnie dopłacić gotowemi senatorowi osiemnaście tysięcy złotych. O dopłatę z góry były jeszcze targi: mój ojciec chciał, ażeby dopłatowa suma rozdzieloną została do uiszczenia na początku roku; dopłacalibyśmy corocznie po sześć tysięcy złotych.

Nakoniec, spodziewana pasierbica senatora, panna Konstancya Krague, przybyła do Romanowa. Przywiózł ją z Paryża wuj jej matki, uczony starzec, pan de Mousseau, który po nią jeździł, ten sam, od którego miałem w prezencie wybór poezyi Aleksandra Pope, o które było moje zajście z Karolem Pruszyńskim i z którym to Francuzem wracałem z Petersburga. Panna, dla mnie przez jej ojczyma przeznaczona, już jest, a umowa o dzierżawę jeszcze nie skończona.

Przybywam z moim ojcem do Romanowa.

Przedstawiony rachunek podatkowy, sprawdzony wedle kwitów przez miejscowego plenipotentą, został przez senatora przyjęty; trwały jeszcze targi ze strony mego ojca, ażeby dopłata nie była ryczałtowa. A tymczasem poznałem się z panną Konstancyą. Dziewczę lat szesnastu; zwinne to, żywe, małego wzrostu, ładniutka, szcziebiotliwa, śmiała jako paryżanka, przytem pięknie śpiewa przy fortepianie.

Dla dobicia targu o rozkład dopłaty za dzierżawę często mnie mój ojciec posyłał do Romanowa. Tam zaś, jako dla tej panny przeznaczony, nieustan-

nie bywałem zostawiany z nią sam na sam. Po dwóch tygodniach powtarzanych tam wizyt, ja wówczas młody, prędką zabrałem z nią jakoby zażyłą znajomość, a do jakiego stopnia, tu się wyświadam.

Raz siedziałem tuż przy niej, kiedy śpiewała przy fortepianie. Matka jej, rada naszej zgodzie, przynosi nam na tacy dwa wazkie podłużne pierniczki mówiąc, podzielcie się.

Skoro matka wyszła, ona przestała śpiewać, gra tylko na fortepianie, trzymając w ustach niecały jeszcze zjedzony pierniczek; a kiedym powiedział:

— Żałuję, żem tak prędko zjadł tę łakotkę, bo bardzo mi się podoba—ona, mając przy ustach sterzący ostatek pierniczka, nadstawia mi go do wzięcia; ja zaś nie ręką, lecz chwytam go ustami tak zręcznie, żem ją razem w same usta pocałował. Trzeba wyznać, żem się zawstydził po tej mojej swawoli; a ona nic mi nie rzekłszy na to, pogroziła tylko palcem uśmiechnięta.

Pomyślałem sobie:—Nie naszych to obyczajów kobieta!—I odtąd byłem względem niej ostrożny, jakby ptaszek, co poznał nastawiony na siebie samotrzask.

Ale dla mnie od lat młodzieńczych pochopem do częstych odwiedzin Romanowa były niewinne a nadzwyczajne przyjemności, jakie w stołecznych miastach doznawać się zdarza. Orkiestra w pełnym komplecie z samych wirtuozów złożona, pod dyktandą znakomitego artysty Ignacego Dobrzyńskiego, zjadł częste po kolei na rozmaitych instrumentach koncerty.

Dziwna muzyka rogowa, dotąd u nas nieznaną, którą wyćwiczył i dyrygował Rosyanin, nazwiskiem Siła. Cudna jej harmonia w błąd wprowadzała: zda się zdala, że jakiś biegły artysta na doskonałych gra organach; ale jakaż wypracowana organizacja stanowi tę harmonię! Dyrektor staje przy

pulpicie, na którym leżą przed nim nuty; on tylko patrzy w swoje nuty z uwagą i pazureczką wybija takty. Milczałaby cała ta orkiestra, gdyby nie odgłos owej pazureczki. Kilkudziesięciu wziętych ze wsi chłopców włościańskich, porządnie we fraki odzianych, mają w ręku metaliczne rogi rozmaitych rozmiarów, zaczawszy od małego jak pikolina, do ogromnych w końcu jak tuba morska. Każdy z nich, stojąc przy swoim pulpicie nad nutami, rachuje pilnie wybite przez dyrektora takty, ażeby nie chybić kolei, w której ma odezwać się ze swoim tonem lub półtonem. Ten cały ogół jednostek, nic nieznaczących zosobna, stanowi jakby jeden najdoskonalszy instrument.

Mogłem tam słyszeć w każdą niedzielę i w święto w przepysznej kaplicy pałacowej cudną muzykę wokalną. Tuż za pałacem w parku był teatr z wejściem bezpłatnem, gdzie naprzemian przedstawiano opery włoskie, komedye i balety.

W pałacu wspaniałej budowy liczna galerya malowideł, bogata w rzadkie oryginały; w drugiej tuż ponsowej sali, o ścianach mozaikowanych, statuy marmurowe dłuta niepospolitych włoskich artystów. Osobliwości w sprzętach pokojowych, jakich po większych najzamożniejszych domach widzieć się zdarza, jak np. stoły z jednostajnych płyt kamiennych, drogiego malahitu i droższego lapis-lazułu, porfirowe z jednej sztuki dość wysokie żłobkowane kolumny i tym podobne wyroby kosztowne. Zważywszy przytem należyte ku pożytkowi publicznemu fundacye, jako to: instytut głuchoniemych i szkołę wprowadzie pod dyktando Jezuitów, lecz która ku początkowym naukom tak w łacinie, jako też w innych przedmiotach dla okolicznej szlachty wielce była przydatna. Słowem w tej epoce Romanów stanowił nie tylko jakby wystawę sztuk pięknych i zbiegowisko różnoplemiennych artystów, lecz razem był ogniskiem szerzącej się w okolicy szlacheckiej oświaty.

Senator Józef - August hrabia Iliński, dla znają-

cych znaczny jego wpływ u tronu rosyjskiego, jaśniał aureolą wysokich zasług. On przez względy u cesarza Pawła przyczynił się do oswobodzenia wziętych w niewolę w 1794 r. pod Maciejowicami Kościuszkę, generała Kopcia, Niemcewicza i innych; on, wysłany przez tegoż cesarza na wizyty zachodnich gubernij dla wejrzenia w porządek procedury prawnej i administracyi, wyjednał przedstawieniem swojem dalsze trwanie praw miejscowych, któremi te prowincye rządziły się z zachowaniem po jurydykcyach sądowych języka polskiego po rok 1842; on, jako gorliwy katolik, listem do cesarza Aleksandra I obronił wyznanie nasze od zgubnych planów, dążących ku zerwaniu stosunków kościoła łacińskiego z Rzymem.

Zważywszy opisane tu wyżej wszystkie tak liczne przynęty Romanowa, nie dziw, że ja dość lubiony przez senatora, miałem istotną przyjemność bywać w jego domu.

W tych to czasach, nim przyszło do ukończenia układów o dzierżawę wsi Romanówki, ojciec raz wezwał mnie do przetłómacznia z języka francuskiego listu senatora Ilińskiego do cesarza Aleksandra I w przedmiocie religii katolickiej. Kopia francuska dostała się mojemu ojcu, gdy przebywał w Warszawie. Oto dosłowne jej tłómaczenie:

„Najjaśniejszy Panie! Wiem, że ważę się na krok wielce śmiały przeciw możnemu człowiekowi. Ale gdy idzie o Boga i o monarchę, słucham własnego tylko sumienia. W obecnem zdarzeniu, gdiem ja gotów narazić życie, a nawet poświęcić je z największą rozkoszą, kiedy Opatrzność dała nam ojca tyłu ludów w osobie monarchy-aniola; słuszną samemu sobie ściągnąłbym naganę milczeniem wówczas, gdy otóż bez wiedzy waszej cesarskiej mości przygotowano środki ku przesładowaniu dziesięciu milionów katolików, wiernych jego poddanych.

„Chcą korzystać z pory, zda się im, dogodnej,

ku rozwinięciu planu, jaki ułożył wychrztą, a uświęcił prałat wiekiem obarczony i zbyt dumny niestety! planu wspartego przez ministra, który dla błędów niejakich osób, przejawwszy się nienawiścią ku religii katolickiej, a tem samem ku dziesięciu milionom niewinnych, mających szczęście być wiernymi w. c. m. poddany, broni ów plan zapamiętałe. Przez ten plan, najjaśniejszy panie, chcą nam nadać pod imieniem metropolity patriarchy z władzą, jaką ma sam papież, a nawet z większą jeszcze. Chcą zniszczyć kolegium duchowne, dzieło waszej cesarskiej mości, podobne temu, jakie Piotr Wielki w 1721 r., dla religii panującej, siostry wyznania katolickiego, ustanowił. Chcą złożyć pełną władzę w ręku jednego człowieka, czego nie posiada sam papież, albowiem działania jego wypływają z narady w gronie kardynałów. Byłoby to nietylko anti katolickiem, lecz nawet niebezpiecznem dla państwa. Robią go legatem papieża, gdy on nigdy nim nie był i nie jest. Chcą uzasadnić prawa jego na buli wydanej w czasie klęski powszechnej, kiedy naczelnik kościoła katolickiego był niewolnikiem Bonapartego, na bulli odwołanej natychmiast, skoro ten dostojny więzień ręką anioła-wybawiciela Europy został oswobodzony.

„Ów plan, przedstawił minister wyznań senatowi, gdzie łącznie z ministrem sprawiedliwości, miano odmówić potwierdzenia. Ale senat, próżno powodowany obawą, nic w tym przedmiocie nie postanowił i dnia 30 grudnia 1815 r. plan pomieniony zwrócił ministrowi wyznań.

„Zanim przyszło do tej ostateczności, ażebym tę rzecz n. panu objawił, żądałem u ministra i otrzymałem konferencję. Wystawiłem mu, że plan jego jest zupełnie antykatolicki; że ułożył Sierpiński, żyd wychrzczoney, który opanowawszy umysł metropolity, zamierza zemścić się na wszystkich katolikach za usunięcie go z kolegium przez najwyższy rozkaz; że dostrzegam powszechną w katolikach trwogę; że

część ich znaczna była u mnie dla zwierzienia powodów swej trwogi; że ten dla innych nie przyniesie następstw, jak tylko prześladowanie dziesięciu milionów katolików, wiernych poddanych powszechnego ojca; że gdyby Bóg nam nie dał anioła za pana, ja pierwszy pragnąłbym raczej szczęścia męczenników, niż pójść za tak antykatolickim planem.

„Całą ministra odpowiedzią było, że on mnie zna obrońcą jezuitów, gdy ja ani o tym zakonie, ani o żadnym z jego członków, nie wspominałem wcale. Na zrobioną mu uwagę, że jeśli nie dowierza mojemu zdaniu, niech raczy badać, co do swego planu zdań osób wpływających do kolegium, bądź duchownych, bądź świeckich. Odpowiedział mi, że wszyscy są jezuitami. Nakoniec prosiłem, ażeby zasięgnął zdania katolików cywilnych, członków rady państwa, senatu lub innych, jacy się tu znajdują. Odpowiedział na to, że wszyscy są stronnikami jezuitów.

„A tak, najjaśniejszy panie! chcą zwalczyć broń i zamknąć usta katolikom!

„Zrobiłem drugą jeszcze uwagę ministrowi, że od niejakiego czasu w sprawach duchownych nie spełniają najmniejszego czynu sprawiedliwości lub łaski bez opłaty. Odebrałem odpowiedź taką: że to złe jest powszechnem; albowiem wszędzie po kancelaryach biorą pieniądze.

„Widząc przeto, że moje wstawienie się, próśby i starania pożądanego nie przynoszą skutku, opuściłem ministra w tem samem przedsięwzięciu, w jakim go zastałem.

„W kilka dni później przedstawił on ów plan departamentowi rady państwa, gdzie na szczęście, jednym z członków jest teraz obecnym katolik, który niewątpliwie objawi zdanie, jakiego religia i sumienie wymaga. Lecz, najjaśniejszy panie! wszystko zależy od tego, ażeby to zdanie przedstawione było w. c. m. w oryginalne, a nie w treści tylko.

„Racz wasza cesarska mość zważyć w swej ma-

drości, czyli ten plan nowego pomysłu i ta chęć prześladowania katolików nie pochodzi z tajnego zamachu iluminatów, jakobinów i tych sektarzków piekielnych, którzy chcą, ażeby żadnej nie było religii, a przez pozorne środki, zamierzając upadek wiary Jezusa Chrystusa, niekiedy używają potemu nawet uczciwych ludzi, którzy nie spostrzegli się, należąc do ich widoków i mimowolnie za narzędzia im służą. Jednym z widocznych dowodów, że w tym planie ani o dobro religii, ani o chwałę Boga nie idzie, jest wypadek zdarzony w Dorpacie, gdzie proboszcz publicznie z ambony śmiał mówić przeciw Jezusowi Chrystusowi; a przecież zamilczano o tem i nie wzięto tego za okoliczność nadzwyczajnej wagi. Sam tylko minister oświecenia zapobiegł tak okropnemu zgorszeniu młodzieży miejscowego uniwersytetu.

„Za cóż N. Panie tyłu ma nieprzyjaciół religia katolicka, która nas uczy: oddać Cezarowi, co jest cesarowego, a co jest Boskiego, Bogu? Kochać Boga nadewszystko, a bliźniego, jak samego siebie? w monarsze swoim widzieć Boga, którego on na ziemi wyobraża; być uległym jemu i posłusznym; wypełniać najściślejsze obowiązki stanu swego lub urzędu, a przekładać śmierć ciała nad śmierć duszy! Wszakże takie są, n. panie, prawidła wspólne łacińskiego i greckiego kościoła. Ale ponieważ one obadwa stanowią silną zaporę przeciw zbrodniom illuminatów, jakobinów i ich sektarzy, chcą przeto zacząć od katolików, jako w tem państwie słabszych, a skończyć na religii panującej.

„Racz n. panie przebaczyć wiernemu poddanemu twemu i urzędnikowi, że otwartem mówię sercem do najukochańszego Monarchy, do sprawiedliwego zarówno wszystkich ojca wiernych sobie poddanych. Zdradziłbym obowiązki najświętsze względem Boga i mojego pana, gdybym w tak ważnym przedmiocie zamilczał. Gdzie idzie o chwałę Boga, pomyślność panującego i szczęście całego państwa, przekładam

stać się ofiarą zemsty, niż milczeniem zdradzać. Wąszej cesarskiej mości pana miłościwego najwierniejszy poddany (podpisano) Józef August Iliński, senator państwa. Dnia 4 maja 1816 roku, w Petersburgu “

Kopia francuska tego listu po kilku latach gdzieś zaginęła, bo pomiędzy papierami mego ojca znalazłem po jego śmierci to powyższe tylko moje tłumaczenie.

Ów list senatora Ilińskiego zniweczył grożące katolicyzmowi zamiary; a odtąd duchowni naszego wyznania powszechnie mianowali go protektorem religii. Bywałem świadkiem uwielbiania go, a nawet uniżoności przed nim naszych biskupów.

Dni pierwszych stycznia 1818 roku ojciec mój postanowił jechać ze mną do Romanowa, aby ostatecznie pomówić z senatorem o rozdział dopłaty na trzy terminy, z tem, że jeśli on nie zechce odstąpić od swego założenia, to wszystko dopłacimy z góry.

Około dziesiątej przed południem przybywamy do pałacu. Wchodzimy na piętro — spotyka nas kamerdyner i oznajmia, że pan senator jeszcze nie ubrany, a razem otwiera nam drzwi naprzeciw do apartamentów pani senatorowej, gdzie radzi około pół godziny zabawić, nim pan hrabia będzie mógł przyjać. Grzecznie powitani, zasiedliśmy na kanapie obok siebie, naprzeciw tej pięknej pani. Mój ojciec nie łatwą miał z nią rozmowę. Do ich zrozumienia się nieustannym byłem pośrednikiem. Po kwadransie częściej gawędy ona mnie zapytuje, czy Romanówka już wzięta w posesyę? Powiedziałem, że są jeszcze niektóre trudności do załatwienia i że po to właśnie przybyliśmy. Na to rzekła mi:

— *Faites la cour à ma fille, et vous affaires iront bien.*

Szepnąłem ojcu memu, że coś ważnego mu powiem. Pożegnawszy senatorową, schodzimy ze scho-

dów i tam objawiam ojcu o nowym warunku, trudność największą.

— A niech nas Bóg obroni od paryżanki! Cóżżeś na to odpowiedział?

— Zamilkłem.

— No! śmiała kobieta! U nas chyba wszetecznicza tak się odezwie za córką.

Nakoniec tegoż dnia szczęśliwie, bo bez tego senatorowej warunku, z całą tylko dopłatą z góry za trzy lata, wzięta została Romanówka w dzierżawę. Zaproszeni byliśmy na obiad, a ja w milczeniu siedząc u stołu, marzyłem: Gdybym ten miły domek przy lasku w Romanówce miał być w roku przeszłym, gdy u pani Abrahamowiczowej na wieczery posadzono mnie przy pani mojego serca; o! pewnie ważyłbym się jej powiedzieć: jeśli pani dochowujesz w duszy tę dla mnie życzliwość droższą mi nad życie, jaką przy moim odjeździe do Warszawy okazać raczyłaś, to pozwól, abym się upomniał u jej narzeczonego o dawniejsze prawa do jej serca! Miłe to było marzenie, choć o niecofniętej już przeszłości. Już bowiem panna Bierzyńska, jak mi powiedziano, dnia pierwszego stycznia 1818 r. ślubowała Turkułłowi. A więc amen temu!

Zamieszkawszy z bratem moim, Franciszkiem, w schludnym domku Romanowie, wkrótce potem odwiedziłem Kotelanę, gdzie przez państwa Wyleżyńskich najuprzejmiej byłem powitany. Układałem sobie zaskarbiać powoli życzliwość panny Bukarówny. Rysy jej twarzy, lubo tchnące dobrocią, nie mogły zaliczać się dla malarza do wzorowych typów, lecz dla mnie upadłego na duchu, zapowiadały powab duchowy ku osłodzie życia. Co do upłynionych jej wiosen, była w tej zagadkowej dobie, w której lata panny nietkniętą stają się u nas tajemnicą. Wiedzą o nich cokolwiek, a zwykle nie szczędząc dodać rok lub dwa lata, młodsze i starsze przyjaciółki, i o tem szeptać sobie niby litościwie. Ja zaś, pomnąc, kiedy

ujrzałem ją niegdyś po raz pierwszy młodzieuchnem dziewczęciami, gdy z babką swoją, panią sędziną, były u moich rodziców, pono niemylnie rachowałem jej lat około dwóch tuzinów, a więc młodszą była odemnie o lat cztery. Ztąd miałem powód do wnioskowi, że i ona w jakiejś tajonej skłonności już pewno doznała zawodu i że z tego względu mamy wspólne prawo wzajemnej oczekiwać dla siebie pociechy.

Z tem wszystkim, gdym zaczął częściej tam bywać, przystęp do niej okazał mi się nie tak łatwym, a nawet prawie niepodobnym dla mnie posesora tylko Romanówki. Nie dość bowiem było dla niej, że biegłą była muzyczką, że najcelniejszych mistrzów sztuki z dokładną ekspresją i z uczuciem grała na fortepianie, lecz nadto miała zamiar wyszukać artystę, któryby uczył ją prawideł generał-basu, co, jak wiadomo, koniecznem jest tylko dla kompozytorów. Nie koniec na tem: oto raz przybywszy zastałem tam rudego ogromnej postawy Anglika, który po dwakroć na tydzień dojeżdżał z Miropola, gdzie uczył swego języka pannę hrabiankę Roztworowską, która później wyszła za pana Czapskiego, marszałka gubernialnego kowieńskiego. Ten Anglik w Kotelance dawał też lekcye pannie Bukarównie. Ja zaś prostak, sądząc po szlachecku, ten język w ustach naszych kobiet miałem zawsze za nieomylny probierz ich próżności. Jakże mnie ubogiemu na duchu i mieniu porywać się na taką przed światem wystawę? W podobnych myślach odszedłem tam na spoczynek. Nazajutrz wcześniej niż zwykle konie moje zaszły przed ganek. Anglik tam nocował i jeszcze był nie odjechał. Gospodyni, jak zawsze grzeczna, dostrzegłszy moje zubożenie, z większem naleganiem usiłowała mnie zatrzymać.

— Cóż pana tak nagli?

— Przyznam się pani, że niepohamowany mam wstręt do Anglików i ich języka.



— A przecież pan tłumaczyłeś Yunga.

— Naśladowałem go z prozy francuskiej Latturnera.

Z panną nie widząc się nawet, odjechałem.

W ciągu tegoż 1818 roku rząd polecił naradę po guberniach, aby obywatele, zapobiegając głodowi włościan, jaki w roku zeszłym dotknął całą Litwę, postanowili albo napełnić zapasne wiejskie magazyny, pod własną odpowiedzialnością za ich całość, lub też składać corocznie pewną opłatę wedle ilości dusz włościańskich na fundusz zakupienia zboża w zdarzeniach nieurodzaju. Do narad na ten przedmiot wyznaczono po dwóch delegatów w pomoc marszałkom z każdego powiatu. Powiat Nowogródwołyński obrał Tadeusza Walewskiego i mnie do tego na ogólny zjazd obowiązkowy. Rad byłem tej dostojności delegata, bo przytem była sposobność spełniać w Żytomierzu ważny urząd w □. . ., do którego mnie tam powołano po moim powrocie z Warszawy w stopniu temu odpowiednim.

Ten nasz zjazd był nie mały, bo oprócz dwunastu marszałków i dwudziestu czterech delegatów, pod prezydencją marszałka gubernialnego, księcia Fustachego Sanguszki, zjechało się mnóstwo bliższych obywateli przez ciekawość, jak rozwiążemy kwestyę, przez rząd postawioną.

Pomnę, że raz na sesyi, gdzie przy długim stole zasiadło nas trzydziestu sześciu, a przy guberskim marszałku usiadł z boku nasz gubernator, Bartłomiej generał Giżycki, jako obywatel żytomierskiego powiatu, a przeto równie z innymi oczekujący ostatecznej decyzji, gubernialny i kilku powiatowych marszałków ozwali się z projektem złożenia w naturze zsypek do wiejskich zapasowych magazynów. Na to Lipski, marszałek łucki, półgłosem przemówił:

— Mój powiat, a niezawodnie włódimierski i kowelski, nie są w stanie naraz tyle zboża złożyć, i chyba gubernialny marszałek z ogromnego majątku

swego pożyczką do oddania przez rozkład te trzy powiaty zastąpi.

Książę Sanguszko dosłyszał te słowa i wnet jakby z oburzeniem na cały głos ozwał się:

— Pan marszałek łucki powiedział mi w pięć, ni w dziewięć.

Zarumienił się Lipski i w żywości przerwał:

— Książę po sesyi, na boku, raczy mi to powtórzyć, bo tu nie miejsce, abym mu stosownie odpowiedział.

Już nie było mowy o zsypecie w naturze. Za Lipskim skłoniło się całe towarzystwo nasze i postanowiono, aby z duszy włościańskiej każdy obywatel płacił corocznie do kasy rządowej po groszy dwadzieścia na skupienie zboża w zdarzeniu wielkich w gubernii nieurodzajów. Zaraz po zamknięciu sesyi, Lipski wyzwał księcia Sanguszkę, ale obecny temu gubernator Giżycki pojednał ich, bo skłonił księcia do uznania się winnym i księżę w obecności naszej przeprosił Lipskiego.

Po tej sesyi księżę Sanguszko, który na czas urzędowania swego najął był dom dość obszerny z ogrodem na ulicy Berdyczowskiej u Żelopuhy, zaprosił nas wszystkich i wielu innych obywateli na obiad. Żona jego z piękną ich córką księżniczką Dorotą przebywała czas jakiś w Żytomierzu, a przeto na ten obiad zjechały się i zaproszone damy, jako to gubernatorowa Giżycka z synowicą swego męża Elżbietą Giżycką, później Chołoniewską i inne. Nim podano do stołu, otwarte drzwi parapetowe w salonie do ogrodu przynęciły tam wielu, gdyż potem dzień letni sprzyjał nam pogodą. Kilku nas zasiadło w cienie altanie, gdzie nas mocno zajmował opowiadaniem odbytego w roku 1791 poselstwa swego do Danii dziś błyszczący rosyjskim senatorskim pa-sowym mundurem, a gwiazdami tylko polskimi, Adam Rzewuski, nowo-kreowany senator, niegdyś kasztelan witebski. Wtem, niespodzianie dla nas,

wszedł z salonu do ogrodu w takimże mundurze z dwiema polskimi i mnóstwem gwiazd rosyjskich senator od czasów Pawła I, Józef August hr. Iliński, zbliża się ku altanie, a dostrzegłszy Rzewuskiego, z przymileniem przemówił:

— Witam kolegę, lubo wprawdzie o wiele młodszego niż ja, senatora.

Rzewuski, powstając, podał mu rękę i odpowiedział:

— Tak, jestem młodszy, jeśli za nic będziemy liczyć Rzeczpospolitą polską.

Jaka później nastąpiła pomiędzy nimi rozmowa, już nie dosłyszałem, bo wielu, gawędząc, zeszło się razem, aby za nimi wrócić na pokoje.

Co do księcia Eustachego Sanguszki, przychodzi mi na myśl smutny a niezasłużony jego wypadek, który dotknął całą gubernię. Nie pomnę tylko, w jakim z pewnością było to roku, ale niezawodnie po odbytem już jego urzędowaniu, które trwało do 1820.

Powód wypadku był taki. Nasze zachodnie gubernie i Litwa podlegały rozporządzeniom jakby generał-gubernatora, Wielkiego Księcia Konstantego, który mieszkał zawsze w Warszawie, jako naczelny wódz wojska polskiego, gdzie i wojsk rosyjskich był pewien oddział. Z tego, wysłani oficerowie dla zakupienia koni, znachodzili się w Berdyczowie, gdzie księżna Eustachowa Sanguszkowa z córką, wracając z Daszowa do Sławuty, zajeżdżała na nocleg. Stając w obszernym zajeżdżym domu, jako zdrożona, udała się natychmiast na spoczynek. Zaledwie drzemać zaczęła, dały się słyszeć wśród nocy, z pokojów przez ścian tylko, częste wystrzały. Przywołany gospodarz tłumaczył się, że temu zaradzić nie może, bo tam ma kwatery oficer rosyjski, pan Strzelnicki, do którego inni oficerowie z tegoż wojska zeszli się. Księżna, polegając na tem, że p. Strzelnicki zdaje się być Polakiem, wysłała do niego kamerdynera z prośbą, aby zaprzestano strzelać, gdyż ona

jest chorą. Wraca posłany z tem, że wkrótce dadzą księżnie odpowiedź. A tymczasem p. Strzelnicki sposobił się do tej odpowiedzi: wchodzi do sieni, rysuje węglem cel na drzwiach wchodowych do pokoju księżny, i niebawem, przy zapalonych w sieni świecach, strzały po strzałach huczały, aż się okna trzęsły. Księżna wśród nocy wnet się wybrała do innego domu na spokojniejszy nocleg, bez myśli, aby z tak niemiłego jej zdarzenia wyniknąć miała sprawa grożąca jej mężowi; a tyle tylko z jej strony było winy, że wróciwszy do domu, tam przed księciem, zdając sprawę ze swej podróży, wspomniała o dziwnej niegrzeczności pana Strzelnickiego, oficera wojsk rosyjskich. W miesiąc po tem zdarzeniu przybywa do Sławuty p. Strzelnicki dla kupna koni. Udaje się wprost do książecej stajni. Tam dowiaduje się, że nikomu nie pokazują koni bez polecenia od samego księcia. Pan porucznik Strzelnicki, ufny w swój mundur, idzie do pałacu. Lokaj wstrzymuje go w przedpokoju i prosi, aby dla oznajmienia księciu raczył powiedzieć swoje nazwisko. Zaledwie książe dowiedział się, że ten, co znieważył żonę jego, chce się z nim widzieć, oburzony, dał rozkaz lokajowi tak głośno, aby gość usłyszał:

— Powiedz mu, że ja podlego człowieka, co na bezbronne napada kobiety, nie przyjmuję w moim domu.

Jak sparzony odleciał z pałacu Strzelnicki, a wróciwszy do Warszawy, skarżył się przed W. Księciem, że w Sławucie nie tylko zakazano stajennym pokazać mu konie, ale ich właściciel nazwał go podłym, skutkiem czego wydano rozkaz, aby księcia Eustachego Sanguszko osadzono na odwachu w Żytomierzu.

Nie wspomniałem jeszcze, jakie w sąsiedztwie były stosunki państwa Wyleżyńskich. Oni prawem zastawy posiadali wieś Kotelaninę, należącą do Polon-szczyzny, dziedzictwa brygadiera Adama Walewskiego, czyli raczej żony jego, z domu księżniczki Lubo-

mirskiej, a po rozwodzie, generalowej Witowej, którzy miasteczko Połonne z przyległościami nadali synowi swemu, Tadeuszowi Walewskiemu, jak również córce, wydanej za księcia Gagaryna, wydzielili w posagu Nowosielicę i inne włości. Tadeusz Walewski był jeszcze wówczas nieożeniony; związek jego z piękną i dobrą Anną Karwicką z Mizocza, córką generała Krzysztofa Karwickiego, nastąpił później, lecz matka jej, generalowa Karwicka, dziedziczka Lubaru, bawiąc niekiedy w tym swoim majątku, a będąc w pokrewieństwie z Wyleżyńskim ztąd, że matka jego była z domu Karwicka, siostrą generała, nawiedzała czasem Kotelanke. Bywał tam częstym gościem Adam Walewski i syn jego, Tadeusz, podobnie jak pani Witowa. Z blizkiego też Miropola odwiedzała ich często dziedziczka tego miasteczka, hrabina Rostworowska, z domu Dzieduszycka. Pomimo tych zażytych stosunków z domami wyższej koteryi, zostawałem w Kotelance jedyne go konkurenta śmiałego o rękę panny Bukarówny, który pod żadnym względem nie zbliżał się do wymienionych tu domów; był to polski odstawnny kapitan z krzyżem wojennym, który mianowicie odznaczał się śmiesznością zaklęcia: „jak mi Egipt miły!” a zwał się Łagowski. Nieborak! zwykłem zaklęciem swoim narażał się na szyderstwo, tem bardziej, iż z pewnością wiadano, jako on nie był w Egipcie, a nawet dokładnego wyobrażenia mógł nie mieć, w jakiej części świata Egipt się znachodzi, a mógł zasłyszeć tylko o zwyciężkach sztandarach Napoleona I-go pod piramidami.

Ztąd niewielki był tryumf dla mnie, że pani Wyleżyńska i jej siostra, okazywać raczyły grzecznością swoją moję przewagę nad nim. Łatwo dostrzegł to pan kapitan i zaprzestał tam bywać. Ja zaś, ujęty wzmagającą się uprzejmością, dość często bywałem u nich. Wyszukane kwiaty w wazonach posyłałem ich amatorce, pannie Bukarównie, przy listach

francuskich, jak ówczesny głupi nakazywał obyczaj, gdzieś śmiało powtarzał znane jej z ust moich uczucia. Odpisywała mi w tymże języku, nie szczędząc przyzwoitych grzeczności. Pomnę, jak raz uniosła się zanadto nad moim jakoby darem poetycznym, rękując mi w liście swoim sławę Woltera, z czego śmiałem się tylko. Znając bowiem niską wartość pism moich w literaturze, nigdym w myśli nie sięgał po sławę. O tej zaś pannie raz napisałem, po pierwszej bytności mojej w Kotelance, cztery następne strofki pod tytułem „O śmierci:”

Czy samotną znajdę cisze,  
Czy też mnie ciemność otoczy;  
Sierotę widzę i słyżę,  
Sieroty śledzą mnie oczy.

W jej spojrzeniu dusza pała;  
Ale dusza nieszczęśliwa!  
Cokolwiek w życiu kochała,  
Wszystko już w grobie spoczywał

Dziś na całe ludzkie plemie  
Tak pośepnem patrzy okiem,  
Jak wzniesiony ponad ziemię  
Pekryty księżyc obłokiem.

Czy namiętne, albo skromne  
Wraża czuć a, nie dba oto.  
Nie też o sobie nie wspomnę;  
Wzdycham tylko nad sierotą.

Te wierszyki dałem, odjeżdżając, pani Wyleżyńskiej, która, jak wyżej nadmienilem, użalając się nad sieroctwem swej siostry, myśl do nich podała. Od niej zapewne dostały się one według adresu.

Wszystkie domy tu wspomniane, jakie nawiedzały państwa Wyleżyńskich, miałem sposobność poznać osobiście. Ztąd w tymże 1818 roku, przybywszy raz do Lubaru dla odwiedzenia chorej siostry mojej, będącej tam na kuracyi u doktora Groshejma,

zrobiłem wizytę w tamtejszym pałacu u pani generałowej Karwickiej. Córka jej, Anna, wielką była przyjaciółką panny Bukarówny i niezawodnie była wtajemniczoną w jej stosunki ze mną. Dobrze pamiętam owocną rozmowę moją z panną Karwicką, gdy matka jej, dla jakiejś korespondencji, wyszła do drugiego pokoju.

Po rzuconej kwestyi o Warszawie, powiedziała mi grzeczność, że wielką jest chlubą dla młodości mojej, znak cywilnej zasługi, jaki na mnie widzi. Uwaga moja nad nim uśmieszyła ją.—Szczerze wyznaję, rzekłem, iż ztąd tylko jakąś wartość do tego znaku przywiązuję, że ona na później ma być pamiątką młodszych lat moich. Ale co do obecnego jakoby znaczenia, przyznam się pani, że krzyżyk mój widzę przydatnym na to jedynie, aby w przedpokoju nieznanego mi domu, z kądem mam być oznajmiony gościem, miejscowa służba nie była w błędzie i nie wzięła mnie za jakiegoś lokaja z listem.

Jakie były stopnie, obwarowane ścisłą zawsze przyzwoitością, które przechodząc rok cały, powzięłem przekonanie o niemyślnej dla mnie życzliwości panny Maryi Bukarówny; tych wszystkich szczegółów, jako nieróżniące się od powszechnie znanych, nie będę opisywał. Dość na tem, że nie odmówiła mi swojej ręki, że najśłodsza karmiła mnie nadzieją, lecz tylko trzymała w zawieszaniu ostateczne postanowienie co do związku naszego. Niecierpliwił mnie ten stan niepewności, a przecież polubiłem więzy.

Raz nocując w Kotelance, gdym wszedł do pokoju, gdzie zwykle sypiał, służący mój oddał mi list od mego ojca, w tymże dniu pisany, z tem, abym go, idąc spać, odebrał. Całe to pismo tchnęło drogą dla mnie troskliwością o moją przyszłość. Były tam pochwały dla zacnego domu Bukarów, z którymi mój ojciec żył zawsze w przyjaźni; ale co do zamiarów moich względem młodszej córki nieboszczyka Marcina, znalazłem niesłychane dotąd z ust

ojca mniemanie o tej pannie, że ona przez pokrewieństwo i zażyłe stosunki z domami możnymi nie będzie szczęśliwą w związku z człowiekiem miernego bytu i nie może dać mu szczęścia. I dlatego ojcowską daje mi przystupę i radę, abym zaniechał dalszych o tę pannę starań.

Ten list kochanego ojca pozbawił mnie snu przez całą noc prawie. Męczyło mnie dochodzenie, z kąd pochodzi mylna o tej pannie opinia, jakiej poprzednio nie było. Prawda, że niepotrzebny był metr języka angielskiego, że była śmieszną myśl nauki generał-basu; ale jedno i drugie już zaniebano; i pochlebiałem sobie, że rozbrat z Anglikiem nastąpił wskutek żartu mego wobec pani Wyleżyńskiej, iż niezwalczony mam wstręt ku niemu.

Po tak niespokojnej nocy nazajutrz Wyleżyński zapytuje mnie na boku, czy prosiłem generała Giżyckiego, jako kuratora Bukarówny, aby za mną wstał się do niej, bo list o mnie bardzo życzliwy odebrała od niego. Zdziwiła mnie ta odezwa gubernatora za mną. Upewniłem Wyleżyńskiego, że żadnych tu obcych wpływów nie szukam. Do powziętej wiadomości o liście Giżyckiego żadnej nie przywiązywałem stanowczej wagi, choć serdecznie wdzięczny mu byłem. Wola ojca, lubo tak przeciwna mojemu życzeniu, była dla mnie świętą. Wahalem się tylko, czy przybywszy do rodziców, mam im objawić postęp, jaki już w sercu panny zrobiłem, aby im okazać, jak dziś zaniechanie jej byłoby dla mnie niegodnem. Wahalem się, bo ciągle jej zwlekanie stanowczego słowa wprowadzało mnie niekiedy w wątpliwość i podejrzenie, iż ona trzyma mnie na uwieży, aż zdarzy się ktoś godniejszy jej ręki. Tą trapiącą myślą zajęty, gdy przed samym wyjazdem, siedząc przy pannie sam na sam, okazałem pewne zobojętnienie ku niej, w tejże chwili, znając już głąb duszy mojej, ujmuje mnie takim spojrzaniem, takim ku mnie powłoczny

okiem, jakby błagała o wiarę w jej miłość. Nie! to nie ludzająca maska! Ona szczerą jest dla mnie.

Gdy przybyłem do domu, chciałem naprzód pomówić z którąś z dwóch sióstr moich; starsza była jeszcze na kuracyi w Lubarze. Napisałem do młodszej, że dziś nie będę w Szulajkach, bo trochę niedomagam, a proszę, aby mnie na chwilę odwiedziła. Kobiety mają dar domysłów we wszystkich sprawach serca, dar przenikania najskrytszych jego tajemnic. Ta mianowicie siostra moja dowiodła mi nieraz w tem rzadkiej biegłości. Wiadomy był jej bieg cały moich starań o rękę Maryi, którą kochała, równie jak trudność, jakiej ciągle doznaję w wyjednanu u sprzyjającej mi panny jej decyzji stanowczej. Skoro opowiedziałem treść listu ojcowskiego, wczoraj odebranego, wnet odgadła, dlaczego ojciec zmienił przekonanie o Maryi. Przeczytawszy ów list, rzekła mi:

— Jest to niezawodnie skutek wizyty chytrego sąsiada, który był u nas z najstarszą córką. Ta widocznie szaleje za tobą; mówiła o tobie z takim uniesieniem i z takim rodzajem troskliwości o położenie twoje w Kotelance, jak gdybyś był jedynym celem jej życia. Jej ojciec pewnie chciałby ją wydać za ciebie. On to musiał przedstawiać ojcu naszemu ową niestosowność związku z Maryą, bo w zamkniętym pokoju długo rozmawiali z sobą. On też bywa i u Wyleżyńskich. W zażyłej niegdyś znajomości z ojcem Maryi, ma przystęp do niej i udając litość nad jej sieroctwem, mógł przed nią szepnąć, że ojciec nasz nierad staraniu się twemu o jej rękę i że wówczas tylko mogłaby jej nie odmówić, gdyby nasz ojciec osobiście wstawił się za tobą.

W końcu dodała siostra moja:

— Utwierdza mnie w tym domyśle ważna okoliczność, że przed tą wizytą wymownego sąsiada często rodzice wspominali o twoich zamiarach w Kotelance i nigdy nie było wzmianki o niestosowności,

a matka nawet nasza cieszyła się szczęściem z nią twojem.

Tak oświecony trafnym domysłem, postanowiłem, zgodnie z siostrą moją, pomimo listu mego ojca, jeszcze nie zrywać z domem państwa Wyleżyńskich, tak zycyliwych dla mnie, a jeśli to zwleknięcie Maryi pochodzi rzeczywiście od podszeptów chytrego sąsiada, dla którego ojciec nasz nigdy nie miał i niema istotnego szacunku, to z czasem, gdy odkryjemy podstęp w jego namowach, ojciec, kochając bardzo Seweryna Bukara, który jest krewnym naszym przez związek z Budzyńską, zechce i o jego synowicy Maryi zachować dawniejsze przekonanie i przyczyni się u niej o niezwleknięcie związku ze mną.

Pocziwy brat mój Franciszek po całych dniach na koniu, zajęty zwożeniem obfitego żniwa, pracował z upodobaniem dla mnie i dla siebie; a ja próżniak, z pendzlem lub z książką w rękę miałem pożywać owoc jego trudów. Ale jak zawsze, człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

W Romanowie, po skończonej zwózce i obśiewach oziminy, cały nasz tok spłonął. Szkoda znaczna, zwłaszcza dla nas, posesorów. Było bowiem stert dużych około dwudziestu, a zboże po przeszłorocznym nieurodzaju w wysokiej było cenie. Spaliły się też wszelkie nasze remanenta i folwarczne zabudowania; ocalał tylko mieszkalny dom i oficyna. Byłem wówczas u Budzyńskich i tam dowiedziałem się o tak smutnej przygodzie, którą przecież ze stoicką wytrwałością zniosłem, bo zajmujący mnie przedmiot wyższy był nad wszystko. Ale biedny mój brat Franciszek, który jedynie gospodarstwu był oddany i cieszył się wypieszczonym trudów swoich plonem, on mocno ucierpiał! On silnie uczuł tę stratę!

Po tym wypadku, jakby szukając pociechy, zająłem do Kotelanki, gdzie nikogo nie zastał. Wyleżyński wyjechał od dni kilku do Żytomierza, żona

jego i jej siostra są na wizycie w bliskim Miropolu. Przy drobnych w domu dzieciach została tylko bona, znająca mnie Niemka, która po przywitaniu upewniała mnie łamanym językiem, że panie wrócą niezadługo. Potem, rada baba gawędzić, opowiadała, co tam się działo na wiadomość o pożarze w Romanówce, że myślano, iż panna odchoruje ten wypadek, tak mocno cały dzień łzami się zalewała.

Styszac to, dojmująca rozkosz mnie przejęła! Wstyd mi dziś wyznać: oto rad byłem pożarowi, bo on odkrył drogą dla mnie jej przychylność ku mnie. Doczekałem się ich powrotu z wizyty. Panna dziś w spojrzeniu i w tajnym uścisku ręki, więcej niż zwykle widocznej objawia czułości. Kłopot z tem sercem! Silniejsze poczułem łgnięcie ku niej. Poszły na bok ojcowskie rady i uwagi! To jedynie mam przed oczyma, że ona mnie kocha! A więc znów błagam, aby nie zwlekała mego szczęścia, jeśli pragnie, abym wierzył w jej życzliwość. Ona z powagą upewnia mnie, iż nikogo więcej nademnie szanować nie może, ale razem prosi, abym jeszcze nie nalegał o związek. Ja, mając w myśli chytrego sąsiada, westchnąłem na to i mówię:—Niezawodnie wpływa tu przeciw mnie ktoś niechętny, wróg mój nawet, który chytrze umie zamaskować własne w tem widoki.

— Mylisz się pan—rzekła—nie znam człowieka, któryby tak powszechną, jak pan, zjednał sobie miłość u ludzi.

A wpatrując się w oczy moje, najwymowniej mówi swojemi o tej miłości i znów podawnemu jestem uwieziony.

Wyleżyńscy, dla łatwiejszego wychowania kilkorga drobnych dzieci, przenieśli się na mieszkanie do Lubaru, gdzie u Bazyljanów liczna była powiatowa szkoła, a przy niej nauczyciele obcych języków. Wyleżyński, potrzebując pieniędzy, wziął u mnie pięćset rubli, z tem, że je odda w Kijowie, gdzie mam

być w styczniu na kontraktach. Pożyczyłem je u Kazimierza Budzyńskiego, ażeby tamtemu zrobić dogodność.

Tymczasem nowa rozwlekła się chmura nademną. Ojciec mój raz po bytności swej w Romanowie, wróciwszy do domu, gdzie mnie zastał, opowiadał przy wieczerzy rozmowę swoją z senatorem, który zaczął od tego:

— Dowiedziałem się z dośledzeń na gruncie, że poddanka moja ze wsi Romanówki, jakoby przez zemdlenie za to, że jej syna wzięto w rekruty, podpaliła folwarczne zabudowania, przy których spłonął tok cały. Ja, kochanku, powinienbym wynagrodzić to synom twoim, bo moja poddanka tak wielką im stratę naniósł. Ale chociaż jestem zasłużonym dziekanem senatu, uchylam głowę przed wyrokiem Boga i nie ważę się zmieniać, co On postanowił. Bóg to ukarał Szymona za to, że jest masonem.

Jak gdyby piorun spadł na mnie, tak mnie tem dotknął. Powiedziałem tylko:

— Synowie moi, jako młodzi, mogą jeszcze za łaską Boga dopracować się lepszego bytu i wynagrodzić sobie tę stratę; ale strata na duszy syna mego Szymona jest dla mnie bolesną! O! umarłbym z rozpacz, gdyby on był istotnie masonem!

Łatwo sobie wyobrazić, co wówczas działo się ze mną, siedzącym u wieczerzy. Potrzeba było jednak z całą przytomnością uspokoić ojca i cośkolwiek prawdopodobnego na własną obronę przemówić.

— Jezuci — rzekłem — obrażeni, że nie u nich, lecz u cudnowskich Bernardynów, jak wszystkim wiadomo, spowiadam się, ten paszkwil wymyślił tam na mnie, a senator, broniąc się od wynagrodzenia, którego my nawet nie żądamy, chętnie tej baśni uwierzył.

Wspomnienie mojej spowiedzi u Bernardynów

ocaliło mnie od gniewu kochanego ojca. I na tem się skończył ów ciężki przeciw mnie zarzut.

Jezuici miewali ciąglą korespondencyę z Petersburgiem, gdzie od 1772 r., czyli od pierwszego rozbioru, przy zajęciu Białorusi z ich kolegiami, mieszkali ich generał. Ten zwyczajem ich zakonu, utrzymując w stolicy rozmaite tajne stosunki, mógł zdobyć wychodzące tam corocznie w języku francuskim pismo pod tytułem *Tableau*, gdzie są przedstawione wszystkie loże masonskie z ich urzędnikami w państwie rosyjskiem, do Wschodu petersburskiego należące. Romanowscy jezuita pewnie otrzymali od swego generała owe „*Tableau*,” gdzie mnie zamieszczono jako urzędnika łoża żytomierskiej, do czego miałem już stopień potrzebny, otrzymany w Warszawie. Tę książkę niezawodnie dla oskarżenia mnie przed senatorem okazali mu jako dowód niezbity. Ztąd byłem w ciągłej obawie, ażeby ta książka nie doszła przez jezuitów do rąk mego ojca, który, chociaż po francusku nie umiał, zrozumiałby pod tytułem urzędu mego imię i nazwisko: *Simon Konopacki, chevalier de St. Stanislas*.

Ale Bóg zlitował się nademną, skończyło się na próżnej tylko obawie, a senator Iliński nietylko nigdy nie wspomniał o tym mniemanym grzechu, lecz nawet nie wiem, z jakiego powodu większą dla mnie okazywał względność. Nie było już kwestyi o jego pasierbicę, ażebym się z nią żenił; bo wydaną już była za Rosyanina Panowa, kapitana artyleryi, który ją wkrótce po ślubie porzucił w Romanowie.

W lat kilka potem, widziałem ją przypadkiem w Ostrogu u doktora, w ostatnim stopniu suchot, wynędzniałą i zmienioną do niepoznania. Jakoż dowiedziałem się później, że niebawem umarła, nie pomnę czy w Romanowie, czy w Ostrogu.

Po oskarżeniu mnie o masonię, gdy raz byłem u senatora Ilińskiego, uprzejmie mnie powitał. Po

obiedzie, wezwał do gry w bilard, w której podwa- kroć byłem zwycięzcą.

— Słuchaj-no, mój wnuciu—rzekł mi—nie dziw się, że cię tak nazywam, bo twego ojca kocham jak syna, chociaż on w latach starszy jest odemnie. Słuchajże, nie zniosę tego dłużej, że ty liczysz sobie przypadkowe karambole. Odtąd musisz powiedzieć mi z góry zanim uderzysz w bilę, gdzie i do jakiej luzy ma być karambol, a ja, ażeby cię przekonać, zem w grze mocniejszy, daję ci for trzydzieści.

— Zgoda! — zawołałem. — I z temi warunkami, jeszcze prędzej wygrałem.

Dalszą grę przerwał nam jezuita, niosąc sporą księgę pod pachą. Powodem tej księgi była dyskusya przy obiedzie. Senator wymieniał niektórych Polaków przez Rzym kanonizowanych. Ja odezwałem się na to:

— Mnóstwo też jest w plemienu naszym godnych wspomnienia ze świętobliwości. Czytałem w polskiej starej księdze o Rzewuskim z dawniejszej daty, który był komendantem pewnego oddziału wojskowego w wyprawie przeciw Tatarom, kraj nasz pładującym. Rzewuski, spostrzegłszy, że nadspodziewanie ogromnego ich tłumu pokonać nie zdoła, opuścił swoje szeregi, kryje się w niedalekie czahary, a zsiadłszy z konia, pada na kolana, bije czołem o ziemię i prosi Boga o pomoc. Jakoż po jego modlitwie Polacy, w małej garstce, zwyciężyli Tatarów bez porównania liczniejszych.

Senator na to:

— Czy nie sztydzisz, ty kochanku, że komendant skrył się w krzaki? Pamiętać trzeba, że serdeczne modły wymagają skupienia się ducha, a to potrzebuje cichej osobności i dlatego tylko ów komendant opuścił szeregi. Ale tu rzecz ważna, że ty, kochanku, mylisz się podobno co do nazwiska owego komendanta; nigdy bowiem nie słyszałem, ażeby któ-

rybacz z Rzewuskich był dawniej lub teraz podobnie świętobliwym.

Tu jezuita odezwał się:

— I mnie się widzi, że jaśnie oświecony senator słuszną robi uwagę; ale ażeby się o tem dokładnie przekonać, po skończonym obiedzie przyniosę Martyrologium, gdzie pomiędzy męczennikami Pańskimi są i świętobliwi pod właściwemi ich nazwiskami literami, tam zobaczymy, czy jest jaki Rzewuski, któryby o cud Boga uprosił?

Owóż na wejście jezuitę z księgą, złożyliśmy kije bilardowe.

Szukał długo ksiądz imienia Rzewuskich, przewracając kartki, i nie znalazł ani wzmianki o nich. A senator, nachylony nad tą księgą podniósł głowę, westchnął i rzewnie zawołał:

— O Boże! jakże chętnie oddałbym resztę mego życia za to, ażeby mnie po śmierci umieszczono w tej księdze!

Jezuita, pochyliwszy przed nim głowę, przemówił:

— Jaśnie oświecony grafie senatorze! Nie trzeba tak długo czekać na to: za życia twego, za życia, będziesz tu niezawodnie!

Tak mu jezuita pochlebstwem wynagradzali ich fundację w Romanowie. Fundacja ta była przezornie zrobiona. Senator pamiętał o niestateczności rzeczy ludzkich, zastrzegł przeto w zapisie, że jezuitom płacić będzie procent szósty od pewnej na jego majątku ubezpieczonej sumy, dopóki ich zakon trwać będzie w Romanowie. Tymczasem na podaną do tronu skargę przez ministra spraw duchownych i oświecenia, Golicyna, że jezuita w Petersburgu usiłowali nawrócić syna jego do katolicyzmu, cesarz Aleksander I nakazał w 1820 r., ażeby jezuita usiąpili z państwa rosyjskiego, a przeto i z Romanowa przenieśli się do Galicyi, gdzie w Tarnopolu założyli szkołę; przez bullę bowiem Piusa VII, jeszcze pod

dniem 7 sierpnia 1814 roku, odwołaną była bulla Klemensa XIV i zwrócono ich po wszystkich katolickich krajach.

W Romanowie, po wyjściu jezuitów, nie było lustracyi takiej, jaką się wślawił 1774 r. lustrator, później wojewoda kijowski, Józef Stępkowski, o którym stuletnia staruszka, sąsiadka moja, Rabczewska, takie opowiadała przedemną podanie, że kiedy po dopełnionej lustracyi jechał, będąc w Warszawie, karetą sześcią końmi w szorach ozdobionych srebrem, lud na ulicy przyklekał i bił się w piersi, bo powszechnie goszono, że owo srebro przerobione było z kościelnych kielichów i monstrancyj po-jezuickich.

Lecz wracam do rozmowy mojej z senatorem Ilińskim. Po odejściu Jezuitę, widząc mego jurysdiktora w najślodszy humorze, postanowiłem korzystać z tej chwili i w ten sposób zacząłem:

— Jako zaszczycony przez pana senatora tytułem wnuka jego, ośmielam się przedstawić moją prośbę.

— Mów, kochanku, rad będę, gdy dla ciebie cokolwiek uczynię.

— Oto mam zamiar pożegnać Romanówkę, jeśli pan senator uwolnić nas raczy od trzyletniego kontraktu i zwrócić nam dwuletnią pozostałą przy nim tenutę z góry zapłaconą.

— Rozumiem cię, kochanku; chcecie zrzec się posesyi, gdzie od pożaru znacznej doznałście szkody i gdzie wszystkie folwarczne zabudowania spłonęły. Nie roszczę o to pretensyi, chociaż wedle kontraktu, należałoby je zostawić, jak wam oddano, i zgadzam się na oddanie wam trzydziestu tysięcy złotych, ale nie prędej, aż posesorowie zwiozą mi pieniądze, to jest dni pierwszych stycznia następnego 1819 roku. Wówczas przyjedź tu, kochanku, a odbierzesz tę dwuletnią tenutę.

Serdecznie podziękowałem mu za tę powolność. Ale niedość na tem: doszło było do nas mniemanie,



nie wiem na czem oparte, że popiół ze spalonego zboża wyda nadzwyczajną ilość potażu i doradzano wyrabiać go w niedalekich lasach senatora. A więc, jak mówią, przy jednym ogniu, upiekło się dwie pieczenie: otrzymałem razem wolne użycie kotłów i opał z całym na ten przedmiot warszatem. Do nas należało tylko dostawić o dwie mile popioły i opłacić miejscowych w lesie robotników.

Okazało się w końcu, że Romanówka ani z popiołów swoich nie była dla nas korzystną; obrachowawszy bowiem cały nakład na tę fabrykę, nie więcej ze sprzedaży potażu mieliśmy zarobku, jak kilka dukatów, a zachód i trudy około tego przepadły. Strata zaś na tej posesyi z przyczyny pożaru, zliczywszy roczną tenetę, 15 tysięcy złotych i kupione zboże na jary zasiew, przytem spalone remanenta nasze, wyniosła z górą dwadzieścia tysięcy złotych.

Co do dalszych widoków gospodarki naszej, całą myśl zwróciliśmy na to, że byle odebrać w pierwszych dniach stycznia nasze 30 tysięcy złotych, pójdziemy na ukraińską ziemię szukać powodzenia.

Żartował sobie często mój dobry przyjaciel i krewny, Kazimierz Budzyński, już z powtórnych moich amorów; ale w tymże roku, przyszła kreska na Matyska.

Wspomniałem wyżej, że za Cudnowem o milę mieszkali w Tytiunnikach krewni nasi, Trypolscy, a najbliższym ich sąsiadem, we wsi Turczynówce, był zacny Jan Madejski, ożeniony z Wiktoryą Czarrowską, która wprzód była za Chomentowskim. Wdowa jej matka, mieszkająca na Ukrainie we wsi Skińcach, miała dwóch mężów; z pierwszym Bóg ją obdarzył siedmiu synami i tą jedyną córką. W drugim związku z marszałkiem taraszczańskim, Madejskim, człowiekiem majątnym, miała dwoje tylko dzieci: córkę cudnie piękną, pannę Pelagię, i syna Leonarda. Ich ojciec, lubo tegoż imienia, co Jan Madejski

w Turczynówce, nie był żadnym jego krewnym. Nadto zaś był trzeci Madejski, brat rodzony nieboszczyka marszałka, niegdyś porucznik kawaleryi narodowej, później marszałek także taraszczański, lat sędziwych kawaler, który piękny rokował spadek dla synowca i synowicy. Wdowa marszałkowa Madejska, odwiedzając niekiedy z córką swoją Pelagią córkę z pierwszego małżeństwa w Turczynówce, zabrała tam znajomość z Trypolską, z domu Budzyńską. Ta ujęta pięknem panny Pelagii wychowaniem i jej urodą, skłoniła stryjecznego brata swego Kazimierza Budzyńskiego, aby ją poznał i starał się o jej rękę.

Zdarzyła się po temu okoliczność jeszcze pod koniec 1817 roku, że gdzieś na baliku odróżnił ją od innych, zbliżył się, szukał znajomości z jej matką i w ciągu 1818 roku już dość często powtarzały się jego wizyty na Ukrainie.

W tym roku zaczął mnie wzywać na towarzysza miłosnej podróży do Skibina. Niczem mu było przelecieć potężnych mil osiemnaście stepową drogą, gdzie liche na trakcie karczmy miały tylko gorzałkę dla czumaków, a dla koni owies. Podróżny zaś tem żył tylko, co z domu miał w powozie swoim.

Ku końcowi grudnia, kiedy po słotnej jesieni coraz większe wzmagały się mrozy, a śniegu ani krzty nie było, puszczały się koczem po grudzie, która nam po kościach czuć się daje. Jak on z moich głośnych uniesień, tak ja teraz z niego przedrwiwam, że oczyma tylko chce wybadać pannę, a nigdy choćby jednym słowem nie dał jej poznać świętych zamiarów. Przyrzekał więc poprawę w tem, że ta bytność w święto Bożego-Narodzenia albo będzie ostatnia, albo mu szczęście narodzi. Nakoniec, po mękach nieznośnej podróży, wjeżdżamy na dziedziniec przed dom skibiniecki. Ja, zważając na to, że on tu zawsze chętnie jest przyjmowany, a jako rozsądny, przystojny i nie fircyk w zalotach, bo liczył

już lat 36 i odbył urzędowanie podkomorzego, a nadewszystko, jako przy owych przymiotach trzech pięknych wsi dziedzic, stanowią dla tej panny przyzwoitą partję, pewny byłem, że mu powie dzie się otrzymać jej rękę, byle o to raz przemówił do niej.

A przeto, mając wysiadać z powozu, powiedziałem mu te słowa:

— Uprzedzam cię, jeśli dziś nie dasz poznać pannie, po co tu bywasz, to ja przy tobie otworzę jej powiem.

— Na miłość Boga — zaklina mnie — wstrzymaj się! Już sam niezawodnie oświadczę się.

Zastaliśmy, jak zwykle, staruszkę marszałkową i pannę, które nas życzliwie powitały. Synowie pani Madejskiej z pierwszego jej małżeństwa, młodsi i starsi, rozpierzchnieni po Ukrainie, własne mieli domy i tylko w uroczyste święta zjeżdżali się do matki.

Z siedmiu Czarkowskich jeden w wojsku rosyjskiem zginął oficerem w czasie wojny z Turcyą; a z sześciu pozostałych najstarszy tylko Antoni był dotąd żonaty. W ciągu dnia naszego przybycia, zajmując staruszkę rozmową, miałem na oku Kazimierza w tymże pokoju i pannę i podśledzałem ważny przedmiot ich gawędy: kawaler utyskiwał tylko na bezśnieżną zimę, a panna wzdychała do Boga o śnieg, aby jej bracia Czarkowscy śpieszniej na święta przybyli.

Niecierpliwiał mnie Kazimierz, wiedziałem bowiem, że ją rzetelnie szanował i kochał, jak żadnej dotąd. Gdy po wieczery, około dziesiątej, wyszliśmy spać do zwykłego tam naszego pokoju, żartowałem z niego, wieszając mu zgody z panną w żalach nad brakiem śniegu. On mnie upewniał, że jutro już niezawodnie inaczej z nią pomówi. Ja milczałem na to, a postanowiłem sobie, że byle okoliczność po temu się trafi, to go w tem wyręcę. Nazajutrz o godzinie ósmej weszliśmy powitać marszałkową w jej

pokoju, gdzieśmy zastali i pannę Pelagię. Staruszka, trochę cierpiąca na zdrowiu, z twarzą podwiązaną, siedziała na kanapie przy piecu; naprzeciw tej kanapki, o trzy kroki, stał stolik pod oknem, a przy nim po jednym krześle po obu stronach; na jednym z nich siedziała panna, ja usiadłem na drugim, a Kazimierz przy staruszce. Toczyła się rozmowa dość koszlawa o rzeczach obojętnych. Wtem marszałkowa zapytuje córkę, czy już posłano po księdza? Córka uspakaja matkę, że już dawno posłano.

Ja wówczas odzywam się do panny:

— Komu tu ksiądz potrzebny?

— Mama będzie się spowiadać.

— Czy też i pani? — zapytałem.

— Nie, tylko mama.

— Ach, pani! Radzę jej spowiadać się!

Zarumieniona w zdziwieniu pyta:

— Czy panu znane są moje grzechy?

— Znam jeden, ale główny, śmiertelny! Pani zabijasz Kazimierza z krwią zimną, a on panią tak kocha, że nie jest w stanie wypowiedzieć tego.

Mówię tak głośno, że Kazimierz to słyszy. Panna, okropnie zmieszana, ucieka z pokoju, a Kazimierz w ślad za nią.

Staruszka zdziwiona, że on, nie dosłuchawszy jakiegoś jej opowiadania, wymknął się raptownie, pyta mnie:

— Co to się stało?

Ja zbliżam się, biorę ją za rękę i mówię:

— Racz pani przebaczyć mi, żem poufale postąpił z jej miłą córką: objawiłem przed nią, co Kazimierz dotąd w mękach serca taił.

I gdy ją w rękę całuje, ona mi mówi:

— Nie mam co przebaczać, owszem, bardzo ci dziękuję — i w czoło mnie pocałowała.

A w tejże chwili oboje młodzi wchodzą, przyklękają przed matką, całują w kolana i proszą o błogosławieństwo. Rzewną była radość staruszki. W uści-

skach koleją to córki, to narzeczonego, łzami ich skropiła. I ja nie mogłem być obojętnym świadkiem dramatu, rad mojej inwencji ku szczęściu dobrego Kazimierza, łzy poczułem w oczach. On później w lat kilka chciał mi to odwdzińczyć; ale plan jego, dla wielu powodów, nie był zgodny z mojem widzeniem rzeczy. Opowiem to pod właściwą datą. We dwa dni po tych oświadczeniach zjechali się do marszałkowej synowie jej, panowie Czarkowscy, z którymi Kazimierz już był dawniej znajomym. Ja zaś, po raz pierwszy poznając ich tam wszystkich, nie mało byłem zmieszany, gdy Teofil Czarkowski, podając mi rękę, przemówił:

— Wszak my się znamy z Warszawy.

Jemu to bowiem, z obawy miejskich filutów, jak się wyżej rzekło, odmówiłem kredytu. Przybył z nimi i brat ich cioteczny, Stanisław Dunin, którego matka była rodzoną siostrą pani Madejskiej. On później, w roku 1826, ożenił się z młodszą siostrą. Najweselej przeświłowaliśmy w Skibińcach. Przy uroczystej zamianie pierścionków w obecności przybyłego stryja panny i przy jego błogosławieństwie oznaczono termin ślubu na dzień 1 kwietnia 1819 roku.

Na termin umówiony przybywam do Romana po dwuletnią niewytrzymałą tenetę pierwszych dni stycznia 1819 roku. Zastałem w kancelaryi kilku posesorów, płacących należność za dzierżawę. Ale wszedłszy do senatora, widzę go z chmurą na czole. Z rachunku za brakujące sukna, które z fabryki swojej obowiązał się dostarczyć dla wojska, w czym go zawiódł Niemiec naczelnik fabryki i wzięwszy pieniądze dla sprowadzenia lepszych machin, nie wrócił już nigdy, widzi senator konieczność sprzedania części majątku i ztąd owa chmura na czole. Powitał mnie dość uprzejmie. Polecił sekretarzowi swemu, panu Karolowi Bocheńkiemu, aby mi wyplacono 30 tysięcy złotych. A gdy przypomniałem, że od tej sumy

należy się nam roczny procent tysiąc osiemset złotych, senator, ostro spojrzawszy, odezwał się:

— Czyliż ja u was pożyczałem ów kapitał?

Zamilkłem na to i pożegnałem go, rad, że odebrał naszą sumkę kapitalną.

Przybywam do państwa Wyleżyńskich w Lubarze mieszkających, aby nakoniec otrzymać rozwiązanie moich zabiegów o rękę panny Maryi Bukarówny. Na moje serdeczne nalegania panna, jak gdyby mająca lat piętnaście, znów mówi mi, że to jest zawcześnie, że potrzeba, abym się jeszcze powstrzymał. Silnie tem zniecierpliwiony, pożegnałem ją temi wyrazy:

— Może Bóg nam da ujrzeć się za lat pięćdziesiąt w tym samym stanie, w jakim dziś jesteśmy.

Gdzie ją potem widziałem i za kogo wyszła za mąż, w swoim miejscu opowiem.

Józef Malinowski, o którym wyżej wspomniałem, że kwaterował u mnie w Żytomierzu, gdy m atentał w tamtejszej palestrze, już się był ożenił z owdowiałą księżną Adamową Ponińską, z domu Trzeciakówną. Ta wdowa, mająca dwóch synów z Ponińskim, a czarująca wdziękiem urody, posiadała po nim zapis darowizny kapitału trzykroć osiemdziesiąt tysięcy złotych, który był na procencie u Potockiego w Tulczynie. Malinowski zaś, żeniąc się z nią, wziął w spadku po bezdzietnym stryju trzy wioski w powiecie Skwirskim, z wyborną ukraińską ziemią, jako to: Wolnopole, Carówkę i Czerniatyn. Pierwsza z nich i trzecia były już wypuszczone w dzierżawę. Carówka została do wzięcia. Powziąwszy o niej wiadomość, szukałem Józefa Malinowskiego i znalazłem go u brata jego, Kajetana, w Trusitówce.

Tam bez długich targów, gdy mi pokazał kontrakt, wedle jakiego trzymał tę wieś dotąd pan Pału-

ski, placąc mu rocznie dziesięć tysięcy złotych, spisałem z nim kontrakt z tem, że on wypuszcza Carówkę w czteroletnią dzierżawę na wspólne imię moje i brata mego Franciszka za czterdzieści tysięcy złotych — i tę sumę zaraz mu wypłaciłem w złocie, dwoma tysiącami dukatów, które z sobą miałem. Uprowadzeni bowiem byliśmy o warunkach tej dzierżawy i na to brat mój dopytywał dziesięć tysięcy złotych.

Już zupełnie swobodny, stawiłem się na wezwanie kochanego Kazimierza Budzyńskiego, aby mu towarzyszyć w podróży do Skibiniec, do jego narzeczonej, a ztamtąd do Kijowa na kontrakty, lubo on tam żadnego nie miał interesu.

Na tych kontraktach znachodził się osobiście senator Iliński i rozprzedał wszystkie wioski z miasteczkiem Ulanowem, stanowiące niegdyś starostwo ułanowskie, darowane senatorowi od cesarza Pawła. Nie wiem z pewnością, wiele tam dusz wogóle liczone; chodziły tylko wieści, że więcej niż dwa tysiące — a za każdą duszę wziął senator po sto dukatów. Ziemia też w tym majątku, wedle powszechnego mniemania, warta była tej niepraktykowanej na Wołyniu ceny. W tej prowincyi bowiem wyżej nie ceniono duszy z ziemią, jak 50 lub 60 dukatów. Załatwił senator tą sprzedażą interesy dokuczliwe z ministrem finansów. Ale już nie miał, jak wprzód, rocznego dochodu milion dwakroć sto tysięcy złotych. Ztąd też ograniczył swoje rozchody. Upadła opera włoska i teatr niemiecki. Pozostała jeszcze wyborna orkiestra, muzyka rogowa, balety i muzyka wokalna — bo na to wszystko, po większej części, miał już usposobioną młodzież z pomiędzy włościan swoich.

W Kijowie Wyleżyński, ujrawszy mnie w klubie, szepnął mi, abym był u niego wieczorem dla odebrania pożyczonych mu pięciuset rubli srebrnych. Tegoż dnia, widząc się tam z przyjacielem moim, zaczynającym Antonim Pawszą, przyjmując propozycję jego,

abyśmy dziś zrobili o zwykłej wieczornej porze wizytę w kijowskiej □. O umówionej godzinie, zajechał po mnie Pawsza. W przejeździe przez ulicę, gdzie miał kwatery Wyleżyński, wstrzymałem naszego fiakra, powiedziałem Pawszy, iż wnet powrócę. Wchodzę do wskazanego mi domu i zastaję w obszernej sali stół mocno oświetlony, wokoło niego siedzących z kartami w rękę poniterów, a na ich czele siedział Wyleżyński. Przy nim był bank, leżała przed nim dość spora kupa dukatów — grano w faraona. Rzuciwszy przelotnie okiem, nikt z poniterów nie był mi znajomy. Wyleżyński podał mi na powitanie rękę i szepnął:

— Idź w te drzwi za mną, tam odbierzesz pięćset rubli od mego ekonomy w trzecim pokoju.

Zaledwie tam wszedłem, ekonom, znając mnie, wnet wyjmując z pod poduszki worek z pieniędzmi i prosi, abym przeliczył sobie, bo worek nie był pieczętowany. Powiedziałem mu:

— Ja wierzę, iż tu jest pięćset rubli, ale proszę pana, abys ten depozyt raczył jeszcze u siebie zatrzymać. Jutro przed południem będę tu dla odebrania tych pieniędzy.

Odjechaliśmy z Pawszą w zamierzoną wizytę.

Nazajutrz przed południem jadę do Wyleżyńskiego. Boczniemi drzwiami od ulicy wchodzę do jego ekonomy. Zmieszkał się widocznie.

— Ach! nieszczęście, panie! Widziałeś pan pewnie kupę złota przed panem marszałkiem. Otóż wszystko to poszło pomiędzy wczorajszych jego gości. Chciał koniecznie odegrać się. Wpada do mnie i pyta, czy panu oddałem jego pieniądze. Kłamać nie umiem. On wziął pański woreczek z pieniędzmi i przegrał co do grosza. Bądź pan spokojny, on niezawodnie odda mi je, chociaż żadnego na to nie wziąłem rewersu.

Na trzeci dzień potem Wyleżyński pokazał się w klubie. Z uśmiechem podchodzi ku mnie i rzecze

— Przebacz, żem użył twego depozytu. Był to fatalny wieczór; ale teraz racz udać się do mnie, a mój ekonom odda ci twoją należność. Bardzo ci dziękuję za kredyt.

Jakoż natychmiast, udawszy się tam, odebrałem 500 rubli.

Kazimierz Budzyński wezwał mnie na towarzysza wyprawy do Lwowa, gdzie, potrzebując odnowić swą garderobę na ważny akt ślubowin, zamierzał taniej i doborniejsze porobić sprawunki. Chętnie zgodziłem się na tę podróż, bom ciekawym był ujrzeć stolicę królestwa Galicyi i Lodomeryi. Ta Lodomerya zabijała niegdyś klina w młodzieńczą głowę moją. Ale gdym był już w piątej klasie u Pijarów międzyrzeckich, mój czcigodny profesor, Seweryn Kulikowski, objaśnił mnie, iż to nazwanie pochodzi od Włodzimierza, miasta wołyńskiego, które niegdyś było stolicą księstwa, do którego Węgrzy od czasu Ludwika króla węgierskiego i polskiego uroszcili sobie niesłuszne prawo i z rzeczy tego niby prawa, przy pierwszym rozbiorze Polski 1772 roku, zajęli Ruś Czerwoną, którą od księstwa niegdyś Hallickiego nazwali Galicyą, dodając z tejże pretensyi tytuł uroszczeń do księstwa włodzimierskiego, zowiąc je Lodomeryą. Dodać tu potrzeba, że pobożna Marya Teresa, cesarzowa niemiecka, królowa węgierska, za podszeptem sumienia, wahała się, czy ma zezwolić na podział Polski, do czego ją skłaniał jej minister, Kaunitz. A ja, nie wdając się w dyplomatykę, wracam do rzeczy.

We Lwowie zastaliśmy Henryka hr. Rzewuskiego, który nas poznał z sędziwym hrabią Choloniwskim, jednym z dygnitarzy austriackich. U niego na wieczornem zebraniu poznałem poważną wiekiem podkomorzynę Sulerzycką, której niegdyś wdzięki pod imieniem Rozyny, jak mi tam mówiono, wślawił w Sielankach Franciszek Karpiński.

Smiało patrzyłem w oczy tej Rozynie. I nie-

stety! Wpadłem tylko w zadumanie, jakie niegdyś przejmowało Maryusza wpośród gruzów Kartaginy. Karpińskiego Justyny i Rozyny, te powiedle i z liści opadłe kwiaty, takie już tylko sprawiały wrażenie, gdy on pewnie z pamięcią o nich żył jeszcze; nieprędzej bowiem to serce wylane dla nich bić przestało, aż w roku 1825. Wówczas-to na mogile swojej kazał położyć ten skromny napis: *Otóż mój dom ubogi*. Wyrazy początkowe wiersza p. n. *Powrót z Warszawy*. Żył lat 85.

Rzewuski poznał mnie też z panem Chłędowskim, redaktorem „Pamiętnika Lwowskiego“, i wypłatał mi figla, bo w okolicach naszych zarwawszy u kogoś kilka niepoprawnych wierszydeł moich, nawet poprzeksztalcanych, dał je do tego „Pamiętnika“. A redaktor, pomnąc na przysłowie: Na bezrybiu dobry i rak, przyjął je i wydrukował.

W teatrze widzieliśmy Rzewuskiego w łoży, asystującego damom. Powiedziano nam, że były to panny posażne z Ukrainy, Szalajskie z matką, i że o jedną z nich on czynił zabiegi. Nie pomnę, czy też sama wyszła potem za hrabiego Tyszkiewicza, który dość długo piastował urząd kijowskiego marszałka gubernialnego. Będąc raz na kwaterze u pana Henryka, poznałem najmłodszego z nich, Ernesta, który tam brał nauki. Miał wówczas nie więcej jak lat trzynaście, a główkę dość rozwiniętą.

U lwowskiego żyda antykwaryusza zdarzyło mi się kupić za liche pieniądze sześć tomów dzieła, p. t. „Description et critique de l'Italie par M. l'Abbé Richard“. Ktokolwiek ze szczęśliwą pamięcią przeczyta to dzieło, może tak dokładnie prawić o sztukach pięknych u Rzymian i Greków, jak niegdyś uczony badacz storczytności Winckelmann, albo jak gdyby wrócił z wystawy arcydzieł tych obu narodów. Mam dotąd to dzieło.

Skoro Kazimierz ukończył swoje przedślubne sprawunki i załatwił się z krawcami, którzy wedle

najświeższych żurnalów odzieli nas po raz pierwszy w szarawarki, w miejsce dawniejszych opiętych spodni wchodzących w buty, wyruszyliśmy ze Lwowa. W powrocie naszym Kazimierz postanowił zboczyć cokolwiek z drogi, wiodącej do Brodów, aby odwiedzić krewną swego ojca, wdowę panią Szumlańską. Przybycie tam nasze wielką jej radość sprawiło. Była to niegdyś piękność galicyjska; ale już widocznie dźwigała brzemień lat czterdziestu kilku, ztąd żyła tylko rozpamiętywaniem doznanych tryumfów; ale przy tem, jakby znużona długimi niegdyś zwycięstwami, mdlejącem spojrzeniem zdawała się wyzywać nas jeszcze do złożenia hołdu. W lat kilka później znalazł się hołdownik, młody, silny, a szukający chleba próżniak, który poprzysiągł wiarę — jej wiosce.

W Brodach dzień jeszcze cały Kazimierz poświęcił na dokupienie szczegółów zapomnianych we Lwowie. W ciągu tego dnia zjawił się na naszej kwaterze Żyd biedny, stary, w podartem odzieniu, który niegdyś, jak nam mówiono, był bogatym, a straciwszy całe mienie na ryzykownych spekulacjach, z rozpaczycy dostał pomieszania zmysłów i w tym stanie przeżywszy całą rodzinę, dziś wałęsa się o żebranym chlebie. Kazimierz, zdjęty litością, dał mu pół rubla. Biedak, uniesiony wdzięcznością, nazwał go cesarzem austriackim i powiedział mu łamaną polszczyzną:

— Najjaśniejszy panie! Mój wspaniały cesarzu! Spójrzeć na ciebie tak dla mnie miło, jak biednemu Żydowi miło jest podrapać się, kiedy ma krostę. Ty jesteś... och, ty jesteś jak chudy wieprz, który się wypasa po cudzych ogrodach! Tyś bogaty aż strach! Ty wielki pan, jak nasz pastuch miejski, który przez cały dzień panuje nad niezliczoną trzodą, silniejszą niż on, a głupią jak my, co także boimy się twojego kija. Oj tak! tyś podobny do niego, bo gdy wieczorem rozejdą się krowy po domach

Icków i Moszków, pastuch, oddawszy co komu należy, zostaje tylko przy kiju! At!... — Na tym wyrazie skończywszy mowę jakby do swego cesarza, podniosł rękę, wskazał palcem na niebo i zawołał: — Tam jest prawda!

Po moim powrocie z Galicyi nie miałem dość wolnego czasu, aby zajrzeć i poznać wziętą w dzierzawę Carówkę. Kochany mój brat Franciszek wyjechał tam na oględziny i w końcu marca zaczął już obsiewać pola jarzyną, jaką łatwo nabył u mieszkającego tam jeszcze przeszłego dzierzawcy, pana Pałuskiego, o którym niżej coś powiem.

Zbliżał się termin ślubowin Kazimierza; ztąd on nalegał, abym nieodstępnie mu towarzyszył. Gdy raz na dwa dni odjechałem o cztery mile do moich rodziców, po powrocie moim zastałem go w niemałym kłopotcie. Zdarzyła się, nie pomnę jaka, lecz konieczna potrzeba korespondencyi ze Skibińcami. Trzeba było pisać list do panny Pelagii. Przy powitaniu zawołał:

— Ach, Szymonie! Bóg cię tu zesłał! Ratuj mnie! Co ja do niej napiszę!

— To, co myślisz o niej, co dla niej czujesz; i przyłącz razem przedmiot swego listu.

— Tak ci się zdaje, że to nietrudno. Już dwa listy zdarłem. Tobie łatwiejby to poszło, boś ty pewnie miłosne listy pisywał.

Jakoż udało mi się w myśl jego trafić, a on list przezemnie ułożony przekopiował.

Nakoniec, w ostatnich dniach marca, ciotka moja, a matka Kazimierza, wzięwszy do swej karety moją młodszą siostrę, a osobną karetą także o sześciu paradnych koniach Kazimierz ze mną, razem z pakowną za nami bryką, puściliśmy się o mil ukraińskich osiemnaście stepami do Skibiniec. Tam już codziennie zjeżdżało się rodzinne liczne towarzystwo Madejskich i Czarkowskich; przybył też i cioteczny brat ich, Stanisław Dunin, który w ciągu na-

szego tam goszczenia miał sposobność przypatrzeć się i poznać moją siostrę.

W dniu pierwszym kwietnia 1819 roku, gdy w sali skibinieckiej, śród licznego zgromadzenia familijnego, wszystko już wyprężone oczekiwało na pannę młodą i ksiądz w zwykłym aparacie stał przy oświetlonym stole, stanowiącym oltarz, wchodzi nieśmiały krokami, o białym rozpuszczonym woalu czarująca wdziękiem dziewica. Wnet podałem jej rękę, aby ją doprowadzić ku jej poważnej matce po błogosławieństwo. Moja siostra z drugą panną dopełniły tej samej ceremonii, wiodąc Kazimierza do obu matek, i przywiedliśmy tę parę przed oltarz. Wobec świątobliwego milczenia całego zgromadzenia wymówili dość głośno: *Biorę sobie ciebie...* Ksiądz króciutko wyłożył rzecz o tym Sakramencie, a panna młoda znowu była w objęciu matki. Ja zaś zbliżyłem się do staruszki ze zwykłym przy takich obrzędach powinszowaniem i gdy ją z uszanowaniem całuję w rękę, ona, złożwszy na czole mojem serdeczny pocałunek, rzekła mi:

— Do mojego dziś szczęścia braknie mi tylko drugiej córki, abym ją tobie oddała.

Był to wybuch najszczerszej radości. O intercyzie ani wzmianki nie było. Z tem wszystkiem, lubo nikt o tem nie wspomniał, Kazimierz odebrał wkrótce dwakroć sto tysięcy złotych, a potem w dodatku miasteczko Konełę, co z porządną w srebrach wyprawą stanowiło wogóle więcej niż sto tysięcy rubli srebrnych. Poczciwy Kazimierz, żyjąc tylko lat kilka po tym uroczystym akcie, ciągle dowodził mi najszczerszej życzliwości za przyspieszenie swego szczęścia w tym związku, co niżej w rozmaitych datach przywiode.

Wrociwszy ze Skibiniec, zabawiłem dzień jeden u rodziców i nakoniec wybrałem się do gubernii Kijowskiej, powiatu Skwirskiego, do Carówki na jej dzierżawę łączną z bratem Franciszkiem. Wioska stepo-

wa, najmniejszego nie miała powabu, ani gałązki drzewa, gdzieby wróbel spoczął. Za domkiem ogród tylko ne marchew i kapustę. W domu, po drugiej stronie przez sień tylko, zastałem przeszłych dzierżawców państwa Pałuskich, ludzi lat już sędziwych, którym brat mój dozwolił zając dwa pokoiki na czas jakiś.

Przybyłem dnia 9 kwietnia 1819-go roku, jak dobrze pomnę. Franciszka nie zastałem; pilnował wówczas dosiewu jęczmienia, nie spuszczać się nigdy na dozór samego ekonoma. Wnet poznałem się z państwem Pałuskimi. Ich córka była za Łukaszem Gołębiowskim, autorem dzieł wielu, chlubnie znanym w piśmiennictwie naszym, którego Tadeusz Czacki umiejac ocenić różnostronną naukę, wezwał na bibliotekarza do Porycka, gdzie on i po śmierci Czackiego był nieodstępnie aż po rok 1818, w którym książę Czartoryski nabył bibliotekę porycką do Puław, gdzie Gołębiowski, nad połączonemi bibliotekami, miejscową i nabytą, ten sam spełniał obowiązek. Państwo Pałuscy, mając osobną swoją kuchnię, przemieszkali u nas kilka tygodni i nakoniec, już nie pamiętam, czy do zięcia swego, do Puław, czy w inną udali się stronę.

W ciągu tych kilku tygodni zabrawszy bliższą znajomość z panem Pałuskim, gdym raz dostrzegł u niego na stoliku pomiędzy książkami znane dla mnie z samej tylko sławy dzieło Tadeusza Czackiego: *O litewskich i polskich prawach*, wyszłe w Warszawie 1800 roku, i wzięwszy do rąk tom I y, gdym rzucił okiem na kilka początkowych wierszy cudnej przedmowy, uczulem niezwalczoną chętkę, choćby za najwyższą cenę, nabyć koniecznie to dzieło. A więc proszę staruszka, czy nie zechciałby ustąpić.

On mi na to:

— Mogę to uczynić, ale z warunkiem, że przy

tych książkach pan razem nabędziesz mój duży czeret słomy, dotąd niesprzedany, jaki mam na toku.

— Ileż panu za słomę i razem za te dwie książki należeć się będzie?

— Warto panie dać czterdzieści złotych.

Podałem mu rękę:

— Natychmiast je przyniosę.

A tak, straciwszy za niezliczoną ilość fur słomy choćby cztery ruble, nabyłem za dwa ruble to dzieło nieocenione w dużym formacie ówiartkowym, ten w samych przypiskach las wiadomości encyklopedycznych, czego po dzisiejszych księgarniach na wagę złota nabyć już nie można. To dzieło, drogie mianowicie dla nas, mam dotąd u siebie.

Nim wyjechali z naszego domu państwo Pałuscy, on sam udał się był gdzieś w sąsiedztwo. Żona jego, dobra staruszka, spotkawszy mnie w sieni i jak zwykle pozdrowiwszy, przemówiła:

— Uważam, że pan lubisz książki niekoniecznie nowe. Może u nas znajdzie się coś ciekawego z dawnych czasów na górze. Mój mąż, nie mając gdzie tego mieścić, kazał złożyć pod strychem.

Prosiłem o udział z tej podstrychowej biblioteki. Wnet jej służąca, dziewczka, wdrapała się po drabinie na górę i zrzuciła do sieni mnóstwo rozszarpanych i całych broszur i oprawnych książek, kilka zeszytów „Monitora” i część dyaryusza czteroletniego sejmu. Schwyciłem tę część dyaryusza, którego reszty napróżno szukano, wziąłem kilka dzieł całych, a pomiędzy nimi broszurę zajmującą pod tytułem: *Zbrodnia Henryka Niemiryca* i bardzo wdzięczny byłem staruszce za ten posiłek umysłowy. O życiu Henryka Niemiryca i tragicznym rozwiązaniu jego zbrodni powziąłem wiadomość dokładną w części z tej książki, a w części później z opowiadania mojego teścia, który był jego bliskim krewnym.

Henryk Niemiryca był jedynym synem bogatego Niemiryca, podkomorzego owruckiego. Gdy po

śmierci ojca spadł na jedynaka znaczny, bo kilka milionów stanowiący majątek, matka jego, z domu Krzucka, opiekując się nim w samym kwiecie młodości, wyszła powtórnie za Walentego Łaznińskiego łowczego wielkiego koronnego, z którym nie miała potomstwa.

Ztąd więcej jeszcze otaczając pieczęcią jedynaka, chciała mu świetny los zapewnić przez wychowanie wcale nie szlacheckie, lecz jakie tylko ton ówczesnej arystokracji uznawała za najwytworniejsze. Otoczyła go cudzoziemcami pod naczelnictwem Francuza, który nauczył go nietylko mówić, ale i wierzyć po swojemu. Duchem przeto Woltera przejęty, szydził młodzieniec z tajemnic wiary naszej. Gdy dorósł lat zupełnych i objął ojczyste dobra, natychmiast zamieszkał w Warszawie, z kąd oficer wojsk koronnych, Franciszek Łazniński, późniejszy znakomity generał, pisywał o nim do jego ojczyma, a swojego krewnego, Walentego Łaznińskiego, że Henryk Niemiryca świetnie ma powodzenie po stołecznych salonach; że ukształcenie wedle mody i śmiałość w zasadach dają mu tam przystęp, a nadto, że dowiedziawszy się o czwartkowych u króla obiadach dla uczonych tylko, postanowił iść na wyścigi z królem i przez rok cały daje codziennie na sto osób obiady<sup>1)</sup>.

Tak marnie strwoniwszy Henryk Niemiryca cały swój majątek, wyniósł z Warszawy tę jedyną korzyść, że stał się znanym dla niektórych dygnitarzów koronnych, wojewodów i kasztelanów. Gdy wrócił na Wołyń, gniazda niegdyś magnatów, nie mając własnego przytułku, wałęsał się po ich domach, znanych mu w stolicy. W ostatku, złączywszy się

<sup>1)</sup> Te listy Franciszka Łaznińskiego dawał mi czytać mój teść Łazniński, synowiec i jedyny spadkobierca po łowczym koronnym.



z niecnym Kajetanem Miączyńskim, przybył z nim raz blisko granicy austriackiej do pani Igelstromowej, przy której bawiła piękna jej siostra. Było to w sobotę przed niedzielą Kwietną. Nazajutrz, przy obfitem a wesołym śniadaniu, gospodyni rada gościom, którzy dzielają jej we wszystkim przekonanie, odezwała się żartem:

— Słuchajcie panowie! Gdy my swobodnie bluźnimy przeciw Kościołowi, oto w teje chwili dzwony tuż obok powołują lud Boży, aby się bił w piersi za winy i szukał ich rozgrzeszenia.

Niemirycz na to:

— A prawda! mówiono mi, że u pani jest kościół parafialny. Cóż nam przeszkadza, choć wprawdzie po śniadaniu, ale czystymi na sumieniu, przystąpić z ludem Bożym do Komunii? Bo co do spowiedzi, już ją dziś dopełniliśmy pomiędzy sobą.

— Brawo, brawo! — śród śmiechu zgodnie zawolano.

Wnet pojazdy już były gotowe. Przybywają do kościoła. Pani Igelstromowa, jej siostra i Miączyński usiedli w ławce, gdzie dla nich tylko znalazło się miejsce; a Niemirycz usiadł po drugiej stronie ławek przy nieznannej damie, modlącej się z książką; przy tej zaś ławie, tuż obok Niemiryca, klęczał głośny z żarliwej pobożności pan Falkowski, skarbnik łucki, w kontuszu i z karabelą przy boku. Niebawem na odgłos dzwonka przy ołtarzu owa dama przyklęka, uchyla głowę i bije się w piersi. Niemirycz pyta:

— Co to jest?

— Biorą Przenajświętszy Sakrament.

Rzucił okiem ku ołtarzowi i widzi już tam klęczące całe swoje towarzystwo. A więc spieszy do nich, przyklęka i przyjmuje z kolei Komunię. Wróciwszy do swej ławki, gdzie dama już z pamięci się modli, bierze jej książkę i pomiędzy kartki z ust wypuszcza komunikant. Skarbnik Falkowski zrywa

się z kolan, dobywa pałasz, grozi nim i woła na cały kościół:

— Kacerstwo! Herezya! Zdeptanie świętej wiary naszej! Potępiony niech będzie przekłety bluźnierca! Śmierć jemu na duszy i ciele!

Miączyński, trafnie domyślając się, że ten głos powstał przeciw jego koledze, śpieszy ku niemu i szepce:

— Umykaj rychło po za ławką pod ścianę, bo mogą cię schwycić.

Winowajca, przepuszczony przez damę, uszedł szczęśliwie. Dostał się do swego powozu przed kościołem i jako nad granicą niedaleko od Brodów, tam wkrótce już bezpieczny stanął. Pani Igelstromowa na jego odezwę posłała mu niewielki pieniężny zasilek, który jednak wystarczył na podróż do Paryża. Tam zaciągnął się do oddziału wojska francuskiego, który był przeznaczony do Martyniki, gdzie zaczynał służbę od prostego szeregowca. Działo się to na lat kilka przed francuską rewolucją 1789 roku. Tymczasem na formalną delację, uczynioną przez skarbnika Falkowskiego tak do akt grodzkich, jako też do dycezyjnego biskupa, rozpoczął się kryminalny proces przeciw Niemiryca. Sąd na to składał się z senatorów i biskupów. Instygatorem w tej sprawie był wyznaczony podczas wielki koronny, Michał Czacki, brat starszy Tadeusza. W ciągu procesu, nikt z rodziny, ani z mniemanych przyjaciół nie śmiało wstawiać się za bezbożnym. I gdy Henryk Niemirycz na jednej z wysp antylskich w Ameryce żołnierski dźwiga karabin, komisya zaocznie względem niego skazała go na ucięcie mu języka.

Gdy później, w roku 1826, ożeniłem się z paną Klementyną Łażnińską, ojciec jej, jako najdokładniej świadomy dalszych losów Henryka Niemiryca, opowiadał przedemną, że po bogatym podkomorzym Niemiryca, oprócz syna Henryka, pozostała córka; że ta, wyszedłszy za Wojciecha Łażnińskiego,

brata Walentego, który wprzód stał się jej ojczymem, miała z Wojciechem jedynego syna, którym był teść mój Łukasz, synowiec i spadkobierca po bezdzietnym łowczym w. koron.; — że przeto Henryk Niemirycz był jego wujem, ale zupełnie mu nieznanym; — że ten jego wuj po latach dwunastu służby wojskowej w Martynice, gdy wziął dymisyę już po rozbiorze Polski i przemieszkiwał czas jakiś we Francyi, poznał się tam z podróżującym rosyjskim generałem, Bawrem, który, uznawszy w nim wysokie ukształcenie, polubił go i skłonił do wejścia w służbę rosyjską z zapewnieniem mu tejże rangi majora i wpływów swoich o uwolnienie go od cięższej na nim w kraju okropnej kary. Jakoż Henryk, wszedłszy na czas jakiś do rosyjskiej służby wojennej, otrzymał od cesarza Aleksandra I go przebaczenie winy przeciw Kościołowi. Następnie dymisyonowany, wrócił swobodnie na Wołyń i odwiedzał znane sobie domy ostatnich Rzeczypospolitej dygnitarzy. Teść mój, będąc raz z wizytą w niedalekim od siebie Tuczynie u Walewskiego, wojewody sieradzkiego, zastał tam nieznanego sobie starca.

Wojewoda, po przywitaniu gościa, zapytał go:

— Panie Łukasz! Czy nie poznajesz, kto to jest? Wszak to brat rodzony twojej matki, Henryk Niemirycz.

Nastąpiło rzewne poznanie się, po którym pan Łazniński najusilniej prosił wuja, aby raczył zamieszkać u niego.

— Nic z tego nie będzie — rzecze mu — bo waćpan będziesz mi wymawiał dany mi przytułek i kawałek chleba.

Z tem wszystkiem, w kilka tygodni później dokużyło mu widać wycieranie cudzych kątów, gdyż przyjechał do siostrzeńca i zamieszkał w oficynie. Tam mu przynoszono jedzenie i ulubione trunki, których nadużywał, mianowicie wódki. Wpadłszy w nałóg rijaństwa, mocno zachorował. Sprowadzony doktor

medycyny uznał bezskuteczność leków, bo wewnątrz była już gangrena. Pani Łaznińska, kobieta pobożna, wezwała księdza, kapelana z Hulczy. Ten zaledwie się zjawił, Niemirycz temi słowy się odezwał:

— A ty po co tu? Precz z oczu! Ja mógłbym cię lepiej niż ty mnie nauczyć!

Ksiądz cicho zniósł zniewagę i odjechał.

Ale w pół godziny, gdy silne bóle wewnętrzne zaczęły się wzmacniać, chory zaczął krzyczeć:

— Księdza, księdza!

Zawrócony z drogi kapelan pośpieszył, lecz chory utracił już mowę i wśród męki skonał. Było to 1815 r. Pan podkomorzy Łazniński pochował wuja swego przy parafialnym kościele we wsi Tajkucharach, na tamtejszym katolickim cmentarzu, i wznosił nad nim pomnik ze złamaną kolumną, który oglądałem w r. 1852 na pogrzebie mojego teścia. Gdy tu w Ławrynowcach zamieszkawszy, bywałem niekiedy w Sławucie, i gdym raz opowiadał przed księżną Eustachową Sanguszkową, Czartoryską z domu, życiorys Henryka Niemiryca, ona mi rzekła:

— O! pamiętam go z moich lat prawie dziecinnych. Bywał on w Korcu u mojego ojca przed swoją ucieczką za granicę. Kochany ojciec chronił nas przed nim i mawiał:

— Zjawił się Niemirycz, wyjdźcie z pokoju, bo ten wymowny bezbożnik zatruwa duszę w młodzieży. Bałyśmy się tego gościa, jakby złego ducha.

Znając najdokładniej powyższe szczegóły o życiu Henryka Niemiryca, napisałem o nim balladę pod tytułem „Panicz z wieku XVIII,“ umieszczoną w *Gwiazdzie kijowskiej* N. 4, z r. 1849.

Co do wrażeń, jakie Henryk Niemirycz w pamiętce po sobie zostawił w Korostowy, okazywał to z całą otwartością siostrzeniec jego, a mój zańczy teść, podkomorzy Łazniński, który, jak wiem z opowiadania jego, lubował się w rozmowach z wu-

jem swoim w przedmiotach rozumem niepojętym i z uwielbieniem powtarzał jego zdania, o czem niżej nadmienię.

Wracam do Carówki, dzierżawy mojej i brata mego, Franciszka. Brat mój z upodobaniem zajmował się szczegółami gospodarstwa, a ja, osamotniony, miałem moje przyjemności w książkach i niekiedy dla folgi umysłowej w pendzlu. Rzadko, bo tylko w terminach zbiegowiska na sławne jarmarki, nawiedzałem Berdyczów, a to jedynie dla powitania tam krewnych i przyjaciół. Tym jarmarkom winienem znajomość i następnie najściślejsze stosunki z Mikołajem Wężem; tam poznał mnie z nim mój od szkół najzyczliwszy Józef Bobrowski. Wąż często ze mną korespondował. Wzorowy to był uczeń gimnazjum, później liceum krzemienieckiego, i świeżo skończył był wówczas nauki, a przeto o lat kilka młodszym był odemnie. Zdolność jego do poezji objawiała się w lekkich a miłych wierszykach, jak te wyżej tu przywiedzione, które napisał na śmierć księżny Doroty Sanguszkowej.

Z wielką szkodą dla piśmiennictwa naszego zakończył on życie zbyt wcześnie i jakby z dobrej woli.

W lipcu mieliśmy wizytę juryzdatora naszego, Józefa Malinowskiego, z żoną, z domu Trzeciakówną, która wprzód była za księciem Adamem (synem Adama) Ponińskim. Te nawiedziny winniśmy byli zbliżającej się wedle polskiego kalendarza solenizacyi w Biloholówce, o milę od nas odległej, gdzie państwo Malinowscy mieli być na imieninach Piotra Potockiego, starosty szczerzeckiego, powszechnie poważanego starca, który od Rzeczypospolitej polskiej, w ciągu czteroletniego sejmku, ostatnim był ambasadorem w Turcyi.

W dniu ś. Piotra w Okowach, to jest 1-go sierpnia wedle polskiego kalendarza, a u nas dnia 19-go, byliśmy z państwem Malinowskiemi w Biloholówce,

Malinowski prezentował nas solenizantowi; lubo z osiwiła głową, lecz miła twarz jego i ruchy, przy wyniosłej budowie, poświadczały czerstwość sił żywotnych.

Z mnóstwa obywateli gubernii Kijowskiej nikogo bliżej znajomego nie było. Z widzenia tylko znałem tam niektórych, a na ich czele wymienię pana Maurycego Turkuła, który stał się panem pierwszej w życiu pani mego serca. Nie kiwnąłem mu głową, lubo patrzyliśmy sobie w oczy, ani też on mnie, jakoby zupełnie nieznanego, nie powitał.

Gdy mnie tam ujrzał, nie zgodną, co pomyślał o mnie; lecz ja, spojrzawszy na twarz jego, pomyślałem w sobie dreszcz i wpadłem w smutne zamyślenie nad niestatecznością uczuć kobiety. Ten niegdyś, jak mi sama mawiała, nieznośny dla niej, dziś tuli się u jej łona. A więc mnie nie kochała, lubo tyle bywało ludzających mnie pozorów. Bo gdyby istotnie była mi wzajemną, któżby ją mógł przymusić po ostatnim widzeniu się ze mną, chociaż była już zaręczona, do związku z bogatym, ale nieznośnym dla niej? I po chwilowej rozwadze, westchnawszy tylko nad zmarnowanym uczuciem własnym, mniej miałem żalu do niego.

Gdy mnie te myśli zajmowały przelotnie, brat mój, dostrzegłszy mnie odosobnionego w zadumaniu, usiadł przy mnie i szepnął:

— Turkuł, zaledwie cię ujrzał, odezwał się do kogoś z nim przybyłego:—Patrz! jest Szymon Kono-packi! Zkąd się on tu wziął!

Uśmiechnąłem się na to, pomyślawszy, że więc nieobojętną dla niego jestem figurą. Jemu zapewne wiadomo, jak byłem widziany przez jego żonę. Niech sobie będą szczęśliwi, jeśli on umie ją ocenić i jeśli przestał być dla niej nieznośnym.

Wśród licznych towarzystwa mężczyzn dwie tylko były damy: pani Malinowska i senatorowa Rze-

wuska z Pohrebyszcz. Tę panią powitałem jako dobrze znajomą, bo w 1814 roku bawilem w Pohrebyszczach parę tygodni, gdy mój brat cioteczny, Kazimierz Budzyński kupował u jej męża wieś podolską Markusze, za co ona wzięła porękawiczne.

Po obiedzie, gdym zbliżył się do niej, wśród rozmowy nadmieniłem, że na wiosnę tego roku miałem przyjemność widzieć się we Lwowie z jej synem, Henrykiem, u którego też poznałem najmłodszego jej syna, Ernesta, który zdziwił mnie nad wiek rozwiniętym umysłem.

— Komuż nie wiadomo, że jak każdy Radziwiłł z urodzenia szlachetny, tak Rzewusczy rodzą się z dowcipem.

Niżej napiszę, co mi później powiedział pan Ernest na to zdanie matki.

Z wielką przyjemnością oglądałem w salonie Biłohołówki piękne malowidło, przedstawiające wjazd do Stambułu starosty szczyrzeckiego, jako ambasadora Polski. Poseł na pysznym koniu, w ubiorze narodowym, okazał otoczony orszakami, wyrażał wysoką powagę swego powołania, która ściągała ciekawość mieszkańców z podziwem na twarzach.

Drugie malowidło mocno mnie też zajęło. Był to portret, jak mi powiedziano, krewnej pana starosty, która przedstawiona jest w ogrodzie, umykająca do domu wśród wielkiej burzy w silnym przełknięciu. Ten jej przestach w rysach twarzy, włosy w nieładzie, na wolę wiatru puszczone, bliżej i dalej drzewa burzą miotane, wszystko to nadaje życie obrazowi. Zawszem mniemałem, że nie dość na podobieństwie w portrecie, potrzeba jeszcze, ażeby w nim nie była martwą twarz, ten obraz duszy. Ztąd wypada, ku zajęciu widza, nadać jej jakieś gwałtowne wzruszenie.

W Biłohołówce rozjechaliśmy się z państwem Malinowskimi; oni odjechali do wsi Rubania pod Humnań, do zastawy za trzykroć osiemdziesiąt tysięcy

złotych, darowanych pani Malinowskiej przez pierwszego jej męża, ks. Ponińskiego, a my wróciliśmy do skromnej naszej dzierżawy.

W sąsiedztwie naszym o miedzę poznaliśmy się z dzierżawcą Wolnopolu, wioski, należącej także do Józefa Malinowskiego. Posesorem jej był pan Kazimierski, ożeniony z Bądarzewską, przy której bawiła jej siostra, nie pomnę jej imienia.

Brat mój kochany, ś. p Franciszek, przypomniałby pewnie jej imię, bo dość widocznie sprzyjali sobie; lecz woli Boga nie było. Ten pan Kazimierski był później marszałkiem powiatu Machnowieckiego. Poznałem się z ojcem jego, osobno gdzieś mieszkającym we własnym majątku. Był to człowiek lat siedziwych, wzrostu wysokiego, silnie zbudowany, niegdys konfederat barski. Lubił czytywać, nawet po nocach, stawiając na piersiach świecę, gdy już w łóżku leżał.

Miły dla mnie ten starzec, tchnący duchem szlachetnym, mówił:

— Ja żyję wspomnieniami tej przeszłości, ja za młodu lubowałem się pod komendą Kazimierza Puławskiego. Ten wódz mój, godzien lepszego losu, a okryty laurami w Ameryce, tam zginął. Pokój jego popiołom!

I ja wówczas odosobniony i w zupełnej ciszy, swobodnie żyłem rozpamiętywaniem przeszłości krajowej, lubo nie naoczny jej świadek, bo miałem tylko lat pięć, gdy Polskę podzielono.

Opowiadania starców o latach ostatniego konania krajowego wśród konwulsyjnych wysiłków i dzieje ojczyste o czasach Zygmunatów i Batorego, były najmilszym przedmiotem samotnych dla mnie dumań. I naprzemian, westchnałem niekiedy i nad własną przeszłością, nad zawodem niespodzianie doznany w najmocniejszych uczuciach, zda się przez Boga natchnionych; a o zmianie stanu i położenia mego,

ani marzyłem nawet. Czasem jakby roślina wegetowałem.

Raz przyszła myśl bratu memu, Franciszkowi, ażebyśmy pojechali o trzy mile ukraińskie do Toporów, gdzie mieszkała bogata a bezdzietna wdowa po Antonim - Bonawenturze Konopackim, pierwszym po rozbiorze kraju marszałku powiatu Skwirskiego, który mianował się, nie wiadomo w jakim stopniu, stryjem mego ojca i zapisał był testamentem (później zmienionym) dla nas trzech braci piękną wieś Rzewuchę, a to ze względu wdzięczności, jaką czuł dla naszego dziada.

Historia tego marszałka Konopackiego, z ust mego ojca powzięta, jest taka:

Pan Antoni-Bonawentura miał majątek niewielki po rodzicach, lecz na kosztą wystąpienia w konfederacji barskiej i na dłużki młodości ów cały fundusz przeszedł w obce ręce. Po nieszczęsnej konfederacji rozwiązaniu konfederat, dowiedziawszy się, że na Wołyniu, w powiecie Luckim, mieszka jego imienia Konopacki, który ze swego województwa był posłem na sejm elekcyjny Poniatowskiego, puścił się w te strony jednokonnym wózkiem. Po przebyciu wskazanej mu drogi, stanąwszy rano w karczmie pobliskiej we wsi Kaszówce, dowiedział się, że dzwon, dający się tam słyszeć, jako w niedziele, dochodził od kaplicy miejscowej dziedziców wioski, państwa Kaszowskich. Postanowił przeto być tam na Mszy św. Tę jego pobożność Bóg mu wynagrodził.

Przywdział w karczmie porządny kontusz ze złotolitym pasem, uwiązał przy boku pełną blasku karabelę, a przy nadzwyczaj pięknej urodzie, przybrał pozór znakomitego obywatela. Narzuciwszy hułkę na cały swój ubiór, zaparadował pokornym wózkiem przed kaplicę, gdzie już stała kolasa mego dziada, przybyłego na Mszę z Hołuzyi.

Po skończonem nabożeństwie pan Kaszowski, uprzejmy sąsiad, zaprasza mego dziada na obiad,

a dostrzegłszy stojącego obok ławek obywatela, zapytuje dziada mego, czy on z nim przyjechał. Okazało się, że ów przybyły nie był znany zarówno im obu. Gospodarz, nie ważąc na to i nieznanego go zaprasza.

W domu, tuż przy kaplicy, ów gość dał się poznać i ujął ich serca, jako konfederat barski. Następnie dziad mój, wysłuchawszy wyvodu jego pochodzenia, uznał go bratem w dalszym tylko stopniu, tembardziej, że i sygnet rodowy na palcu z naszym herbem „Trzaska“ wspierał to pokrewieństwo.

Po obiedzie dziad mój, odjeżdżając z Kaszówki, zabrał go do swej kolasy, a wózek z woźnicą potoczył się za nimi. Gościł pan Antoni-Bonawentura czas jakiś w Hołuzyi; nakoniec, sprykrzywszy sobie bezczynność, objawił, po co przybył: prosi o protekcję do którego z magnatów wołyńskich, gdzie mógłby przyjąć obowiązek jakiegobądź oficjalisty. Dziad mój napisał list za nim do najlepiej znanego sobie księcia Sapiehy, wojewody smoleńskiego. Przyjął i to, jakie się zdarzyło, byle miał jakieś zajęcie.

Ale była tam młoda, piękna a bezdzietna wdowa po starym, niedawno zmarłym koniuszym, który wielkich u księcia doznawał względów. Wdowa, jeszcze w żalobie, a lubo Niemka rodem, pokochała Polaka. Żeni się z nią pan Antoni i odbiera od niej w darze sześćdziesiąt tysięcy złotych, cały jej fundusz, przez pierwszego męża zapisany. Lecz niedługo cieszył się tym związkiem, po skończonym roku owdowiał bezdzietnie.

Pożegnawszy księcia Sapiehę, wyniósł się z kapitałem od żony otrzymanym w województwo Kijowskie i tam szczęśliwie po dzierżawach na ziemi ukraińskiej zaczął rozrabiać majątek. W przeszłym już wieku, przed ostatnim rozbiorem kraju, będąc dziedkiem dwóch wsi w powiecie Skwirskim, ożenił się powtórnie z panną Zawadyńską. Obrano go marszałkiem powiatu Skwirskiego, a gospodarzy i prze-

zornie oszczędny, stał się wkrótce panem pięciu wsi i kapitałów.

Gdy w tak zamożnym był stanie, zjawili się dwaj synowcowie po jego bracie rodzonym, których obdarzał tymczasowo, karmiąc niepłonną nadzieją ztąd, że własnego nie doczekał się potomka. Jeden z tych synowców obrał sobie stan duchowny i był niedaleko od stryja proboszczem, którego, mieszkając w Carówce, osobiście znałem; drugi, mi nieznanany ożenił się i zostawił syna, dziś zamożnego obywatela gubernii Kijowskiej; ten wnuk marszałka po jego bracie, imieniem Aleksy, posiada piękny majątek nad Dnieprem.

Po śmierci pana marszałka, gdy się okazało, że pozostała po nim wdowa, Zawadyńska z domu, miała zapewnione jego testamentem dożywocie na wszelkich męża funduszach, tak nieruchomości, jako też licznych remanentach, synowcowie nieboszczyka, to jest ksiądz proboszcz i brat jego, a ojciec Aleksego, przez dobrowolny układ z dożywotniczką, przyjęli od niej trzykroć sto tysięcy złotych, a zrzekli się sukcesyi po stryju, przyznając jej prawo dziedzictwa posiadanego po mężu majątku.

Ten z nią układ okazał się dla nich korzystnym, dożywocie jej bowiem nie prędzejby się skończyło, aż w lat czterdzieści z górą od terminu tego układu, to jest w dniu jej śmierci, która nastąpiła w 1847 r.

Wracam do naszej wizyty u pani marszałkowej. Grzecznie nas w domu swoim przyjęła i uprzejmie na noc zatrzymała, lubo po raz pierwszy wówczas daliśmy się jej poznać, bardzo życzliwie o zdrowie naszych rodziców pytając; znani jej oni byli ztąd, że za życia jej męża ojciec mój razy kilka, a z matką naszą raz tylko etykietalną wizytę dopełnił. Uwydatniam tę jej życzliwość dla wątpliwości, jak się to niżej okaże.

Pozegnaliśmy ją nazajutrz. Miała wówczas pe-

wnie lat pięćdziesiąt kilka, bez najmniejszego śladu, ażeby mogła kiedyś być piękną. Chuda, sztywna, z twarzą rysów niewróżących dobroci, strojna w loki z włosów niezawodnie cudzych, tuląca się codziennie w drogim szalu tyftykowym, z prawdziwemi na szyi perłami wielkości grochu, które spinała klamrą z soliterem brylanta, lubiła, stojąc w pokoju, przybierać pozę znaczącą, gdy nam deklamowała fraszki z dziejów swego sąsiedztwa nie warte wspomnienia. Posiadała też rzadką sztukę przeciągania błahych monologów.

W lat kilka po tej wizycie naszej w Toporach, już po śmierci czcigodnego ojca mego, gdy raz będąc w Zwiąhlu za pewnym interesem, odwiedziłem tamtejszego wówczas marszałka Mikulicza (ojca), który mnie zaprosił na obiad, zastałem tam, obok kilku znajomych mi osób, nieznanego dla mnie księdza proboszcza z miasteczka Połonno.

Gdy się dowiedział o mojem nazwisku, zbliżył się i zapytuje o imię mego ojca, a skoro powiedziałem, że jestem synem Prokopa, zawołał:

— O, mój Boże! Znaliśmy się dobrze! Może pan od ojca słyszałeś o mnie. Jestem Palhejm. Nazwisko jakby nie polskie, przecież z duszy i ciała, Bóg świadek, żem Polak! Poznałem i panią starościnną, matkę pana, gdy oboje byli w Toporach, gdzie długo mieszkał jako tamtejszy proboszcz. Ja to z woli ś. p. pana marszałka Konopackiego pisałem po jego dyktowaniu testament, który lat dwa, już podpisany przez świadków i przez niego, zostawał w moich rękach. Przez ten testament, marszałek powodowany wdzięcznością za coś dla dziada pańskiego, którego tam nazwał bratem w dalszym stopniu, zapisał był panu staroście Prokopowi, czyli raczej trzem synom jego, piękną wieś z dóbr swoich, Rzewuchę. Lecz potem, gdy marszałek mocno już był chory i nie miano nadziei, ażeby ozdrowiał, marszałkowa przez karteczkę do mnie zapotrzebowała swego testamentu.

Wiem z pewnością od naocznych świadków, że go podarła, gdy mąż był już konającym. Po jego śmierci okazał się inny testament, którym żona ma nadane sobie prawo dożywocia na wszelkim majątku po nieboszczyku, a o panu Prokopie i synach jego już tam ani wzmianki nie ma. Tak panie, tak! słowem kapłańskim upewniam, że testament był zmieniony wówczas, gdy nieboszczyk blizki był skonaniam i kiedy już własnej nie miał woli.

Wysłuchawszy tej proboszcza opowieści, rzekłem mu:

— Niech Bóg osądzi tę sprawę, Bóg, który bez tych zapisów raczy nas nie wypuszczać z pod swej opieki!

W tym 1819 r., gdyśmy mieszkali oba w Carówce, spotkał nas okropny wypadek.

Wyjechaliśmy byli na parę tygodni do domów rodzinnych. Gdyśmy wracali, jak zwykle na Berdyczów, znalazła się potrzeba sprawunczków do domu. Były to żelazta, jako to: siekiera, młotek, kłódki, kłamki i pół puda wyborowego tytoniu tureckiego na złotych dziesięć za oko, co dziś u nas, po wojnie krymskiej, choćby na wagę złota naprózno by szukano jakby ptasiego mleka. Wszystko to leżało w nogach naszych pod fartuchem koczobryka.

Deszcz ulewny napadał nas w drodze. Zapięci w budzie firanką, wjeżdżamy traktem zwykłym do Radziwilówki, wioski należącej do samotnika, wdowca, pana Wojciecha Rothariusza, dobrze nam znajomego o milę sąsiada.

Brat mój chciałby wstąpić tu na obiad. Ja zaś, znużony włóczęgą dni kilkunastu, radbym odpocząć już w domu, moja uwaga przemogła. Konie nasze młode, ogniste, dobrze dobrane gniadosze, bez względu na coraz większe błoto, szparkim biegły klusem. Furman puszcza je zwykłą drogą wprost na groblę.

Deszcz tam od dwóch dni padając, zalał ślady nowej na prawo drogi poniżej grobli, gdzie tymcza-

sowo, dla reparacji grobli, sporządzono mostek na fosie, a w miejscu dawnego mostu położono tylko trzy tarcice dla przewożenia taczkami ziemi potrzebnej na groblę. Przy tych deskach, furman raptem wstrzymał konie. My w budzie, firanką od deszczu oslonieni, nie wiedzieliśmy dlaczego. Lokaj za budą, sądząc, że będzie potrzebnym, zeskoczył z tłumoka i w błoto głośno klapnął nogami. Żartkie konie na ten odgłos ruszyły na deski, a w tejże chwili orczykowy z mojej strony zleciał w przepaść głębokiej fosy i pociągnął za sobą wszystkie trzy konie i powóz z nami. Sam Bóg tylko mógł nas tam wyratować.

Nie wiem, jak zleciałem na leżące w głębi fosy konie i po ich karkach, jakby wśród walki o życie, wydobyłem się na wierzch, nie wiedząc jeszcze, co się dzieje z bratem. Ale za chwilę i on się nad fosą pokazał. Okryci błotem, winiszaliśmy sobie ocaleńia bez najmniejszego szwanku.

Był to jakiś dzień świąteczny. Za groblą przy karczynie gromadka włościan patrzyła na nasz wypadek i natychmiast zbiegli się na ratunek, czy przez chrześcijańską miłość bliźniego, czy dla zarobku, mniejsza o to. Dość na tem, że ci ludzie wyciągnęli z przepaści powóz połamany i konie w niczem nieuszkodzone, tylko drżące, może z przestachu, a może od chłodu, bieżącą wodą zmoczone.

To zaś wszystko, co było sprawunkiem, spadło na zawsze, żelaztwo poszło gdzieś na dno wody, a z wodą popłynął nasz wyborny tytuń do dalszego stawu, a może przechodząc koleją aż do Czarnego morza, oparł się w końcu o rodzinną ziemię.

Jeden z włościan, posłany do dworu, dał znać o nas panu swemu. On zaraz nadjechał konno z kozakiem i żartując z nas, zawołał:

— Dobrze wam tak! A czemu przed groblą na lewo ominęliście drogę do mnie? Przyjmijcie to za karę.

Brat mój tłómaczy się, że chciał wstąpić, ale ja byłem już zmęczony podróżą.

A on rzekł na to:

— Siadajże, Franciszku, na konia kozackiego i jedźmy, ażeby przyspieszano obiad, a ty, Szymonie za to, żeś nie chciał wstąpić do mnie, musisz tu poczekać, aż przyślę mój powóz po ciebie.

Po obiedzie odesłał nas dobry sąsiad swoim powozem, a nasz później oddany był do naprawy. Zaczny to był człowiek ten pan Wojciech, pilny gospodarz; ale szydersko uśmiechał się na wspomnienie o literaturze, a nawet o gazecie. Należał on do niewielkiej już wówczas liczby żartujących z jakiej-bądź wiedzy, nabytej z czytania.

Tacy, jak pan Wojciech, mawiali o szukającym tej wiedzy:

— To człowiek, panie, do niczego! bo to ani do chartów na polu, ani do kielicha! On z Homerem tylko obcuje.

Raz wracając sam z Berdyczowa, wstąpiłem do niego. Lokaj oznajmił mi, że pan na toku. Zanim nadszedł, ja, chodząc po pokoju świeżo pobielonym, dostrzegłem za piecem jakąś książkę pobryzganą wapnem, czy gliną. Ciekawością zdjęty nad tem zjawiskiem u pana Wojciecha, który czytanie zowie próżniactwem, wydobywam laską ową książkę. Była to w formie ćwiartkowym przedwiecznej edycji, obdarta, bez początku i końca, historia państwa tureckiego.

Gdy przerzucam kartki tej książki, nadchodzi z toku gospodarz. Po uściskach powitania proszę go, ażeby mi darował tę książkę u niego w poniewierce, przez wzgląd na to, że ją wy dobył z niewoli za piecem.

— O, przebacz! To na cały mój dom jedna tylko książka z przymiotem już wypróbowanym. Zdarza się, że czy to w dzień, czy w nocy, czegoś

zasnąć nie mogę. Ona jest na to lekarstwem, biorę ją w rękę i zanim dojdę do pół kartki, już chrapię.

Pod koniec lipca ojciec mój listem przez posłańca wezwał mnie do siebie po to, że ma polecić mi interes do załatwienia w Żytomierzu. Gdy przybył do Szulajek, zastałem ojca zajętego zliczaniem wedle jakiegoś rejestru rozmaitej w srebrze monety. Dawniejsze asygnaty, niestalej wartości i do czwartej części niżone, były u nas w pogardzie i służyły tylko albo na podarki, albo na łapowe ofiary, a przytem zwykle na zachętę do pośpiechu w kancelarych sądowych. Nowe, dzisiejsze asygnaty, równej ze srebrem wartości, zjawiły się nie wpieryw, jak za panowania cesarza Mikołaja, około 1840 roku.

Po mojem powitaniu, ojciec rzekł do mnie:

— To są pieniądze, zebrane przezemnie na kościół uszkodzony przez pożar w Łucku; ofiara to obywateli, sąsiadów naszych. Odebrałem odezwę o to od biskupa Cieciszewskiego. On dziś na noc ma być w Romanowie, na jutrzejsze, w dniu pierwszym Augusta, imieniny senatora Ilińskiego i ma w tym dniu, z wielką asystencyą księży okolicznych, poświęcać miejsce na kościół dla jezuitów romanowskich. Warto, ażebyś i ty powinszował senatorowi. Ile razy tam jestem, zawsze się pyta o ciebie i bardzo życzliwie wspomina za to, że w Petersburgu, miejscem, jakie on wyjednał dla ciebie przy granicy pruskiej, wzgardziłeś dlatego, że on ci nadmieniał o znacznych akcydensach pobocznych, do tego miejsca przywiązanych.

Nazajutrz przybywamy do Romanowa. W sieniach pałacu mój ojciec zapytał lokaja o apartament zajęty przez księdza biskupa. Weszliśmy do wskazanych pokojów na dole, gdzie za nami wniósł nasz lokaj worek z pieniędzmi. Ojciec z tą ofiarą na kościół wszedł do dalszego pokoju, gdzie spotkaliśmy już ubranego biskupa. Bardzo uprzejmie byliśmy powitani.

Po kilku słowach mego ojca o spełnieniu ode-



branej od biskupa odezwy i po złożeniu na stoliku opieczetowanego worka, który świadczył o gorliwości obywateli ku dobru Kościoła, biskup w wyrazach wdzięczności oświadczył podziękowanie.

Wkrótce tam nadszedł senator, okryty gwiazdami, mianowany powszechnie przez duchownych protektorem religii katolickiej. Patrzyłem na wzajemne ich zabiegi o uniżoność w powitaniu. Senator chciał ucałować rękę pasterza, ten, nie dopuszczając go do tej pokory, chciał go w niej zwyciężyć, wymykał swoją rękę, usiłował ucałować senatorską. Wśród tej walki skończyło się na tem, że biskup ucałował rękę protektora religii.

Przed obiadem było solenne poświęcenie miejsca na kościół jezuicki. Położono na fundament kamień węgielny, poświęcony przez biskupa. Zjazd ludu i księży był nadzwyczajny. Następnie byliśmy na wystawnym obiedzie. Poważna rogowa muzyka, z parku dochodząca do nas, nadawała jakoby uroczystość tej uczcie. Po czarnej kawie, w bawialnych, pełnych gości pokojach, biskup wolnym krokiem zbliżał się do znajomych sobie niektórych osób dla rozmowy z nimi, a nieodstępni dwaj kanonicy tuż za nim, trzymali w rękę kraj wierzchniej jego szaty.

Jednym z tych kanoników był proboszcz tutaj wiecki, mój niegdyś nauczyciel, Francuz de Vilmin. Syci tych wszystkich ceremonij i okazałości, wróciliśmy do domu.

Niebawem wyruszyłem do Żytomierza w interesie mego ojca z informacją od niego powziętą. Co wynikło z tej podróży mojej, najdokładniej wyjaśni list mój w roku następnym, do przyjaciela pisany, który tu dosłownie przywiode. Ten list, czyli raczej wyjątek jego, poufnie posłałem senatorowi Skibickiemu dla wiadomości, jak wszedłem do komisji edukacyjnej, a pan senator podał go do *Gazety Warszawskiej* i umieszczono go po mojej rozpra-

wie o teźże komisji w N-rze 62 *Gazety Warszawskiej* 1857 r.

Kopia wyjątku z listu mego pod dniem 10 lipca 1820 r. Ten list zwrócono mi po śmierci Mikołaja Węza z wielu innemi, niegdyś przezemnie pisanemi do niego.

„...Badasz mnie, co tu robie? Jak mogłem po tak serdecznem wzdychaniu do niezależności, do ciszy wiejskiej i do swobody, zamieszkać w mieście na to, ażeby znów dobrowolnie zaprządz się do pracy? Słuchaj, a dziwić się będziesz, jak wpadłem w samotrask, zastawiony przez ludzi uczonych.

„Przeszłego roku, wśród lata, wzywa mnie mój ojciec do siebie i poleca staraniu memu w Żytomierzu dość pilny interes w rządzie gubernialnym. Przybywam tam i ani mam w myśli uderzać natychmiast czołem przed jakąbądź z przeważnych figur w mieście. Wypadało wprzód wywiedzieć się w kancelarii o stopniu, na jakim rzeczywiście stoi powierzony mnie interes, i następnie przepuścić go przez radę życziwych. Cały dzień pierwszy zszedł na tem. Wieczorem wracam do kwatery i zastaję bilet wizytowy hrabiego Platara. Zdziwiła mnie ta grzeczność wicegubernatora, z którym nawet niewiejką miałem znajomość. Lecz podobnie skończyło się na bilecie; bo on, jako prezydujący w izbie skarbowej, jeszcze był z sesji nie wrócił.

„Dnia tegoż po południu przynoszą mi od niego bilet z wezwaniem na bal dzisiejszy. Wpadłem na domysł, lecz nie bardzo trafny, z kąd grzeczność jedynie: zdało mi się, że hrabia chce mieć młodzież do tańca, że powziął wiadomość z policyi o nowo-przybyłych do miasta i ztąd niespodziana jego wizyta, ażeby na wieczór zaprosić.

„Zgromadzenie zastałem liczne; miła wszystkich ożywiła harmonia.

„Gubernator, generał Giżycki, nic udać nie umie; wesolość jego zda się cofać go do lat prawie dzie-

cinnych. Pocięcha była widać, jak poważny a lubiony naczelnik nasz skakał przed damami <sup>1)</sup>. W liczbie wyższych urzędników był marszałek gubernski z rodziną, księżę Eustachy Sanguszko. Słusznych już i bardzo miłych ma synów. Pomiędzy pięknościami jaśniała wdziękiem, grzecznością i, zda się, dobrocią, bawiąca przy gubernatorstwie synowica jego, panna Eliza. Młodzież pocichu szeptała, że hrabia stara się o jej rękę i że ten bal jest dla niej.

„Ku końcowi tańców, gdzie i mnie dostało się przewirować z nią jedno koło sztayera, gospodarz bierze mnie pod rękę na bok i rzece:

„— Pan możesz mi się wymknąć; a mam ważną prośbę do niego: oto chciałbym, abyś jutro zrobić mi raczył przyjemność i przyjął między pierwszą a drugą obiadek sam-na-sam. Wypijemy po dwa kieliszki wybornego *vin de comète* z roku 1811, jeden dla zdrowia, a drugi na wiwat, zgoda?

„— Bardzo chętnie służyć będę panu hrabiemu. Ale zdaje się — rzekłem — że pomiędzy nami nie było i nie ma sporu.

„— Pamiętaj pan, coś wyrzekł. Bardzo cieszy się będę ze zgody naszej.

„Nie była pora badać; bo wnet odleciał jak z procy, aby zatrzymać kogoś z odjeżdżających gości, a silna ciekawość bodła, gdym wrócił do siebie. Nazajutrz, o naznaczonej godzinie, przybywam do hrabiego. Zastaję przed domem powóz jego zaprzężony; w pokoju stolik nakryty na dwie osoby, a gospodarza z książką w ręku. Po przywitaniu zapytał:

„— Czy pan zna śpiewy historyczne Niemcewicza?

„— Znam, a nawet mam je u siebie.

„— Może pan pamięta treść przedmowy autora. Ale nie zawadzi odczytać jej jeszcze; tylko proszę

<sup>1)</sup> Później, w tymże roku, dobra harmonia pomiędzy owym gościem a gospodarzem zewaną zostają,

o wielką uwagę. Przebacz, panie, że na chwilę zostawię cię samego. Odwiedzę przyjaciela, o którym dano mi wiedzieć, że zachorował. Za dziesięć minut wrócę“.

„Ścisnął mi rękę i odjechał.

„Zagadką, szaradą, a nawet logogryf nie tak byłby trudny do rozwiązania, jak rzucenie mi tej przedmowy. Czytałem ją przecież z uwagą; ale choć w łeb strzel, ani domyślam się, o co mu idzie. Nakoniec wraca hrabia; mówi o cierpieniach przyjaciela, o doktorze przy nim, a o Niemcewicu ani słowa. I ja o nim nie wspominam, bom począł sobie wnosić, że gospodarz, zaprosiwszy mnie, chciał czemkolwiek zająć, nim z koniecznych odwiedzin powróci.

„Przy obiedzie mówiliśmy dość szczegółowie o niektórych osobach, jakie były na wczorajszym u niego wieczorze. Przeszedł potem do badań, jakie też w stronach naszych robi wrażenie rozkaz sadzenia drzewek po traktach pocztowych, co dziś tak powszechnie wieśniaków zajmuje? Słowem, gawęda Bóg wie o czem, ciągle ożywiana, tak, że nakoniec Niemcewicz zupełnie wyszedł mi z myśli.

„Po ukończonym obiedzie, gdyśmy pozostali sami, a lokajowi nie dozwolił sprzątnąć wina, zapytuje:

„— Jak pan mniemasz o zdaniu w tej przedmowie, co do charakteru Polaków?

„— Niebardzo pochlebne, ale oparte na faktach dziejowych.

„— Tak, tak! Prawdę powiedział! Snadny u nas wybuch zapału do szlachetnych przedsięwzięć. Głos potrzeby krajowej budzi ospałych nawet i nawet jest gotowość poświęcenia się na wszystko, cokolwiek znamionuje wyższość charakteru. Ale biada nam! Zrazu wstępnym bojem umiemy zwyciężać trudności; później, stopniami, duch swolna upada, i w końcu, ów zapał szlachetny gaśnie, jakby go nigdy nie było. Powtarzam to zdanie Niemcewicza w tem przekonają-

niu, że propozycję, jaką mam panu objawić, a od której nawet już mu cofnąć się nie wypada, przyjmiesz najgoręcej; ale czy pan dotrwasz?

„— Znam zasady pana hrabiego, jak je zna każdy wołynianin. Wszelka jego propozycja miłym będzie dla mnie obowiązkiem, bylebym podolał.

„— Za zdolność byłego podsejdyka ja przed władzą wyższą przyjąłem już na siebie odpowiedzialność, a za zgodę w przyjęciu mojej propozycji, jakakolwiek ona będzie, wychylmy kieliszek“.

„Wzrasta moja ciekawość, a hrabia niebawem przemówił:

„— Oto zacny obywatel, Tomasz Borkowski, który wzorowym z pracy i gorliwości był urzędnikiem komisji edukacyjnej, umarł w tym roku. My, członkowie tej komisji zebrani w Krzemieńcu, przedstawiliśmy pana księciu kuratorowi do zajęcia miejsca po Borkowskim.

„— Pozwoli hrabia wiedzieć, jaki to jest obowiązek? Tej bowiem jurysdykcji prawie nie znam.

„— Mianowanie pana na ten urząd jest dowodem wielkiej ufności, jaką w jego charakterze pokłada władza czuwająca nad środkami publicznego wychowania. Jest to urząd plenipotenty, czyli prokuratora funduszy edukacyjnych w trzech naszych zachodnich guberniach“.

„Na ten wyraz *plenipotenty*, zimno poczułem. Sięgam po niedopity kieliszek, aby przytłumić niesmak, a hrabia opowiada to wszystko zwięźle i treściwie, co tu niżej o komisji znajdziesz. Słodzi, okrasza przyszłe moje trudy, a przecież dostrzega, że ja w nich wcale nie smakuję. Wpada więc w zapał kaznodziejski; przedmiot łatwy: dobro publiczne. Po silnie przypuszczonym ataku, jak niegdyś w Warszawie na trudne po mnie wymagania Jana hr. Tarnowskiego, powiedziałem mu:

„— Przebacz, panie hrabio, że w tak stanowczej okoliczności, bez rady ojca mego, nie uczynię kroku,

„— Na to zgadzam się — z uśmiechem mi odpowiedział, — Starzy a rozsądni, zwykle są tego zdania, że młodzież, zdalna do umysłowej pracy, nie powinna grzeszyć bezczynnością. Wiem, że pan począłeś niby trudnić się gospodarstwem, żeś wziął dzierżawę w gubernii Kijowskiej. Ale nam wiadomo i to, że tam gospodarstwo jest łączne z młodszym jego bratem, który podobno więcej ma w niem upodobania. Po dwuletnim pobycie w Warszawie, gdzieś pan nie próżnował, dość już tego wytchnienia na wsi. Powie ci to zapewne i ojciec“.

„Pożegnalem hrabiego Platę, upewniając, że za dni kilka wrócę z decyzją stanowczą. Przybywam do rodziców. Zastaję list do mnie, wczoraj przez kogoś z pod Żytomierza przysłany. Z adresu poznałem rękę czcigodnego Alojzego Felińskiego. Pisze z Wołosowa, iż ma być dyrektorem szkół wołyńskich i liceum. Nie pomnę, czy mówiłem ci kiedy, że w roku 1816 ofiarowano mu katedrę literatury w liceum warszawskim, przy korzystniejszych niż tu warunkach materyalnych; wiem o tem, bo to było przy mnie. Tam odmówił, aby się poświęcić rodzimej prowincji. Tym listem wzywa mnie, prosząc najusilniej, abym się nie wymawiał od urzędu, do którego bez mojej wiedzy już mnie przedstawiono wyżej, jak mu donosi z Krzemieńca dawny kolega młodości jego, przyjaciel z roku 1794, Franciszek Rudzki; a kończy Feliński tem do mnie:

„— Gdy przyjedziesz i zamieszkas, Krzemieniec stanie mi się rajem!“

„Opowiedziałem rodzicom, o co idzie. Kochany ojciec radość objawił. A ja na to z wyraźną niechęcią:

„— Ależ plenipotent!... Do wojny z całym światem!... A mnie tak miły pokój z ludźmi!

„— Będzie tam i pokój — ozwał się ojciec. — Rzadko natrafisz na tak zaciętego, aby przeciw oczywistym dowodom stawiał opozycję. Tobie co inne-

go w myśli; przyznaj się! Byłeś trzy lata z wyborów podsędkiem w towarzystwie poważnych ludzi; otoż dzisiaj przykro ci spadać z tego tytułu. Ale w błędzie jesteś. Wszakże plenipotent partykularny nawet, który umiejętnie osłania od pieniactwa, a często przywodzi strony do podania sobie ręki, zasługuje na powszechny szacunek. Masz na to przykład na pocziwym A. P., który, lubo tak młody, już od wszystkich jest wysoce poważany. Wiadomo ci, że takim był, podobnież partykularnym, ten, co później za czasów rzeczypospolitej został podkomorzym buckim i kawalerem Orła Białego, któremu prezentowałem cię kiedyś na wyborach, dzisiejszy senator. A iluż-to z dawnych mecenasów, dla gruntownej wiadomości prawa i znanego charakteru, mieliśmy zacnych deputatów sądu głównego, a nawet prezesów! Tu zaś jest to zawsze urząd, a nawet uważałyby go można, jakby pierwszą instancją w sprawie funduszowej. Ten urząd daje opinię o dokumencie; a komisya przy stawieniu się wezwanej strony tę opinię potwierdza, albo kasuje. Bez wiedzy twojej podano cię na to; jakże się nie cieszyć? Widzę w tem łaskawe o tobie mniemanie: wyraźne świadectwo szacunku osób, co tę komisję składają.

„— Ja sobie tak nie pochlebiam, bo im nieznanym — rzekłem — cokolwiek tylko hrabiemu Platerowi, przed którym zanadto nagadał o mnie tenże sam A. P. Hrabia wprzód jemu ten urząd ofiarował; ale on dla ważnych partykularnych interesów przyjąć go nie mógł, jak później sam wyznał przedemną; a sądził, że wyświadczy przysługę, gdy wyrwie mnie ze wsi.

„— Bardzo wdzięczny mu jestem; bo też na życie wiejskie będzie jeszcze pora, kiedy Bóg da, że się ożenisz; a dziś młody jeszcze po temu, pracuj synu dla dobra ludzi. Tyle tylko możesz poświęcić się publiczności, nim cię obsiedą żona i dzieci, przy których człowiek już o sobie tylko myśli. Nie bę-

dziesz tam do siwego włosa; a tymczasem zajęcie miejsca po tak reputowanym prawniku, jakim był cnotliwy Borkowski, może tobie utorować drogę na później do wyższych urzędów w obywatelstwie. Mówcie wy, młodzi, co chcecie, zawsze *vox populi, vox Dei*. Kiedy świat widzi, że człowiek nie przemarnował lat młodszych na hulance, a dźwigał coś wedle siły dla dobra innych, to mu nie zapomną tego. Ot tobie i ten patent na krzyżyk naszego patrona poświadczy kiedyś, że niedarmo chleb jadłeś w stolicy. A potem, czy śmiałyś co odmówić przeciwnemu Felińskiemu? Albo czy on może źle tobie radzić?... Ile razy mówię o nim, zawsze na to westchnę, że on się nie ożenił z naszą dobrą Zosią. Dziś ona biedaczka pewnie płacze na to.

„Trzeba ci w nawiasie wiedzieć, kochany Mikołaju, że Feliński, później ożeniony z Omiecińską, starał się wprzód o posażną a bardzo miłą Zosię Zaleską, krewną mego ojca. Byłoby przyszło do związku, ale na biedę ich obojga, piękny legionista, pan Litwiński, ozdobiony krzyżem wojennym, oczarował ją i schwycił. Zdało się ludziom, że dobrani; bo on i ona zarówno lubią posiedzieć nad ksążką. Tymczasem z tego właśnie ich upodobania nastąpiło silne nieporozumienie. Czy uwierzyłbyś? Mając już dwoje dzieci, owa Zosia, jest dziś w separacyi z mężem. A o co? Bo ona niezachwianie utrzymuje we wszystkim zdanie Jana-Jakóba, a on Woltera. Może ten powód świat sobie wymyślił, świat złośliwy, tam, gdzie nie cierpią mądrych kobiet.

„Wracam do rzeczy. List Felińskiego i wola ojca położyły koniec owemu wahaniu się. Przybywam znów do Żytomierza. Zastrzegam sobie u hrabiego Platara, choćby dla formy, zwiedzenie wprzód naoczne w Krzemieńcu archiwum komisji, abym przecież mniej-więcej poznał, co mnie tam czeka. Dał mi hrabia list do pana Rudzkiego, pisarza komisji, a drugi do księcia Maksymiliana Jabłonowskiego,

członka czynnego tej komisji; wiedział bowiem, że mam jechać na Krzywin.

„Z głową szumiącą przyszłym kłopotem wstępuję do księcia. Było to przed południem. On mnie zaprasza na obiad. Nie wiem, z jakiej okoliczności zjazd był dość liczny osób z rodziny księcia i obcych. Prezentował mnie swojej pięknej żonie. Poznałem i siostrę jego, z krótko ostrzyżoną, a już błyszczącą srebrem doświadczenia głową, kanoniczką, która podobno z Wiednia przybyła. Księżna po obiedzie, dowiedziawszy się już od męża z listu od hr. Plate-ra, po co jadę do Krzemieńca, mówiąc ze mną, wydziwić się nie mogła, że mam zająć miejsce po starszym odemnie trzy razy, jak jej się zdało. Odpowiedziałem czarującej twarzą i grzecznością, że czas i praca może niezadługo poprawią mnie z wady młodości. I podobno zgadłem, bo nim rok upły-nie, ja przy jezuickich dokumentach pewnie posi-więję.

„W Krzemieńcu Rudzki bardzo mnie ujął. Ko-respondencya jego z Felińskim, który wówczas był jeszcze na wsi, łaskawie go o mnie uprzedzić mogła. Głowa uniwersalna! Z rysów twarzy uczoność prze-bija. Ma coś podobnego do popiersi mędrców gre-ckich. Obok tego miły często wymyka mu się do-wcip w obcowaniu, co rzadkim bywa przymiotem erudy-tów, jak on, który, oprócz pracownego urzędu w komisji, jeszcze ślęczy nad bogactwem niegdyś króla Stanisława-Augusta, nad licznym zbiorem, kil-kanaście tysięcy wynoszącym, numizmatów liceal-nych, jakie były w ręku Albertrandi'ego, a dziś są pod jego zawiadowaniem, i ztąd o duplikatach liczne miewa korespondencye z rozmaitemi akademiami Europy.

„Od owej daty pierwszego z nami poznania się przez te kilka miesięcy mego z nim pobytu wcale nie zawiodłem się na pociągu, doznany ku niemu przy pierwszej u niego wizycie. Starszy odemnie

o lat 25, a w sile i ruchach jakby młodzieńczych: na przechadzkach po tutejszych górach trudno za nim zdążyć. Lecz zwolniwszy kroku, jakże miło z nim bujać po owych wiekach, co na górze nad miastem dochowały wiele mówiący tytuł *królowej Bony*, gdzie dotąd sterczą skamieniałe latami resztki niegdyś zamku!

„Wracam do pierwszej u niego wizyty. Na moje żądanie poprowadził mnie do murów komisji. W sali dość obszernej, gdzie dostojni zasiadają, za-stałem zwykle po sądowych jurysdykcyach czerw-o-ne sukno na wielkim pośrodku stole, a na nim *Zer-cale*. Naucz, jakby to po naszymu nazwać, to mó-wiące o uszanowaniu dla miejsca trójścienne *distin-ctorium*, z orłem na wierzchu, a z prawami Piotra W.? Ale przeraziły mnie tam dwie potężne szafy, pełne odwiecznych papierów i ksiąg pojezuickich *in folio*, czarnych, jak dola tych nieboszczyków.

„W jednej szafie fascykuły ręką pracownitego ś. p. Borkowskiego naznaczone lubryką, jako już zde-cydowane przez komisye; w drugiej ujrzałem doku-menta, gdzieniegdzie tąż lubryką inaczej podkreśl-o-ne. Znak to jest, powiedział mi Rudzki, że z nich da się jeszcze coś wyciągnąć. A reszta w tej szafie nietknięta, gdzie mam rozpędzać mule, a kopać i szu-kać ożywcze źródła na fundusz ku rozwijaniu młodzieńczych zdolności, ku podniesieniu i rozsze-rzeniu oświaty. Powiesz pewnie: cel wzniosły! Tru-dno zaprzeczyć. Ale postaw się na mojem miejscu, a przejmie cię trwoga pracy nad błędem pismem opleśniałych dokumentów; trwoga więcej jeszcze doj-mująca, że komuś często narazić się można, doj-rzawszy okiem sumienia należność śpiącą sobie dotąd. Strach mnie ogarnął! I cóż? Oto wszyscy tu tak pięknym językiem umieją przemawiać o dobru przyszłych pokoleń, że wstyd było cofnąć się. A dziś wyrzucam sobie pocichu ten mój wstyd fałszywy; bo niezawodnie komisya nieraz czuje brak Borkow-

skiego, który w praktyce prawnej przeżył wiek cały.

„W późnej jesieni przeszłego roku nadesłano utwierdzenie; a ja, przybywszy tu dnia 8 stycznia bieżącego 1820 roku, wykonałem w owej sali przysięgę przed księdzem Aloizym Osińskim, profesorem liceum, z którym niekiedy miłe miewam towarzystwo w nawiedzaniu się wzajemnem. Co do członków komisji, a szczególnie co do czcigodnego prezesa Michała Sobańskiego, później będę o nich pisał. A tymczasem, dowiesz się o nich z kalendarza politycznego, który, wedle twego żądania przyłączam, a gdzie przez myłkę nazwano mnie *Stanisławem*.

„Łatwo sobie wyobrazisz radość moją z powitania Felińskiego, który już od listopada był tu dyrektorem liceum i profesorem literatury polskiej. Ale niestety! był tylko, a już go nie ma! Wiadomo ci, jak od pobytu w Warszawie serdecznie mnie z nim łączyły stosunki! Zapominam o sobie; lecz ileż to młodzież nasza straciła na tym zgonie tak nagłym! I jak pocziwe ich serca uczuły tę stratę!

„Ale słuchaj! Znasz mnie dobrze; wiesz, jak fałszem brzydę się, a może trudno ci będzie uwierzyć, że się stało, jak on sobie życzył. Oto raz, na dni kilka przed śmiercią, zatrzymał mnie u siebie na wieczerzę. Wesół, ruchawy, jak zawsze, twarz ciąglym nacechowana uśmiechem błogiej duszy; gdyśmy byli sam-na-sam, bada mnie, dlaczego zmieniłem humor? Zkąd to zasepienie, jakiego dawniej nie dostrzegał we mnie? Z całą otwartością powiedziałem mu, że mam nierad sobie; że nawet niekiedy zazdroszczę nieboszczykom.

„— Fe! — zawołał. — Wiem, że ciężką masz pracę w spiesznem przygotowaniu materiałów do sądu komisji. Ależ przelamać trudności i wytrwać mężnie jest to przysposobić sobie wieniec na późniejsze lata. Co do śmierci, powiem ci, że kiedykolwiek przyjdzie mi na myśl ta smutna konieczność, zwykle

przejmuje mnie tylko żal przedwczesny z opuszczenia drogich sercu osób; i dlatego radbym kiedyś, kiedyś tam, niespodzianie, bezprzytomnie umrzeć. Prawda, że tem trochę grzeszę, bo inaczej śpiewamy w suplikacji. Ale ja, szanując Kościół Święty, nie mogę wyrzec się tej pociechy, że Bóg widzi sumienie człowieka i dlatego najmniejszej trwogi o pośmiertną przyszłość nie czuję“.

„Patrz, kochany Mikołaju, jak spełniły się, tylko zbyt wczesnie, jego życzenia. Dnia 11 lutego bieżącego roku, jak tobie pewnie już wiadomo, w nocy, nagle zakończył życie. Nie dostrzegał najmniejszego śladu cierpień, któreby zapowiadał ten okropny wypadek! Dniem wprzód, wieczorem, w sali kasy nowej, siedziałem obok niego na koncercie panny Trętowskiej. Wesół, mówiący, jak zawsze, po koncercie wezwał mnie do bufetu obok i wypiliśmy z jednego butla po szklance limonady. Piszę ci o tem, bo tu rozeszły się były fałszywe wnioski, że ktoś mógł się przyczynić do jego śmierci. Któżby się na to znalazł tam, gdzie go powszechnie kochano? Na koniec, spać idąc, nic w usta nie brał, prócz owej ze mną limonady.

„Nazajutrz... etc.“

Ten wyjątek z mego niegdyś do ś. p. Mikołaja Węza listu, zwróconego mi po jego śmierci, przyłączyłem był poufnie do listu o krzemienieckiej sądowno-edukacyjnej komisji, dla wiadomości samego tylko senatora Franciszka Skibickiego, jak wszedłem do tej bezapelacyjnej jurysdykcji, a on podał go do redakcji „Gazety Warszawskiej“ razem z obszernym listem moim o komisji, i redakcja ów wyjątek umieściła w swej gazecie 1857 roku pod Nr. 62.

Takie istotnie było wejście moje do komisji edukacyjnej, jak je opisałem w liście do mego przyjaciela, ś. p. Mikołaja Węza, pod rokiem 1820, z którego powyższy wyjątek wszedł do „Gazety Warszawskiej“ 1857 roku za życia jeszcze niektórych te;

komisyi członków, i jak kalendarz polityczny z roku 1820 poświadcza. Na pół roku wprzód nie znalazłem jeszcze tej juryzdykcyi, a nawet w miesiącu sierpniu roku 1819 po raz pierwszy w życiu byłem na dwa dni w Krzemieńcu dla obejrzenia powierzzonego mi bez wiedzy mojej archiwum funduszków edukacyjnych i dla poznania, jaka tam praca mnie czeka, jako prokuratora, czyli plenipotenta owych funduszków.

W Carówce do późnej jesieni 1819 roku na próżno oczekuję urzędowego wezwania do Krzemieńca. Tymczasem, pismo do mnie adresowane, o czem nieprędko dowiedziałem się, mylnie odesłano z poczty skwirskiej proboszczowi, księdzu mojego nazwiska, i on je zatrzymał u siebie. Ostatnich dni grudnia nadesłano mi, nie pomnę przez czyje ręce, list od p. Rudzkiego o dawno wysłanej po mnie urzędowej odezwie.

Pożegnałem na zawsze progi naszej dzierzawy, zostawiając dowolne w niej władanie przez resztę lat czteroletniej posesyi kochanemu bratu Franciszkowi i z nim wyjechałem na święta Bożego-Narodzenia do rodziców, z kądem mam się udać do Krzemieńca.

Kochana matka, jak zwykle dobra kobieta, co tylko do serca sięga po zdanie o doli człowieka, dostrzegła nieznaną jej wprzód posepność w mej twarzy, jakby utajony smutek; z kądem nierada była mojemu losowi, litowała się nademną i odwodziła od trudów, jakie mnie czekają. A gdy zacny ojciec utwierdzał w zamiarze, powtarzając zawsze: człowiek w jakim bądź zawodzie, stworzony do pracy, i że każdy, o ile zdoła, ma się przyczyniać ku powszechnemu dobru, ona prawie ze łzami rzecze na to:

— Ależ młode lata poddawać pod jarzmo niewoli i ciągłej pracy, ktośby powiedział dla tej tam pensyi kilkuset rubli, jak gdyby nie miał z czego żyć, gdy jego rówieśnicy swobodni żenią się i są szczęśliwi! Zda się, że sam Bóg sprzeciwia się temu,

kiedy potwierdzenie na ten oplakany urząd nie on, lecz kto inny z poczty odebrał.

Na to kochany ojciec odpowiedział:

— Tę myłkę zrzucił wypadek; nie przywiązuujmy wagi do tego. Co do pensyi 900 rubli, jaką z kasy państwa ma on pobierać, ta wcale go nie krzywdzi. We wszystkich krajach urzędy są płatne; u nas tylko w prowincyach niegdyś do Polski należących zostawiono przy dawnych prawach miejscowych ten obyczaj, że urzędy, od wyborów zależące, mają nagrodę w położonej ufności współziomków. Lecz nadanie plenipotencyi do wyszukiwania funduszków edukacyjnych od władzy rządowej zależy. Mówisz o szczęściu domowem, o związku małżeńskim: Żenić się jeszcze mu nie pora, a jarzmo pracy, Bóg mu i opinia ludzka wynagrodzą.

Po świętach odwiedziłem z pożegnaniem domy krewnych Budzyńskich i pierwszych dni stycznia 1820 roku stanąłem w Krzemieńcu.

Serdeczneż było moje powitanie się ze czcigodnym Felińskim, jak gdybyśmy tam cieszyć się mieli sobą na czas długi! Podobneż było z ciotką moją Postruską z Krzywicz, która zjechała do Krzemieńca z córką jedyną, trzynastoletnią Bogunią, dla jej wychowania i ze swoją siostrą Raciborowską razem z jej dziećmi, Michałem i Walerką Raciborowskimi, które w jednym zamieszkały domu.

Dnia 8 stycznia 1820 roku, na sesyi komisyi edukacyjnej, wezwany ksiądz Alojzy Osiński profesor liceum, w tychże murach tuż przy komisyi mieszczącej, w całej formie zwykłej wysłuchał mej przysięgi na urząd. Poczem oddano mi odebrany z poczty pakiet, do mnie adresowany z uniwersytetu wileńskiego. Należy pamiętać, że ten uniwersytet z nadania cesarza Aleksandra I-go pod rokiem 1803 wiałal obszernym wydziałem edukacyjnym, najbogatszym ze wszystkich innych głównych zakładów podobnych w kraju; należały bowiem do niego, prócz

itewskich, trzy nasze zachodnie gubernie, wyłączając tylko białoruskie, które do innego wydziału załączono. Ztąd i fundusze edukacyjne w tym ogromnym wydziale wykryte i wykryć się mające przez dwie komisye, jedną w Wilnie, a drugą w Krzemieńcu, tudzież w ziemi liczne, dobra pojezuickie, podlegały rozrządzeniu uniwersytetu wileńskiego.

W pakiecie z Wilna odebrany otrzymałem szczegółową informację o potrzebie utrzymywania dwóch u mnie ksiąg dla wpisywania odchodzących odemnie i przychodzących z uniwersytetu pism urzędowych, a przytem polecenie tegoż uniwersytetu, abym co cztery miesiące dawał mu wiadomość o zakończonych, niemniej o wygranych przezemnie i przegranych sprawach w krzemienieckiej komisji edukacyjnej. Kiedy dziś swobodny, a więcej doświadczeniem wsparty, pomyślę o ciężarze, jaki wówczas na barki moje włożono, wydziwić się nie mogę łasce czuwającej nade mną Opatrzności, zemtemu podołał. Nikt z ludzi, Bóg tylko jeden pomagał mi.

Ku większej biedzie, trafiłem na porę zamieszkania wszystkich domów zwykle puszcanych w najem, i za żadne pieniądze nie było do najęcia, jak tylko zajezdne, żydowskie domostwa. Musiałem poprzestać na wyszukany przez faktora jednym pokoiku w oficynie przy domu pani majorowej Szejnowej, gdzie godząc się o tę kwatere dla mnie i przez sień o izdebkę dla mego lokaja, poznałem u niej pannę już lat podeszłych, szpetną jak grzech śmiertelny, z bielmem, czyli białą narością na jednym oku, nazwiskiem Urbańską, o której niżej nadmienię. Za cały sprzęt pokojowy dano mi tóżko, stolik i jedyne krzesło. Szwajcar, *alias* parobek, porządnie odziany, zniósł do mnie z szafy naszej komisji paki *in folio* papierów do swobodnego w ciszy przejrzania. Ten szwajcar na usługach juryzdykcyi, wniósłszy pierwszą z pak wskazanych przezemnie do wydania jednemu z kan-

celistów, zapytał spojrzeniem, czy ją położyć ma na mojem łóżku.

— Nie — rzekłem, nie tracąc fantazyi — papierom wygodniej będzie na ziemi.

I pod ścianą składając pakę przy pace, sznurkami dobrze obwiązane, nadałem temu pozór sofki, wprawdzie wąskiej, jak długość arkusza, ale długiej na cztery łokcie. Pomnę, jak mnie tam zmieszła niespodziana wizyta członków komisji: Feliksa Czackiego, Romualda Steckiego i szefa Józefa Drzewieckiego w towarzystwie pisarza komisji Franciszka Rudzkiego. Usadawiłem ich na łóżku i krzesle; a Rudzki, zawsze wesół, z gotowym na ustach żartem, usiadł na owej sofie papierowej, mieniać ją bogatszym nad aksamity meblem, bo w niej są krocie funduszów edukacyjnych. Tam stałem się wzorem dla uczniów do rannego wstawania; bo o godzinie czwartej już widziano światło w mych oknach, a mnie nad foliałami zapisów lub dekretów rozbiorowych, gdzie były ubezpieczone sumy Jezuitów albo duchowieństwa galicyjskiego.

Jak myśliwy po tropach zajęczych, tak ja w tych papierach szukałem śladów należności. Tej pracy ostodą bywały w pierwszym miesiącu wieczory u Felińskiego, lub z nim po znakomitszych domach dla wychowania dzieci tam zamieszkałych. U Felińskiego raz na tydzień zbierało się towarzystwo literackie wieczorem, gdzie ktoś zwykle rzecz wypracowaną prozą lub wierszem czytywał. Do chętnych słuchaczy i ja należałem. Dowiedział się o takich wieczorach mój dobrze znajomy sędzia powiatu Konstantynowskiego, zacy a pelen dowcipu Szumski. Osmielony odpowiedzią moją na jego odezwę, przybył do Krzemieńca dniem przed zwykłą sesją, abym go dał poznać Felińskiemu. Miał on czytać nazajutrz w zgromadzeniu literatów oryginalną swoją komedję, której tytułu dziś niepamiętam. Zjechał też na ten termin i Wacław Borejko, znany dawniej



Krzemieńcowi; był bowiem za czasów Tadeusza Czackiego członkiem komisji edukacyjnej, gorliwy o rozszerzenie światła obywatel. On, dbały o dobrą sławę Wołynia, wyczytawszy w „Dzienniku Wileńskim“ ohydny paszkwil na naszą prowincję z wyrzutami, jakoby powszechnej u nas ciemnoty, napisany przez Synkowskiego w przelocie pocztą przez Wołyń do Turcyi, silnie dotknięty, przywiózł pod sąd literatów usprawiedliwienie się z tak niecnych zarzutów, i miano to wysłać do tegoż „Dziennika Wileńskiego.“ Traf bolesny a nieprzewidziany przerwał te zamiary. Nazajutrz, rano, o godzinie ósmej, siedząc nad czytaniem dokumentów, słyszę niezwykle gwar na moim małym dziedzińcu, i wkońcu te wyrazy pani Szejnowej do wybiegających z jej domu malców:

— Tylko nic nie mówcie o tem przed panem podsędkiem, bo mocno się zmartwi.

O mnie mówią, a więc zajrzałem w okno: widzę biegnących natłocznie w jednym kierunku. Wychodzę ze szlafroku za bramę i wstrzymując jednego z malców, pytam:

— Gdzie tak pilnie biegniecie?

— Ach! — zawoła — pan dyrektor umarł!

— Boże!

I bez czapki, w szlafroku, spieszę za nimi. W pierwszym pokoju, znajduję kilku profesorów i prefekta Antoniego Jarkowskiego, który mnie wita temi słowy:

— Dobrze, żeś pan tu przybył. Poradz nam, panie podsędku! Idzie o to: czy trumna ma być czerwona, czy czarna?

Oburzyła mnie ta obojętność pedagoga. Bez odowiedzi wbiegam do sypialni. Tam zastałem Rudzkiego z załamanemi rękoma i kilku doktorów ze smutkiem na twarzach; trup w łóżku leżący nawnak, a u nóg jego aptekarz sposobni stopy galwaniczne. Nim on ukończył zastosowanie łańcuszka do ciała, położyłem rękę moją na żołądku zmarłego i ciepło

jeszcze poczułem. Gdy stopy galwaniczne zaczęły działać, ujrzałem dość wyraźne ruszanie się powiek nieboszczyka. Powziąłem jakąś otuchę. Lecz obecni medycy niebawem wywiedli mnie z ułudy. Okazało się bowiem, że jeszcze nie są to znaki życia. Kaza-no nacierać podeszwy drucianą szczotką — i ten środek nie wrócił mu życia. Wbiegł Kłębowski, malarz, z nagiętem na ramach płótnem i z pastelami. Wszelki ratunek widzę już niepodobnym, i lży mi się polaty. Z boleścią w sercu odszedłem do mojej samotni. Tam przywiodłem sobie słowa jego listu do mnie z Wołosowa:

„— Gdy przyjedziesz i zamieszkas, Krzemieniec stanie mi się rajem!

O! był też to mój przyjaciel, jakich mało! Ja-koż silnie uczułem tę stratę! Czemże jest to życie długie, którego sobie wzajemnie życzymy?... Oto w moich 83 latach mam w zysku rozpamiętywanie bolesnej przeszłości, ten jedyny owoc tylu łez, wylanych nad mogiłami najdroższych sercu!...

Rozszedł się odgłos po Wołyniu i dalej o nagłej śmierci Felińskiego. Liczne obywatele zbiegowisko napelnilo ludny bez tego Krzemieniec. Śród pogrzebu nadjechał z Galicyi Jan hrabia Tarnowski, kasztelan Królestwa Polskiego, wierny od szkół przyjaciel Felińskiego. Powitał mnie w kościele stojącego na uboczu za filarem, ciężkim przejętego smutkiem, gdzie mu ze łzami powiedziałem, ileśmy stracili.

Po żałobnem z wielką wystawą nabożeństwie, po uczczeniu egzortą i mowami starszych uczniów szlachetnego dla oświaty poświęcenia się zmarłego, złożyliśmy zwłoki jego tymczasowo w dolnym licealnym kościele. W tymże dniu zeszło się nas kilku do Rudzkiego, gdzie mieliśmy pod rozługą jego podany nam pomysł, aby jakim bądź godnem uczuć naszych dla Felińskiego postanowieniem uwiecznić pamięć w Krzemieńcu autora *Barbary*. Tam, przybyły ze Stanisławem Worcelem Konstancy Piotrowski, cho-

raży żytomierski, podaje myśl piękną, aby ze składki przyjaciół zmarłego założyć pensję dla czterech ubogich uczniów przy liceum wołyńskim, pod tytułem *uczniów Felińskiego*. Wszyscy najchętniej tę myśl potwierdzamy, a Rudzki dodał, aby godem naszego stowarzyszenia i spisać się mającej ustawy na ten przedmiot były wyrazy Felińskiego, jakie on z ust jego słyszał, gdy od niego, jako od dyrektora odchodziły zaplakane ubogie matki, których synowie, dla brakującego już miejsca, nie mogli być przyjęci do konwiktów przez rząd ufundowanego:

„— *Boleję na to, że te biedne matki ze łzami odmie odchodzą*“.

Na tem zgromadzeniu, z nas kilkunastu złożonym, obrano prezesem towarzystwa, mieszkającego ciągle w Krzemieńcu, najdawniejszego z pomiędzy przyjaciół Aloizego Felińskiego, a niegdyś w roku 1794 kolegę jego przy kancelaryi Kościuszki, Franciszka Rudzkiego. Nadano mnie obowiązek sekretarza do utrzymywania pod mojem piórem protokołu miesięcznych sesyj i wpisywania w tęż księgę wnoszonych ofiar, a kasyerem obrano Józefa Kruczkowskiego, kasyera komisji edukacyjnej. Postanowiliśmy naprzód: aby na funduszu ze składki naszej dla utrzymania czterech ubogich *uczniów Felińskiego*, pierwiej było dwóch tylko, to jest syn Aloizego, Tomasz Feliński, i siostrzeniec Tokarski, aż do ukończenia ich nauk w liceum; czuwanie zaś nad nimi powierzyliśmy Teodozemu Sierocińskiemu, rejentowi konwiktów na funduszu rządowym, gdzie i ci dwaj uczniowie mają być wygodnie pomieszczeni. Powtóre: oprócz ofiar jednorazowych, jakie nam zdarzy się zebrać, a jakich byliśmy pewni po szlachetności zamierzalnych tam domów, mamy dołożyć starania ku wzmożeniu się liczby członków naszego towarzystwa, z których, każdy z nas do śmierci obowiązuje się, bez żadnego przed właściwemi sądami sądowemi zapewnienia, pod hasłem tylko przy-

jaźni dla zmarłego Felińskiego, składać z góry corocznie po dziesięć rubli srebrnych, z tem zastrzeżeniem, że od uczniów licealnych, których wówczas było siedemset kilkadziesiąt, jednorazowe tylko ofiary mogą być przyjęte. Potrzebie: postanowiono, aby co miesiąc sesya towarzystwa bywała u prezesa naszego, gdzieby sekretarz składał swoją księgę poświadczającą dochody i rozchód za asygnacją prezesa, wydawaną do kasyera. Po czwarte: aby staraniem towarzystwa corocznie w dniu imienin ś. p. Aloizego Felińskiego, to jest dnia 21 czerwca, bywały egzekwie za duszę jego z odpowiednią tej pamiątki wystawą, i aby w tym dniu zgromadzało się o ile można towarzystwo nasze u prezesa, gdzie mamy zdawać sprawę z całorocznych czynności naszych.

Po upływie kilku tygodni już księga w moich rękach będąca poświadczala przychód w gotowiznie weszły do kasyera tak z opłaty od stałych członków towarzystwa, jako też z jednorazowych ofiar zebranych, w sumie cztery tysiące kilkaset rubli srebrnych, co stanowiło kapitał, od którego procent szósty wystarczał na cel towarzystwa. Wedle naszej ustawy, po naradzie z obecnymi w Krzemieńcu członkami, od naszego prezesa zależało ten kapitał powierzyć któremu z obywateli na takich jego uczciwości pewnych zasadach, aby ulokowanie tej sumy nie wymagało zaaktykowania rewersu w księgdach powiatowego sądu. Jakoż ów kapitał tak dobrze został umieszczony, że od niego procent coroczny z góry odpłacany był.

Wśród dni letnich 1820 roku na jednej z sesyj naszych rejent funduszowych uczniów, Teodozy Sierociński, pod którego dozorem był Tomasz syn Aloizego Feliński i jego brat cioteczny Tokarski, smutną oznajmił nam wiadomość, że młody Feliński, mający wówczas lat 16, ma niezwalczony wstręt do nauki; że gdy on przedstawia mu, aby pomniał na ojcowską sławę, która wkładą na niego święty obowiązek stać

się godnym swojego imienia przez pilność w nauce, młodzieniec stanowczo odpowiada:

— Sława nie daje pieniędzy. Poezya, to zapisany papier bez żadnej korzyści. Mój ojciec byłby bogatszym, gdyby był kupował młode konie, starał się je rozmnażać i w Berdyczowie, jak inni, sprzedawał.

A nadto, co boleśniejsza, że objawia niekiedy zбочenie władz umysłowych. Na tej sesyi uradzono, abym ja wezwał Tomasza do siebie i jako najlepiej mu znany przez częste w ciągu kilku niedziel bywanie u jego ojca, wy badał stan jego umysłu. Gdy wezwany przyszedł do mnie po obiedzie, po chwili zachęciłem go do przechadzki po mieście. Na rozmaite rzucane mu kwestye odpowiadał z całą przytomnością. Ale gdyśmy byli na ludnej i szerokiej ulicy, jakaś Żydówka w najlichszym, brudnym odzieniu, dziewczę nieszpętne lat kilkunastu, szła tuż przed nami wpoprzek tej ulicy. Tomasz przerywa rozmowę, rzuca się do tej Żydówki, ściska ją i w twarz caluje po kilkakroć. Napróżno dziewczę się wzbrania, napróżno silnie biorąc go pod ramię, odwodzę. Na tę natarczywość i jej krzyk zbiegli się Żydzi i wyrwali ją z jego objęcia. Gdy po przekleństwach opuścili nas, rzekłem:

— Tomaszul co ty zrobiłeś! Tak publiczna niedorzeczność bez względu na to, żeś ty Feliński!

— At, co mi tam po tem nazwiskul! Ona ładna, a kiedy pewnie mężem jej nie będę, bo ona Żydówka, to przynajmniej niech ją ucaluję!

— Czy masz z nią znajomość?

— Nie; pierwszy ją raz ujrzałem i taką chciałbym mieć żonę!

— Mówisz bez namysłu! Czyliż w twoim wieku przyzwoicie jest myśleć o żonie? Będzie na to pora; a teraz potrzeba ci umysłowo pracować dla własnego dobra i abyś stał się użytecznym dla ludzi, jak twój zacny ojciec,

i szybkich rozpaczy Brońci. Ale gdy lzy nie ustawały, a Brońcia, z twarzą przytuloną do poduszek, nie chciała odpowiadać na żadne pytania i płakała ciągle, poszła powiedzieć o tem swojej pani.

Pani Sewerynowa właśnie zajęta była chowaniem kosztowniejszej porcelany i kryształów, które wydobyto na wczorajszy improwizowany wieczorek. Nie mogła się ona przyzwyczaić do świetnego położenia, jakie zajmowała obecnie, i w swoim własnym domu, salonie lub powozie wydawała się zawsze nie na swoim miejscu.

Zato najmilsze dla niej było zajęcie gospodarckie; lubiła zamykać i rachować, wydobywać różne sprzęty, które mogły bezpiecznie zostawać pod opieką służby. A pan Seweryn, chociaż wzruszał na to ramionami, nie sprzeciwiał się jednak w tym względzie gustom żony i pozwalał jej zakupywać tyle szaf, ile tylko chciała, i na układaniu rzeczy w tych szafach trawić życie.

Dowiedziawszy się o nagłym paroksyzmie rozpaczy Brońci, pani Sewerynowa zostawiła naociecz rozwarte szafy i pobięła do niej.

— Moje drogie dziecko—zawołała, zbliżając się do niej—co tobie jest, co to się stało?

Brońcia płakała ciągle, a im więcej płakała, tembardziej czuła się nieszczęśliwą, a nadewszystko pokrzywdzoną. Obchodzono się z nią okrutnie, niemilosiernie!...

— Co tobie jest? — powtarzała matka, nie odbierając odpowiedzi i coraz więcej przestraszona;— od kogo ten list?

— O mamu—szepnęła Brońcia wśród łkań—jaki ten Gustaw niegodziwy!

— Gustaw! Ach tak, dlaczegoż on odjechał od ciebie, dlaczegoż go tu nie było wczoraj?

Nie wiedziała o niczem, bo nikomu nie przyszło

na myśl opowiedzieć jej zajście, jakie nastąpiło pomiędzy jej mężem a zięciem.

Słyszac te słowa, Broncia zerwała się z poduszek i usiadła na łóżku, ukazując matce twarzyczkę, którą lzy jeszcze bardziej dziecinna czyniły. Nosek jej był różowy, powieki nabrzękle; ale pomimo to młodość ma wdzięk tak nieprzeparty, że było jej z tem nawet ładnie. Jasne włosy spadały w puklach naturalnych na białe czolo i szyję, policzki były rumiane, a żywy karmin ust rozchylnych pozwalał widzieć drobne ząbki, któremi niekiedy z gniewu przygryzała wargi.

— Mamo! — wybuchnęła z oburzeniem, biorąc górną nad żalem. — On chce zrobić rzecz daleko gorszą, on chce porzucić mnie zupełnie!

Pani Justyna załamała ręce i stanęła jak skamieniała. Coś podobnego nigdy jej na myśl nie przyszło. Porzucić Broncię, jej Broncię, tak młodą, słiczną, dobrą — było z jego strony zbrodnią i szaleństwem. A przytem fakt ten przedstawiał jej się w przerażających kolorach nieokreślonego położenia, między i życiowych trudności, jakich doznawała w czasach swego wdowieństwa. Przeżyła życie w śmiertelnej trwodze, aby nie porzucił jej kiedy Seweryn, a groźbą podobną wymuszał na niej, co chciał tylko. Przyzwyczaiła się więc z tego stanowiska uważać wszystkie stosunki, bo nie posiadała dość wyobraźni, ażeby postawić je w odmiennych warunkach.

Broncia także nie grzeszyła zbytkiem zastanowienia. To też rozpaczliwa postawa matki wywarła na niej skutek, jaki otrzymują zwyczajnie uzalania nad dziećmi, co upadły, lub zrobiły sobie jaką krzywdę, której doniosłość poznają one dopiero po wrzuceniu uczynionem na starszych.

Broncia uczuła się podwójnie nieszczęśliwą i zmiarkowała teraz dopiero, że spotkało ją coś wyjątkowo okropnego.

— Porzucić mnie! porzucić! — wołała, nanowo zalewając się łzami.

— Ależ to być nie może, to w żaden sposób być nie może! — pochwyciła matka z energią, zadziwiająco w niej, którą znajdowała wtedy jedynie, gdy chodziło o córkę.

— A przecież on to pisze — powtarzała młoda kobieta, pokazując list męża. — Porzucą mnie, wypędzą! Pani Sewerynowa pochwyciła list i zaczęła czytać.

Wynik, jaki Broncia wyciągnęła z pisma Gustawa, był, jak wiemy, zupełnie dowolny. Zostawiał on jej wybór swobodny, ofiarował to, co mógł z nią podzielić. Ale ponieważ ofiara ta bynajmniej nie trafiła do przekonania i gustu młodej kobiety, wołała odrazu dojść do rozwiązania. Zresztą list ten nie zawierał próżnych żalów i to chyba najbardziej dotknęło Broncię. Mogła się ona zgodzić na rozstanie z mężem, pod warunkiem jednak, ażeby ten mąż był w rozpacz. Brak rozpacz, lub mały jej stopień, uważała za osobistą obrazę, za poniżenie swej wartości.

Matka jednak, czytając list zięcia ze swego, mniej subiektywnego stanowiska, nie znalazła w nim tego wszystkiego, co mówiła Broncia; więc też uspokoiła się trochę.

— Ależ moje dziecko — szepnęła — Gustaw tego nie pisze; on chce cię tylko zabrać do Górnicy i może — dodała po niejakiem wahaniu się — może ma słusność.

Lzy Bronci zaczęły płynąć z nową obfitością.

— Ach mamo! ty nie masz pojęcia, jak w tej Górnicy nudno! Ty tam nigdy nie byłaś.

Pani Sewerynowej żal było córki serdecznie i zatrzymywały ją była z pewnością, gdyby nie ta alternatywa rozstania pomiędzy małżonkami, która okazywała jej się w strasznych barwach. A potem miała i ona swoją filozofię życiową, bo któż jej nie ma?

— Widzisz, Brońciu — wyrzekła, siadając na łóżku i starając się utulić ją w objęciu, jak dziecię rozplakane—mąż jest panem naszego losu.

— Ja nie chcę, ja tak nie chcę! — wołała rozpieszczona córka.

Po zwiędłych, wiekuiście przerażonych rysach pani Justyny przemknął cień bolesnego uśmiechu. Wstrząsnęła głową.

— Mąż jest panem naszego losu — powtórzyła ciszej—i nie będzie nigdy kochał cię i dogadzał, jak to czynią rodzice. Mówiłam ci to w chwili ślubu.

— Gustaw dogadzał mi zawsze, spełniał moja wolę...

— Tak bywa w miodowych miesiącach, w pierwszych dniach młodości, ale potem... przeznaczeniem kobiety jest słuchać, cierpieć, milczeć, być niewolnicą... i znosić, zawsze znosić bez skargi.

Rzeczywiście takim był los pani Sewerynowej; Brońci przecież nigdy na myśl nie przyszło, aby ona podobnemuż uległa. Cała jej młodość, piękność, żywotność buntowała się przeciw rozpaczliwej teorii matczynej.

— Ja nie chcę znosić, ja znosić nie będę! — zawołała, zaciskając drobne rączki z wyrazem dziecinnej energii.

Ale matka wstrząsała nad nią pomarszczonem czołem, patrzyła temi czerwonymi oczyma, które wyplakały już wszystkie łzy swoje. Zdawało się, że myśli jej biegnie gdzieś w przeszłość, odnajdywały jakieś dawno przebrzmiałe wspomnienia, budziły uczucia zamarłe.

— A ktoby to chciał? — mówiła rozbitym głosem.—Zrazu zdaje się to za ciężko, że znieść nie można tego życia tak innego, tak zupełnie innego, jak pragnienia, jak nadzieje, jak obietnice. Wówczas to płacze się, jak ty teraz płaczesz, i zaciska ręce, jak ty to czynisz, i woła, jak ty: ja nie chcę! ja nie mogę! A jednak życie biegnie swoim torem i w miarę,

jak tracimy urok młodości i wdzięku, ludzie stają się dla nas coraz twardszymi, coraz okrutniejszymi, świat coraz niemiłosierniejszym. Żle na nim, straszno... i tak będzie do końca. A jak przyjdzie śmierć!... no, to się będzie jedną sponiewieraną, na nic nieprzydatną, zawadzającą istotą mniej na ziemi—oto wszystko. A na jej miejscu inne znów cierpieć będą i tak zostanie do końca świata.

Opowiadała widać swoją własną historię, smutny wynik własnego doświadczenia, po za który myślą przejść nie była zdolna. Snadź rozgrywały się w tej wyschłej piersi niejedne dramaty, snadź i ona miała niegdyś swoje chwile rozkwitu, nadziei i miłości, a dziś ta smutna, znękana powierzchowność odpowiadała tylko moralnemu znękanui, świadczyła o ostatecznej apatii zrozpaczenia.

Były to jednak rzeczy w tej chwili zupełnie niezrozumiałe dla Brońci. Pierwszy raz wówczas przyszło jej do głowy, że ona mogłaby stać się kiedyś do matki podobną, i wzdrygnęła się do głębi swojej istoty.

— Mamo—zawołała—czyż tak musi być koniecznie, nieodwołalnie?

— Tak musi być — powtarzała stara kobieta, przebierając machinalnie palcami u rąk złożonych — taki już los nas, kobiet.

Przez czas jakiś Brońcia siedziała zaszępią, z ogistemi rumieńcami na twarzy.

— Nie—zawołała—ja się na to nie zgodzę nigdy, nigdy! słyszysz, mamu, nigdy!

Stara kobieta nie odpowiedziała nic; wiedziała z góry, że żadna podobnemu losowi nie poddaje się odrazu, a jednak każda poddać się musi. Pocóż miała powtarzać daremnie tezsame słowa? Siedziała nad Brońcią, jak nad dzieckiem, które zasypia, wołając: „ja spać nie chcę!”

Brońcia jednak z abstrakcyjnych sfer ogólnego przeznaczenia powróciła szybko do swoich osobi-

stych spraw, co dowodziło, że zmysł praktyczny był u niej silniej rozwinięty, niż u matki.

— Kiedy taki ma być mój los z Gustawem — zawołała — to lepiej niech on sobie sam jedzie do Górnicy.

— A ty, Brońciu, a ty?

— O, niech się mama o mnie nie troszczy — odparła, odnajdując na chwilę zachwianą pewnością siebie. — Gdybym chciała tylko, znajdę dużo takich Gustawów, nawet lepszych od niego.

Na te słowa przerażenie pani Sewerynowej doszło do najwyższego stopnia.

— Brońciu — zawołała, chwytając jej rękę — nie mów tego, nie mów tego nigdy!

I apatyczna twarz jej przybrała taki wyraz, jak gdyby widziała jedyne dziecko swoje nad brzegiem przepaści.

Młoda kobieta zmieszała się trochę.

— Dlaczego? — spytała, nie patrząc matce w oczy.

Ona milczała czas jakiś; kościste ręce zaplotła na kolanach z gwałtownością, kontrastującą dziwnie z całym jej układem; krew uderzyła jej do twarzy. Nachyliła się nad córką i mówiła zaledwie dosłyszalnym szeptem:

— Bo widzisz, że wszystkich nieszczęść, jakie spotykają kobietę, to jest najgorsze. Wróc do męża, wróc do Górnicy i nie pomyśl nigdy, że inni istnieją na świecie. Chciałam ci to dawno powiedzieć, od czasu jak ten Oleś ciągle tu przesiaduje. Myślałam, że powinnam to uczynić, że powinnam przestrzedz cię, a coś mnie wstrzymywało... nie miałam odwagi. Bo wierz mi, niema straszniejszego losu, jak kiedy mąż gardzi żoną i ma do tego prawo.

Umilkła... zakryła twarz rękami, a przez złote palce zaciśnięte sączyły się łzy upokorzenia i bólu.

Brońcia uczuła się pociągnięta tą boleścią; może w tej chwili zrozumiała wiele rzeczy niezrozumiałych dotąd dla niej, może pierwszy raz przyszło jej zastanowienie jakiegoś. Zrzuciła matce rękę na szyję i płakała.

— A potem, Brońciu — mówiła znów stara kobieta — masz przecie dziecko. Znajdziesz w niem pociechę, jak ja znalazłam ją w tobie. Jest to pomiędzy tobą a Gustawem węzeł bardziej nierozzerwalny, niż wszystkie inne, pamiętaj o tem.

Czas jakiś płakały we wzajemnem objęciu. Brońcia nie była złą, była rozpieszczoną tylko. Rozumowanie matki nie trafiło całkowicie do jej przekonania, jednakże zachwiało jej postanowienie. W głębi ducha przemawiało za niemi jej kapryśne, obalamucone serce, a szala tego serca przeważała się jeszcze ku Gustawowi.

— Więc cóż ja mam zrobić? — spytała.

— Napisz do niego, niech tu przyjdzie, albo lepiej idź, idź do niego zaraz, a wtedy porozumiecie się najlepiej — odparła pani Sewerynowa, ostrzeżona jakimś instynktem, że porozumienie to nie mogło nastąpić w tym domu.

Czas był przesłiczny i to zachęciło Brońcię do posłuchania rady matki. Zaczęła ubierać się czemprędzej, ażeby ją wykonać. Matka pomagała jej, dla pośpiechu. I wkrótce Brońcia, która zdolna była według fantazyi przeciągać toaletę parę godzin, lub też odbyć ją w kwadransik, w eleganckiej rannej sukni gotowała się iść do męża. Bo ważność okoliczności i pośpiech nie przeszkodziły jej wcale myśleć o elegancyi. Matka odprowadziła ją do przedpokoju, dając jeszcze jakieś zachęty i rady, kiedy we drzwiach spotkała się z panem Sewerynem, który już powracał z miasta.

Na widok ustrojonej Brońci i jej ożywionej twarzy uśmiechnął się przyjaźnie.

— Dokąd idziesz tak rano? — zapytał. — Myśla-

łem, że śpisz jeszcze lub leżysz na kanapce. Gdybym był wiedział, żeś ubrana, byłbym przyprowadził Olesia, który mnie o ciebie zapytywał.

Zwywy rumieniec wybił się na twarz Brońci; nie wiedziała, czy cieszyć się, czy gniewać z powodu spotkania ojczyma. W każdym razie ojczym z zupełnie innego stanowiska, niż matka, zapatrywał się na te sprawy.

— Widzi ojciec — wyrzekła wreszcie, kreśląc parasolką jakiś zygzak na posadzce — miałam zmartwienie.

— Miałas zmartwienie, Brońciu?

— Och tak, wielkie zmartwienie, płakałam nawet.

Obrócić ją do światła i spostrzegł, iż w samej rzeczy miała powieki zaczerwienione.

— I cóż to za zmartwienie? — zapytał. — Opowiedz mi je.

Brońcia chciała już zadość uczynić temu żądaniu, kiedy matka, która pragnęła ją jak najprędzej wyprawić, wtrąciła:

— Pilno jej; ja opowiem ci, o co idzie.

Pan Seweryn spojrział na żonę, jakby zdziwiony, iż odezwała się ze zdaniem sprzecznym z jego wola, i domyślił się odrazu, iż okoliczności musiały być ważne. Bystry jego umysł wpadł zapewne na trop prawdy, bo odezwał się stanowczo:

— Zdaje mi się, że Brońcia nic na tem nie straci, jeżeli wprzód zasięgnie mojej rady.

Brońcia także była tego zdania i poszła z nim do salonu, do którego i pani Sewerynowa wsunęła się za nimi.

Widząc to Horsza, ściągnął brwi w sposób sobie właściwy.

— Założę się, że tu chodzi o Gustawa — odezwał się do pasierbicy, nie zważając zupełnie na obecność pani Justyny.

Brońcia w milczeniu podała mu list odebrany.

Horsza przeczytał go raz i drugi, zmiął w ręce gwałtownie i rzucił na stół.

— Nikczemny list nikczemnego człowieka — wyrzekł niby sam do siebie; ale wśród ciszy, panującej w pokoju, żaden wyraz straconym nie był dla dwóch kobiet, znajdujących się w salonie. — I dokądże ty szłaś, Brońciu? — zapytał, zwracając się do niej. — Przecież nie do niego.

Pod badawczym okiem ojczyma Brońcia zarumieniła się znów, jakby chciała była uczynić coś złego. Bo też może istotnie czyniła źle, a przynajmniej bardzo nieroztropnie. Przechodząc z jednej ostateczności w drugą, jak jej się to nieraz zdarzało, była teraz nawet zupełnie o tem przekonana.

— Przecież nie do niego? — powtórzył pan Seweryn, który teraz już wiedział dobrze, czego się ma trzymać.

Wzrok jego badawczy szedł koleją od pasierbicy do żony.

— To jest... ja chciałam... mama mówiła — wtrąciła zakłopotana Brońcia.

— Mama mówiła — pochwyił Horsza z najwyższym lekceważeniem. — Mogłem się domyśleć, że to twoja robota, Justyno.

Zgromiona kobieta spuściła oczy, powracając zupełnie do zwykłej apatycznej postawy, bo nie śmiała powtórzyć żadnego ze zdań swoich.

— Sądziłam — kończyła pośpiesznie Brońcia — że najlepiej porozumiemy się osobiście.

— Ale tu niema porozumienia żadnego!

Pani Justyna załamała ręce i nie odważyła się już na najlżejszą opozycję.

— Tu niema porozumienia żadnego — powtórzył stanowczo Horsza. — Maż twój wyraźnie pragnie się ciebie pozbyć, a ty powinnaś dziękować za to Bogu.

Brońcia nie była o tem w zupełności przekonana. W każdym razie wyrazy ojczyma wydały jej

się brutalne. Łzy znów ukazały się w jej oczach. Przypomniała sobie nagle, iż kochała Gustawa nad życie, a jednak, wobec upokarzającego faktu, że on jej się chce pozbyć, nie wypadało tego powtarzać. Powstrzymała więc cisnące się na usta wyrazy, chociaż łez powstrzymać nie mogła.

Pan Seweryn postąpił kilka kroków i wziął ją za rękę.

— Trzeba być mężną, Brońciu; życie to walka, a ty już dzieckiem nie jesteś.

Było to bardzo zwyczajne ogólniki; przecież młoda kobieta uczuła się niemi pasowaną na heroinę i podniesioną we własnych oczach.

— Więc jakżeż to będzie?—spytała, usiłując stanąć na wysokości położenia.

— Niech pan Polczyński powraca do siebie, a ty, Brońciu, ty zostaniesz u nas tak, jak teraz. Pojedziemy do kąpieli morskich, które ci doktor przepisał; zdrowie twoje jest zachwiane, potrzeba ci koniecznie być w Ostendzie. Ztamtąd zwiedzimy wystawę paryzką, a gdy będziesz silniejsza, mniej zdenerwowaną, mam nadzieję, że łatwiej pogodzisz się ze swoim losem. Wówczas zresztą pogadamy o przyszłości. Tymczasem należy tu sprowadzić twoją Jankinę z mamką i panną służącą, bo wątpię, by Górnica dała im na długo schronienie.

Brońcia słuchała oczarowana, olśniona. Przyszłość, jaką obiecywał jej ojczym, była zupełnie różną od rozpaczliwych macezynych poglądów i teoryj. Jakżeż tu było się wahać? On myślał o wszystkim i wszystko tak łatwo układał.

Pan Seweryn był zbyt zręcznym, ażeby nie ukolorować w jej własnych oczach tych czysto światowych względów motywem sercowym.

— Dla nas, Brońciu—dodał z czułością—wiesz dobrze, iż nigdy nie będziesz ciężarem. Przekonałaś się, iż pomimo... pomimo wszystko, dom ten zawsze

jest twoim domem, więcej nawet, niż dom mężowski. Nieprawdą?

Miał słuszność; była u rodziców, u rodziców najczulej przywiązanych; otrzymywała tego nieustanne dowody.

— Ojciec jest dla mnie tak dobry — zawołała gorąco—tak dobry, jak dawniej.

Uśmiechnął się, zadowolony z jej uznania.

— Nie było w mojej mocy—ciągnął dalej z należytą powagą Horsza—ustrzedz cię od gorzkiego doświadczenia, jakie chciałaś uczynić. Małżeństwo twoje było szaleństwem w oczach wszystkich rozsądnych ludzi i mogło jedynie doprowadzić do rozstania się, do rozwodu...

Wymówiwszy te słowa, zatrzymał się chwilę, badając wrażenie, jakie uczynity; ale Brońcia była na nie przygotowana. Wszakże Gustaw pierwszy wspominał w swoim liście o rozwodzie.

— Stało się, jak przewidywałem — rzekł z naciskiem Horsza — jak to było, niestety, nieuniknionem.

— Dlaczego?—zapytała Brońcia, uderzona tym naciskiem.

Oczy Horszy zamigotały tryumfalnie.

— Ty jedna—rzekł—nie chciałaś widzieć tego, co widzieli wszyscy.

Spuściła głowę, przewidując coś przykrego.

— Bo i jakże mogłaś przypuścić, ty, tak śliczna, tak dobra, tak szlachetna, aby ktoś udawał uczucie, jakie byłaś stokroć w prawie wzbudzić prawdę, i żenił się z tobą jedynie dla spodziewanego posagu?

Pan Horsza mówił to z głębokim ubolewaniem, a Brońcia krzyknęła:

— Nie, mój ojczu, tak nie było; on mnie kochał, on mnie kochał szczerze!

Duma jej, a może i serce, czepiało się pamiętek chwil minionych; nie pozwalała na to, aby odar-



to je nawet ze wspomnień. Pomiędzy nim a nią były momenty zachwytu i szczęścia, o których prawdzie wątpić nie mogła. Z oczyma pełnemi łez zdawała go się prosić, aby nie wydzierał jej przynajmniej tego przekonania.

Ale Horsza był niemiłosierny i nie opuścił Brońci, aż wzbudził w niej podejrzenie, iż Gustaw kochać jej nie mógł nigdy, bo oddawna kochał kogo innego. Ożenił się z nią tylko dla spodziewanego posagu, a porzucił, bo tego posagu nie otrzymał.

Fakta, przedstawione i grupowane przez niego, miały istotnie pozory, jakie im nadawał, a chociaż nie wypowiedział żadnego nazwiska, naprowadził tak zręcznie domysły pasierbicy, że nie trudno jej było odgadnąć, o kim chciał mówić.

Konsekwentniejszy umysł byłby zapewne odróżnił prawdę od fałszu, jakkolwiek one uludnie były pomieszane; ale Brońcia tego nie potrafiła. Plakała jeszcze wiele, rozmawiając z ojczymem, plakała, odpisując mężowi, pod jego natchnieniem, list, jak sądziła, pełen godności, a rzeczywiście list, który dowodziłby zupełnego braku serca, gdyby był przez nią samodzielnie napisany. Potem zaczęła marzyć o podróży za granicę, o kąpielach morskich, toaletach, a nadewszystko o Paryżu; potem przyszedł Oleś dowiedzieć się o jej zdrowie. On także wybierał się na wystawę. Tworzyli we dwoje pyszne projekty.

Chwilami jednak Brońcia zasmucała się nagle; wśród wesołego szczebiotu lzy stawały jej w oczach. Oleś nie wydawał jej się tak przyjemnym, jak zwykle. Czuli się zmęczona, nierada z siebie i drugich; dawała nawet ból głowy i wcześniej, niż zwykle, poszła na spoczynek. A gdy się położyła, długo przewracała się na łóżku, nie mogąc znaleźć snu. Do myśli powracała jej ciągle ranna rozmowa z matką, rozpaczliwe napomnienia i rady, jakie jej dawała. Czemu było życie? Kto miał słuszość? Czyż rze-

czywiście na pierwszym wstępie została tak haniebnie oszukana?

A w czasie, gdy zadawała sobie te wszystkie pytania, Gustaw powracał do Górnicy, śmiertelnie smutny i znękany. Ostatnie ogniwo, łączące go ze światem pękło. On, pieszczoch losu i ludzi, któremu niedawno uśmiechao się wszystko, był teraz bez przyszłości i jutra, sam jeden, sam zupełnie!

Kilkomiesięczna dziecina nie mogła zapełnić mu życia; była tylko przypomnieniem rodziny, żony, którą postradał, marzeń przyszłego spokoju i szczęścia, rozwiązanych niespodzianą burzą losu. Zresztą i tę miał stracić wkrótce. Nie miał prawa, ani siły opierać się w tym względzie żądaniu Brońci. Nie czuł się zdolnym do drobiazgowych starań, jakich wymaga pierwsze dzieciństwo. List Brońci nie zostawiał mu co do przyszłości nawet żadnej nadziei. Widocznie pisany był pod natchnieniem nieprzeblaganej zemsty pana Seweryna.

Pan Seweryn okazał się słownym względem pasierbicy i z całym domem wybierał się za granicę. Z tego powodu był bardzo zajęty porządkowaniem transakcyj na czas kilkomiesięcznego wyjazdu.

Z tego zapewne powodu nie widywał się prawie z przyjaciółmi i znajomymi, nawet z baronem, kiedy niespodzianie dnia jednego spotkał go, przechadzającego się samotnie po ulicach miasta.

Co prawda, od czasu jak baron został narzeczoną Eugenią, stosunki jego z Horszą oziębły się znacznie, bądź to z powodu, że baron czuł, iż nie miał zupełnej aprobaty jego w tym nierozważnie sentymentalnym kroku, bądź wskutek wpływu pięknej panny, która ten brak aprobaty odczuwała, bądź wreszcie dlatego, iż przy nadzwyczajnych zajęciach, spowodowanych małżeństwem, baron miał pełno sprawunków i tym podobnych zajęć, nie mówiąc już o chwilach, spędzanych w domu narzeczonej. Istnia-

ly też może i jakie inne powody tego oziębienia stosunków, bo teraz, widząc idącego naprzeciw siebie Seweryna, baron zmieszał się widocznie i zrobił taki ruch, jakby chciał przejść na drugą stronę ulicy. Opamiętał się szybko i, chcąc zapewne pokryć swoją niezręczność, powitał go z podwójną serdecznością i jakby na rozkaz, ożywił fizyognomię. Bo przyznać to trzeba, słoneczny baron nie zdawał się tak wesoły i rozpromieniony, jak zwykle. Idąc z głową opuszczoną, powolnym, ociężałym krokiem i obracając w ręce laseczkę, z misternie rzeźbioną główką, czynił to z wyrazem niezadowolenia i złego humoru, nieprzystającego wcale małżonkowi pięknej Eugenii.

Co więcej, wyraz ten nie przystawał bynajmniej i do charakteru twarzy barona, czynił go starszym, uwydatniał pewne mniej estetyczne strony jego powierzchowności, na które niczem niezmacone zadowolone rzucalo zwykle zasłonę przyjemnej dobroduszości.

Pod wpływem mniej wesołych uczuć okrągłość twarzy mieniła się w owal zapadły i posępny; podbródek zwieszał się smętnie, a nawet wspaniałe roztocone bokobrody zdawały się opuszczone i zamiast odbijać promienie słońca, przypominały poprostu sierść lisa. Grube jego wargi, niezaokrąglone rozkoszным uśmiechem, były wprost odęte i obwisłe, harmonizując z wyrazem oczu, które, także pozbawione uśmiechu, zamiast wesołego przymrużenia, objęte tylko były opuchłą powieką.

Słowem, baron w chwili spotkania się z Horszą, szczególnież zanim naprędce twarz ułożył, niepodobnym był wcale do tego, jakim bywał zwykle. Widocznie natura stworzyła go jedynie do łatwego życia i obdarzyła go ku temu stosownymi właściwościami, a nawet zewnętrzną charakterystyką.

— No i cóż, baronie?—zawołał Horsza, którego bystry wzrok objął w jednej chwili smętną metamor-

fozę jego twarzy.—Prysłowie mówi: „kto się ożeni, ten się odmieni.”

— No, dlaczegoż ja zmienić się miałem? — oburknał się zagadniony, przywiązując do wyrazu zmiana niepochlebne znaczenie, jakie istotnie miał dla niego.

Zamiast odpowiedzi, Horsza śmiał się ciągle.

— Ani cię ujrzeć, baronie. Nic dziwnego; miodowy miesiąc... szczęście, szczęście!..

Baron mruknał coś pod nosem, ale czy to miało być potwierdzeniem, czy zaprzeczeniem słów pana Seweryna, tego niepodobna było odgadnąć. Horsza naturalnie wątpić się nie zdawał, że to było potwierdzenie.

— Wśród szczęścia — mówił — zapomina się o przyjaciółach. Doprawdy, gdyby było możliwem gniewać się na osobę tak piękną, rozumną i miłą, jak twoja żona, baronie, ja gniewałbym się na nią, bo nie tylko nie obdarza nas swoim towarzystwem, ale jeszcze twego nas pozbawia.

Gdy pan Seweryn mówił o przymiotach Eugenii, baron, zamiast przyłączyć się do tego pochwalnego hymnu, milczał ze spuszczoną głową i z coraz większą niecierpliwością obracał łaskę na wszystkie strony.

Horsza zauważył to i dodał szybko:

— Chce cię zatrzymać dla siebie jedynie; tak robią wszystkie kochające żony, a wiemy przecie, że Eugenia była w tobie szalenie rozkochaną.

Pomimo słodkich myśli, jakie słowa te nasuwać musiały baronowi, twarz jego stawała się coraz dłuższą, coraz wyraźniej smętną, zakłopotaną nawet.

— Bez wątpienia, bez wątpienia—odparł pośpiesznie.—Eugenia mnie kocha; tylko—dodał poufnie—kobiety miewają czasem dziwny sposób kochania, a te ich nerwy...

Fizyognomia barona w tej chwili dawała do

zrozumienia wyraźnie, że nerwy jego małżonki stanowiły nadzwyczaj ujemną cyfrę w sumie jego małżeńskiego szczęścia.

— Nerwy... — pochwyił zdziwiony Horsza. — Ależ panna Eugenia stanowiła zawsze pod tym względem wyjątek.

— Gdzież tam!... Ach, te nerwy, te przekłete nerwy!

Miał minę tak zafrasowaną, że pan Seweryn mimowolnie śmiać się zaczął.

— Baronie—zawołał—chyba ku temu jest powód jaki... Czyżby...

Ale baron nie zważał na aluzyę, zawartą w tych słowach; patrzył w ziemię, targając ze wzrastającą niecierpliwością swoją laskę, aż wreszcie wybuchnął nagle, jakby słowa te dusiły go oddawna.

— Wiesz co, prezesie, to głupi, dyabelnie głupi interes małżeństwo!

— Czy tak?—zapytał przeciągle Horsza, usiłując spojrzeć mu w oczy.

— Tak, to głupi interes—powtarzał baron z przekonania.

— No, o tem wszyscy wiedzą, tylko zwykle nie dochodzi się do tego przekonania we dwa tygodnie po ślubie.

— Ech, we dwa tygodnie, czy we dwa lata, wszystko jedno, zawsze to głupstwo.

— Jakto, czyżby Eugenia?...

— Eugenia mnie kocha — przerwał pośpiesznie smętny małżonek — tylko te nerwy, te nerwy!

Na tą nieprzewidzianą okoliczność pan Seweryn nie mógł udzielić rady żadnej, a nawet współczucie jego zdawało się bardzo podejrzanego gatunku, bo zafrasowanie barona było istotnie niezmiernie komicznem.

— Doprawdy — ciągnął dalej Rajnicki, którego usta rozwiązywały się, w miarę jak mówił — ja wyobrażałem sobie zupełnie inaczej życie małżeń-

Gdy minęło trzy dni od ostatniego wieczoru mojej u ciotek bytności, Bogunia przysłała karteczkę, nakazującą stawienie się pod utratą łaski. Odpisałem na tejsze karteczce:

— Przyjść nie mogę, gdyż mam pilne zatrudnienia.

Po upływie dwóch dni potem odbieram od jej matki bilecik z usilnem żądaniem, ażebym ich odwiedził. Służący z tem pismem zapytany, jak się tam mają—mówi:

— Oj bieda! Już dzień po dzień dwa razy był doktor. Czegóż nam Bogunia chora i nie wstaje wcale z łóżka.

Natychmiast poszedłem.

Ciotka Postruska powitała mnie jak zwykle; bierze mnie za rękę, otwiera drzwi do sypialnego pokoju i mówi:

— Odwiedź przedewszystkiem biedną Bogunię, ona jest chora.

I nie wchodząc, wpuszcza mnie samego do niej. Dobrze dziecię rzuca mi się na szyję i rzewnie płakać zaczyna.

— Co ci jest? moja Boguniu!

— Co mi jest! Jeszcze się pytasz! Ja teraz płaczę z radości, że cię widzę, kiedy tobie wystarczy czasu bywać u Szczeniawskiej, u Grbianczyny i Bóg wie u kogo, a o nas już zapomniałeś!

— Kiedyś powiem ci — rzekłem — dlaczego tak często jak dawniej nie mogę was odwiedzać.

— To ty chcesz, ażebym ja umarła?

I znów zanosz się z płaczem.

— Uchowaj Boże, ażebym ja chciał tego! Ty żyć będziesz, a najdalej za lat dwa pokochasz kogoś, wyjdiesz za mąż i będziesz szczęśliwą.

— Ja w usta nic nie biorę prócz lekarstwa, dwie noce nie spałam, a ty sobie żartujesz ze mnie!

— Uspokój się, dobra, kochana Boguniu! Zniów będę u was bywać. Ale trzeba, ażebyś ty pamiętała, że jesteście krewnymi.

— A cóż to szkodzi? Tem lepiej dla mnie, bo mogę i przy mamie z tobą się całować. Dziś nawet, kiedy mama niespokojna mnie pieści, tuli do siebie i pyta:—Moje dziecię! Co ci jest takiego? Zkąd ta gorączka?— to ja na to:—Alboż ja wiem, mamó? Zdaje mi się tylko, że będę zdrowa, gdy zobaczę Szymona. Bo cóż ja mam tać przed mamą? I mama napisała, prosząc, ażebyś przyszedł. Jakiś ty dobry, żeś posłuchał mamy! Ot, widzisz! Doktor już niepotrzebny! Odejdź na moment do mamy, ja prędko się ubiorę i pocieszę ją. Tylko ty nie odchodź, bo znów zachoruję. Ale ty nie dbasz o mnie! Masz tyle tu znajomych, gdzie ci weselej, niż u nas! Jednak proszę i zaklinam, nie odchodź, ja tam zaraz przyjdę.

Zda się, że marmur stopniałby przy tak gorącej niewinnej dziewczęcej miłości! O! święć się wieku anielskich uczuć! Lecz ileż tu analogii pomiędzy urokami tej epoki a przejściami wiosny! Maj ożywia się łagodnym szmerem strumieni po gajach, miłosną słówków melodyą, a w godzinę chmurzy się niebo i grom po gromie uderza.

Bogunia nie była wzorową dla malarza pięknoscią, ale w ujmującym spojrzeniu błękitnych oczu, przy wdzięku uśmiechniętych ust malutkich, tyle jawnej było dobroci, tyle powabu, że czarować mogła. Czarowała też młodzież licealną.

W każdą niedzielę i w dni świąteczne wzywano tam bywała danserka, pani Volanz, która raz na tydzień dawała lekcye tańców dzieciom moich ciotek. Zwiększało się towarzystwo przybyciem dwóch lub trzech matek z córkami na herbatę. Bywali niekiedy uczniowie z trzeciego lub drugiego kursu. Ciotka Raciborska zasiadała do fortepianu i po herbacie zaczy-

wały się płąsy francuskiego z piruetami, kontredansa lub hucznego mazura. Ja bywałem widzem tylko tych zabaw i pilnym dostrzegaczem każdego kroku Boguni. Uśmiechałem się na widok zalecanek młodzieńca rodem z Galicyi, krewnego ojca. Przystojny, ukształcony blondynek, lat siedemnastu, mógł się podobać i ze wszelkiej przyzwoitości, jakby skończonego dla świata kawalera i z okazywanej łagodności charakteru.

Bogunia, jakby od niechcenia zawsze z nim stawała do pary, a na każde jego odezwanie się miłuchny uśmiech ją zdobił. Ale bywał tam na tych tańczących herbatkach niekiedy i obcy jej zupełnie, piękny brunet, lat takich, jak ten blondyn, a i ten nad innymi widoczny u niej miał pierwszeństwo. Schwyciłem te drobne grzeszki, właściwe jej lat kobietom, i miałem je tylko w pamięci, nic o nich nie mówiąc przed moją małą grzesznicą. Zostawiam to nadal.

Tymczasem Rudzki, pisarz komisji edukacyjnej, nie pomnę już dla jakiego interesu naszej jurysdykcji, wysłany był do takiejże komisji wileńskiej. Wrócił, niedługo bawiac, a nazajutrz, gdy przed sesją zastał mnie samego w naszej sali, opowiadał mi zdarzenia ze swej podróży, a szczególnie powtórzył powiastkę w powrocie usłyszaną z ust starca na popasie w Brykowie, niedaleko od Krzemieńca, i w końcu dodał:

— Proszę cię, pomyśl nad tem i z tej gawędy starca zrób baladę. Mnie mocno zajęły te trzy krzyże kamienne. Coś tu może być podobnego do prawdy. Ciekawy też jestem, czy się w czemkolwiek zejdziesz z młodym poetą trzeciego kursu, Janem Ordyńcem, którego wczoraj wieczorem spotkawszy, dałem i jemu ten przedmiot do poezji romantycznej, w której Mickiewicz tak powszechnie smakować nauczył. Gdy i ty z Ordyńcem wystąpisz, zobaczymy, czy Francuz słusznie mówi, że: *les beaux esprits se rencontrent*.

Gdym po sesyi wrócił, zastałem u siebie kochanego Mikołaja Węża. Mówię mu o legendzie brykowskiej, a ponieważ łatwo mu było składać większe wierszyki, jak to wyżej wspomniałem, przeto robię z nim układ, ażebyśmy oba wzięli ten przedmiot do poezyi pod jakąbądź formą, z tem, że za dwa tygodnie mamy sobie nawzajem posyłać przez pocztę co napiszemy.

Ja, mając w pamięci niedzielne tańce u moich ciotek i uprzejmość Boguni takąż samą dla blondyna, jak następnie dla bruneta, już w oznaczonym terminie gotową baladę pod tytułem: „Trzy krzyże pod Brykowem“ wysłałem Wężowi na pocztę konstantynowską do Rosołowic.

On w zbyt pochlebnych wyrazach odpisał mi, że gdy moją baladę przeczytał, siedząc nad niedokończoną swoją elegią, pióro wypadło mu z ręki i kończyć nie myśli.

Słowem, unosi się.

Taką już ośmielony pochwałą, puściłem moją ramotę w świat, dając ją Rudzkiemu; ten pokazał ją generałowi Ludwikowi Kropińskiemu, wówczas członkowi komisji naszej, który zaprosił nas kilku na obiad, niepospolicie pogłaskał moją miłość własną z tego powodu, że dwie tylko balady polskie mocno mu się podobały: Mickiewicza „Powrót Taty“ i moje „Trzy krzyże.“ Potrzeba zaś wiedzieć, że mnie był znany tylko odgłos o sławie Mickiewicza, a poezyi jego jeszcze zupełnie nie znałem, i aż w późnej jesieni tegoż roku przysłano mi z Wilna pierwszej edycyi dwa jej tomiki.

Po obiedzie Kropiński, odczytując głośno moją baladę, radził, ażebym zmienił jeden tylko rażący go wyraz. U mnie płocha Marysia mówi:

Kto z was pierwszy tu dobieży,  
Temu się „cała“ oddaje.

Generał zapytał mnie:

— Dlaczego napisałeś „cała“?

— Bo — odrzekłem — ona wyżej mówi, że na dwóch kochanków rozdzielić się nie może.

— Tak, rozumiem, ależ trzeba pamiętać, że ten wyraz „cała“ może być dla kogoś dwuznacznym. Czy nie lepiej będzie napisać „sama“ się oddaje?

Podziękowałem mu za tę życzliwą uwagę i stosownie do niej zmieniłem mój wyraz.

Wieczorem dnia tegoż byłem u moich ciotek i tę całą baladę napisałem w sztambuchu Boguni. Przeczytawszy ją tam głośno całemu towarzystwu, szepnąłem Boguni:

— W tych wierszykach masz przestrożę dla siebie, bom dostrzegł, co ty dokazujesz co niedziela z młodzieżą licealną.

— Cóż ty mogłeś dostrzedz?

— Zapytaj swego sumienia, ono ci odpowie.

Rumieniec jej na twarz wystąpił.

— Podejrzliwy jesteś! Ale i za to dziękuję ci; widać, że choć tu przynajmniej mną się zajmujesz! Sam osądź, jak wielka różnica pomiędzy nami! Ja przez nikogo szpiegować nie chcę, co ty dokazujesz po różnych domach w mieście, ślepo ci wierzę, a ty z urojonych pozorów tak mnie prześladujesz!

— Mylisz się, Boguniu. Jest wprawdzie różnica pomiędzy nami, ale ta jedynie, że ty, jak prawie każda w twym wieku panienka, niejednemu chcesz się podobać, a ja od jednej chciałbym na zawsze być kochanym.

— Otóż śmiało przysięgłabym przed Bogiem, że taką mieć mnie łędziesz do śmierci!

Serdeczne ucałowanie było pieczęcią zgody.

Tak stanowczo rozmawialiśmy z sobą, gdy ta moja krewna w latach piętnastu, w r. 1822, rozwinętem i bardzo miłem już była dziewczęciem.

Lecz cofam się do r. 1821, w którym pod koniec marca zdarzył mi się sen szczególniejszy. Było

to z soboty na niedzielę. Śniło mi się, że mi dwa przednie zęby wypadły. Budzę się wśród nocy i myślę: głupia ciemnota wierzy w ten przesąd, że to ma oznaczać śmierć któregoś z krewnych. Zasnąłem znów i powtarza się sen o tych zębach, jakoby szedł na mszę niedzielną do kościoła licealnego, przy którego schodkach kamiennych spotkałem Rudzkiego. Pozdrowiwszy się nawzajem, mówię mu o wypadłych we śnie u mnie dwóch zębach, a on odpowiedział:

— A pokaż je!

Zaśmiałem się i mimowolnie, śmiejąc się, pokażałem zęby, a on mi rzecze:

— A widzisz, przecie, że masz wszystkie.

Po takim powtórnym śnie obudziłem się o zwykłej porze; po kawie, usłyszawszy dzwony, idę na mszę. Przed kościołem na schodkach spotykam Rudzkiego; po zwykłych powitaniach, mówię mu, że we śnie marzyło się, jakoby utracił dwa przednie zęby, a Rudzki na to:

— A pokaż!

Zaśmiałem się tak, że on dostrzega przednie moje zęby i mówi:

— A widzisz, że są wszystkie!

I ta rozmowa nasza co do słowa śniła mi się. Żartowaliśmy sobie z wiary w sensne marzenia.

Po mszy, wychodząc z kościoła, idę z obojgiem państwem Rudzkimi i ich córką do nich. Za nami wchodzi pocztylion z poczty i oddaje Rudzkiemu pakiety z adresem do komisji, jakie on zwykle odbierał, a zarazem oddaje mu listy prywatne. Po odczytaniu głośno urzędowych czyta list któregoś z przyjaciół, pełne wesołości i dowcipu. Odpieczętował list drugi i cicho go czyta.

Biorę kapelusz i laskę, a on woła:

— Gdzie odchodzisz?

— Trzeba korzystać z pięknej pogody; pójdę do botanicznego ogrodu.

— I ja z tobą, ale do naszej sali. Uważałeś dwa ważne pisma urzędowe, które wymagają rychłej odpowiedzi. Wspólnie przejrzymy poprzednie w tych przedmiotach ekspedycje i ty jedne, a ja drugie zrezolwujemy, aby starosta Raciborowski gotowe jutro zastał i podpisał dla wysłania na pocztę.

Zgodziłem się na to. Gdyśmy szli do naszej jurydyki, niedaleko był od nas drugi dom Rudzkiego, o piętze, murowany. On, spojrzawszy na ten dom, przemówił:

— Patrz-no, jak dziwaczy arystokracja! Pani Potocka, najmując u mnie ten dom, zapłaciła z góry umówioną całoroczną należność dwieście dukatów. I nie mieszkając, jak dwa miesiące, przeniosła się do zajezdneho żydowskiego domu, na szerokiej ulicy, a to jedynie dla tego, że w moim domu umarła jej ośmioletnia córeczka. Zwracałem jej pieniądze, potrącając tylko, co mi za dwa miesiące należy, przyjąć nie chciała i dom mój pustką dziś stoi.

— Ja tego — rzekłem — dziwactwem nie nazwę; skoro jako bogata, ma środki po temu, to do brze czyni, że unika bolesnego w tym domu przypomnienia tak ciężkiej straty.

On stanął i patrzac mi w oczy.

— Co? — zapytał: — czy ty w jej położeniu, na jakąbądź najcięższą stratę nie miałbyś potrzebnej w życiu naszym wytrwałości?

— Dlaczego mnie o to badasz? Czy masz objawić mi coś smutnego?

— Nie! lecz miałem cię za filozofa na wszelki nieprzewidziany wypadek.

Wchodzimy do murów komisji. On zajrzał do kancelaryi, wziął klucz do sali i poleca jednemu z kancelistów, aby przyniósł do sali szklanekę wody. Opanował mnie niepokój i mówię mu w sali:

— Przeczuję, że coś okropnego masz mi objawić. Mów już, proszę, bo niepewność mnie męczy. Zostawiłem siostrę chorą.

— Upewniam cię, że siostra twoja żyje.

— A więc ktoś inny umarł?

— A gdyby tak być miało? Pamiętaj na konieczny w naturze porządek, że starsi muszą w tem młodszych uprzedzić.

— Boże! — zawołałam — rodzice moi!

— Nie, nie, ojciec twój żyje.

— A więc matka!

— Tak — rzece, zbliżając się do stojącej tam szklanki z wodą — straciłeś ją.

Gdy ja zalewam się łzami, biegając po sali, on mi prawi:

— Stuchaj! miałem i ja dobrych rodziców, miałem jedyną siostrę, która była za pułkownikiem Łubą. Pomarli rodzice i siostra; zostałem od lat piętnastu sam jeden z rodziny, jak po żniwach zostawiony zeschnięty badyl na ścierni, do którego i bydłę się nie zbliży. Płakałem, jak ty dziś płaczesz. Jakież na to srodek? Spróbuj tego: wyobraź sobie, że twoja matka lat temu piętnaście umarła, a bez łez będziesz mówił o tem, jak ja tobie prawię o mojem zupełnem sieroctwie.

Pożegnałem go w nieutulonym płaczu, prosząc, aby przez parę tygodni odbierał ekspedycje do mnie adresowane, nim wrócę od mego ojca, a sam spieszę do siebie. Tam polecam lokajowi najać brykę furmańską, którą pojedę mil kilkanaście, aby natychmiast była gotową do wyjazdu.

Z boleścią synowskiego serca idę pożegnać ciotki moje. Zaledwie ich próg przestąpiłem, Postruska rzuca spojrzenie na twarz moją, podnosi ręce i zawoła:

— Boże wielki! Jakieś nieszczęście!

Tu łzy mi się puściły.

— Tak! Matki już nie mam!

Dobra Bogunia matki mej nie znała, ale załem moim przejęta, załamuje ręce i płacze.

Po południu wyjechałem z Krzemieńca. Wieczorem około godziny dziewiątej stanąłem na noc w Jampolu. W pierwszej izbie żydzi osztachetowali sypialnię dla siebie; pod temi sztachetami na łóżku zastałem kogoś już śpiącego. O dwa kroki od niego stało pod ścianą drugie łóżko; na niem lokaj mój rozesał pościel. Spakany, zmęczony bryką furmańską przez cztery mile, nie chciałem herbaty, którą mój stary Antoni już przygotował. Gdy rozebrany położyłem się, a on świecę zabrał, drugi lokaj przechodzi z alkierza przez tę izbę do sieni. Wówczas odezwał się mój bliźutki sąsiad:

— Pamiętaj, Michale, aby koniom dano obrok do-dnia, bo bardzo rano wyjedziemy.

Zostaliśmy sam-na-sam i po ciemku. Poczuwając się do winy względem sąsiada, odezwałem się:

— Przepraszam pana, żem go przebudził!

— Ja nie pan.

Sądząc, że jakiś oficyalista przez skromność nie przyjmuje tytułu pan, mówię:

— Ktokolwiek, panie, jesteś, zawsze go przepraszam.

— Jabo nie pan.

— A więc przepraszam panią.

— Ja nie pani, ale panna.

Pomyślałem sobie:

— Zbieg dziwny łez i śmiechu. Dzień zacząłem tragicznie, a kończę go na komedyi.

Potrzebaż jej się przyznawać do tego panieństwa? Niegrzeczny byłem; stłumiwszy śmiech w sobie, zamilkłem, a odwrócony do ściany, niebawem usnąłem. Gdybym wówczas był zdrów na zboleiałem sercu, o! pewniebym ją zabawiał jakąbądź rozmową.

Co do snu mego o wypadkach mi dwóch zębach żartujemy sobie z uprzedzeń i przesądów prostoty, a podobno dotąd najślawniejsi z nauki nie dociekli zasady sprawdzania się niekiedy snów naszytch

wedle przepowiedni gminnych. U kochanego ojca mogłem dowiedzieć się, że w dniu jednym i teje godziny skończyła życie matka moja i żona cioteczno-go brata mego, Ignacego Budzyńskiego, z domu Ilińska, o miłą od nas, we wsi Michałowce, którą jak wyżej jest wzmianka, w roku 1810, prowadziłem do ślubu, i którą jak siostrę kochałem, nie przewidując wcale, aby syn jej, Michał, miał być później zięciem moim.

Wracam do urzędu mego w komisji edukacyjnej. Miewałem tam niekiedy sceny dość patetyczne. Jedna z takich mianowicie utkwiła mi w pamięci. Oto jeszcze za życia Czackiego, który z nadzwyczajną gorliwością umiał skutecznie przemawiać do obywateli trzech zachodnich gubernij o pomnożenie przez ich ofiary funduszów na publiczne wychowanie, doktor Lernet, w Dubnie mieszkający, pomny, że dobry był swój winien był Wołynianom, z kapitałów, zebranych w powołaniu swoim, ofiarował dwakroć pięćdziesiąt tysięcy złotych, od których procent szósty przeznaczył na utrzymanie czterech ubogich uczniów przy gimnazyum, później liceum Krzemienieckiem, z warunkiem, że owe procenta wystarczać miały nietylko na ukończenie ich nauk w uniwersytecie, ale i na ostateczne ich kształcenie w wyższym stopniu za granicą, a potem, po ich powrocie, na uposażenie każdego z nich po trzy tysiące rubli srebrnych. Majętny obywatel powiatu Dubieńskiego, marszałek Żegocki, znany osobiście Tadeuszowi Czackiemu, złożył przed nim świadectwo sądu powiatowego, jako jego majątek żadnym długiem nie jest obciążony i żądał, aby ofiara Lerneta była mu powierzona. Umawiając się o to, przyjął warunek, że odstąpi majątek jego, na którym suma powyższa ma być ubezpieczona, ulegać będzie prawom dóbr pojezuickich, to jest, że obciążać go innemi nie może, ani sprzedawać bez wiedzy władzy edukacyjnej.

Cała ta czynność przed właściwemi aktami są-

du powiatowego była przez pana Żegockiego przyznana. Za życia Czackiego ewiktor najakuratniej z corocznych uiszczal się procentów; lecz później zaczęły się formować zaległości; nakoniec, gdy po Borkowskim objąłem urząd, już zaległość procentów wynosiła pięćdziesiąt tysięcy złotych, a na majątku p. Żegockiego okazała się znaczna już suma aktykowanych długów prywatnych. Komisya edukacyjna za pośrednictwem rządu gubernialnego upominała się o uzyskanie zaległych procentów a prywatni wierzyciele, porządkiem ówczesnych praw polskich, pozwali dłużnika do rozbioru. Nim przystąpiono do tej ostateczności, sąd właściwy, widząc położony warunek przy ubezpieczeniu ofiary Lerneta, odniósł się w tej sprawie do komisji edukacyjnej. Zjechali się do Krzemieńca pan Żegocki i jego kredytorowie i naprzód udali się z nim do mnie. Okazałem zdziwienie, iż sąd powiatowy przyjmował aktykowanie prywatnych długów na majątku, mającym tytuł dóbr pojezuickich; w końcu zbyłem wierzycieli zasmuconych tą uwagą, że decyzya w tej sprawie nie ode mnie, lecz od sądu komisji zależy. Wyszli wszyscy skłopotani, a pozostał pan Żegocki. Skoro za tamtymi drzwi się zamknęły, dłużnik, bez względu na swój włos siwy, na poważny swój ubiór w kontuszu ze wstęgą i gwiazdą Św. Stanisława, klęka przedemną i pocichu mówi:

— Panie! Ja szelma jestem! Ale mam troje dzieci, dwóch synów i córkę. Zlituj się, panie, nad niemi! Ratuj mnie! Nie dopuszczaj do rozszarpania moich funduszów przez rozbiór. Wszak to w mocy pana stanąć niezachwianie przy tem, że te dobra, jakby pojezuickie, pod rozbiór oddane być nie mogą! Prawda, że mój łotrówstwo popełnił, zaciągając na mój majątek liczne długi prywatne! Ale dzieci moje, dzieci ratuj, panie!

Mówiąc to, lzy ocierał. Zaledwie ukląkł, pod-



noszę go, a po skończonych jego błaganiach, rzekłem:

— Panie marszałku! gdybyś pan nie był nawet u mnie, wiadomo mu z ubezpieczenia ofiary Lerneta, że przedstawienie tej sprawy do sądu komisji zależne odemnie, musi nastąpić koniecznie w myśl pana, bo taki jest warunek, przez niego sądownie przyznany; ale jakie będzie postanowienie komisji, tego przewidzieć nie mogę.

Po wyjściu Żegockiego udałem się natychmiast do prezesa Michała Sobkańskiego, z kąd weszliśmy razem do naszej sali. Tam po rozmaitych debatach w towarzystwie szefa, Józefa Drzewieckiego, Feliksa Czackiego i Romualda Steckiego, członków komisji, stało na kwestyi podanej przez prezesa:

„Jaki jest cel komisji? Oto mamy dbać o to mianowicie, aby fundusz edukacyjny nie poniósł najmniejszego uszczerbku. Dostyć już było krzyków przeciw komisji; w tej sprawie pokażemy, że gdzie są środki dogodzenia obu stronom, to jest funduszowi edukacyjnemu i stronie odpornej, komisya, o ile może, czyni powolność dla obywateli. Chociaż majątek pana Żegockiego, jak przedstawia plenipotent funduszów edukacyjnych, ulega prawom dóbr po-jezuickich, przecież, aby jego wierzyciele nie ponieśli krzywdy wynikłej z ich łatwowierności, dozwólmy spełnić rozbiór, ale z tym warunkiem, aby kollokatorowie, nie odnosząc się jeden do drugiego, składali corocznie w terminie właściwym należny od ofiary Lerneta procent pod karą konfiskaty całego majątku. A co do zaległości procentów, wynoszącej pięćdziesiąt tysięcy złotych, aby kredytor największą mający sumę na majątku Żegockiego tę zaległość ubezpieczył na własnych w ziemi funduszach z obowiązkiem odpłacania procentu“.

Taka decyzja komisji tegoż dnia ogłoszoną została. Kredytorowie z wdzięcznością to postanowienie przyjęli; a jeden z nich, największą mający

sumę na tym majątku, ksiądz kanonik (zda się) Wykiński, oświadczył zapisać przed aktami bezpieczeństwa dla sumy zaległych procentów na własnej wiosce wprzód, nim sąd rozbiorowy przystąpi do oblikwidacyi długów pana Żegockiego; a za to owe 50 tysięcy zł. mają być w oblikwidacyi zaliczone jako jego należność.

Biedak Żegocki, bądź dla wstydu, bądź przewidując dekret przeciw sobie, ani się pokazał w komisji.

Dziś nie wiem, co się stało z ofiarą Lerneta po zamknięciu liceum krzemienieckiego i po przeniesieniu wszelkich jego funduszów na uniwersytet kijowski. To tylko wiem z pewnością, że wiele było zapisów obywatelskich z takim zastrzeżeniem, że od sumy ofiarowanej na liceum mają się optacać procenty do czasu trwania tego instytutu w Krzemieńcu. Po zniesieniu zaś owego liceum, gdy na zasadzie tego zastrzeżenia obywatele odmawiali procentów i ta okoliczność przedstawioną została cesarzowi Mikołajowi, cesarz najmiłościwiej rozkazał powiedzieć im, że dziś mają więcej niż liceum, bo uniwersytet Ś-go Włodzimierza w Kijowie; i polecono, aby bez względu na warunki, władza miejscowa, z mocy zapisów, wyzyskała natychmiast od wszystkich obywateli ich ofiary na liceum w sumach kapitałnych razem z procentami.

Z pomiędzy członków komisji edukacyjnej, z których wszyscy bez wyjątku odznaczali się szlachetnością charakteru i poświęceniem dla dobra społeczeństwa, najwięcej mnie zaszczycałi otwartą a szczerą życzliwością: zacny Romuald Stecki, później prezes wołyńskiego sądu głównego departamentu cywilnego, i starosta czerwonogrodzki, Ludwik Raciborowski. Starzec ten, osiemdziesięciokilkoletni, niegdyś za czasów Rzeczypospolitej zasiadający w asesoryi koronnej w Warszawie, miał nabita głowę tą epoką, a przytem żywą pamięć szczegółów przeszłości. Opowiadanie jego

było rozwlekłe, lecz we mnie miał zawsze chętnego słuchacza; może ztąd przychylność jego zjednałem. Często mnie zapraszał na *sam-na-sam obiadek*, jak nazywał, a przecież była to dwugodzinna zwykle wytworna uczta, gdzieśmy we dwóch tylko przy ciągłej jego gawędce wesoło biesiadowali. Ku temu przybór stołowy, odpowiedni milionowej jego na Podolu posiadłości, odznaczał się i bogactwem i kosztownymi przysmakami, gdzie obok cukrów i konfitur stało kilka butelek wybornego wina w rozmaitych gatunkach, z których po każdej potrawie z innej butelki, za naleganiami gospodarza i jego przykładem, wychylać dobrej miary kieliszek musiałem. Dodawszy do tego likiery przedobiedne i po kawie, nie wiem, jak ja wyglądałem, lecz starosta wstawał od stołu tak czerwony, że mógłby zwać się afiszem na burgońskie wino. Nawiedzał on i mnie niekiedy. Ztąd wynikiłe zdarzenie stało się pamiętnem.

Mój cioteczny brat, Ignacy Budzyński, dowiedziawszy się o pięknej wymowie licealnego kaznodziei, kapucyna księdza Prokopa, pisał raz do mnie, abym go zawiadomił, kiedy z pewnością słyszeć może jego kazanie. A ponieważ za daleko mieszkał od poczty, przeto swój list wyprawił do Krzemieńca przez umyślnego. Wkrótce miało być święto, nie pomnę jakie, w którym to dniu ksiądz Prokop miał wejść na ambonę. Doniosłem o tym terminie Ignacemu, wzywając go na przeddzień owego święta. Akuratnie przybył.

Nazajutrz rano, gdy około dziewiątej godziny siedzimy przy herbacie, dostrzegam przez okno, że po schodach mojego ganku dąży poważny starosta, wstępując do mnie w drodze do kościoła.

— Oto idzie — mówię bratu — antyk z XVIII wieku; rad jestem, że ty go poznasz; bo w młodości swojej ocierając się o dwór Stanisława-Augusta, ma o czem mówić.

Po przywitaniu gościa, prezentuję mu Ignacego.

Starzec, lubo już po herbacie, nie odmówił szklanki; a wnet zacząwszy prawić o herbacie i o kawie, o zmienności upodobań wyższego niegdyś towarzystwa, gdzie i o czekoladzie nie zapomniał, wpada potoczycie w artykuł obyczajów, znanych niegdyś sobie pierwszych domów w stolicy. Jedno z drugiego szybkim wypływa porządkiem, aż się oparł w końcu o zajmujące intrygi miłosne, w czem król jego-ność dawał przykład i wzór ku naśladowaniu. Popijał z wolna herbatą dawno już ostygłą swoje opowiadanie, a my w milczeniu, radzi słuchamy tej żyjącej kroniki. Wtem zgiełk jakiś doszedł do uszu. Spojrzałem w okno i widzę wracających gromadnie uczniów z kościoła. Szepnąłem więc Ignacemu:

— *La peine et les depenses perdues?* Już po kazaniu!

Ignacy schwył się za głowę.

— Co to panu? — pyta starosta — czy nie mój ból głowy? Na to bardzo skuteczna jest herbata zielona.

— Dość mi już na czarnej — odpowie mu.

Pożegnaliśmy odchodzącego starostę, a Ignacy wyjechał z żalem, że przez jego gawędę utracił kazanie, na które po jesiennej złej drodze pędził mil kilkanaście.

Kazania księdza Prokopa były istotnie warte trudów podróży. Organ jego mowy odznaczał się tak dziwną łagodnością i słodyczą, iż gdy z Pisma Ś go tekst wyjęty rozwijał w nauce, zdało się, że sam Bóg obrał go na głoszenie słów Swoich. Każdy wyraz z ust jego wpływał do duszy słuchacza. Liceum winne było wyszukanie go trafne na kaznodzieję Tadeuszowi Czackiemu. Wielce szanowany przeze mnie ksiądz Prokop moim był spowiednikiem.

Co do wytwornych w Krzemieńcu obiadów, bywałem niekiedy w towarzystwie całego kompletu komisji u jej prezesa, Michała Sobańskiego, a niekiedy

u jej członów: księcia Maksymiliana Jabłonowskiego i Feliksa Czackiego.

Raz na uczcie u prezesa poznałem hr. Wacława Rzewuskiego, sławnego orientalistę, w stroju muzułmańskim. Głośny emir Beduinów, zastanawiał się w ciągu obiadu nad ilością potraw u stołów europejskich i opowiadając nam goszczenie swoje w Arabii, przywodził, że w gorącym klimacie tamtejszych pustyń jeden migdał na dzień dostatecznym jest pokarmem dla człowieka. Nikt nie śmiał temu zaprzeczyć, ale przychodziło na myśl, czy to nie migdał palmy kokosowej, dochodzący wielkości głowy człowieka?

Rozprawiał w sposób zajmujący o szlachetnym charakterze Arabów, o ich rycerskich cnotach i o świętem dla nich prawie gościnności. Lecz mówiono mi, że dniem wprzód, gdy był na wieczery u pani starościny Czackiej, siostra jej, pani generałowa Wielhorska, mocno go zmieszała. Rzucono tam kwestyę, czem trudnią się Beduini, których on był emirem.

On na to:

— Tych Beduinów jest powołanie rycerskie, zawsze na dzielnych koniach napadają na karawany kupieckie lub na pielgrzymów, dążących do Mekki. Utrzymują się z drogo im opłacanej karty bezpieczeństwa, albo z rabunku i mordów, życie czynne w nieustannych walkach!

Tu pani Wielhorska z oburzeniem przerywa:

— Czyliż to zasługuje na tytuł dawnych rycerzy, których powołaniem było prostować wszelkie zboczenia społeczeństwa i bronić niewinności? Przebac, panie hrabio! Wydziwić się nie mogę, żeś pan przyjął dostojność emira nad nimi! Wszakże z pomiędzy krajów europejskich w najwyżej ucywilizowanym podobnych rozbójników zwykle skazują na szubienicę.

Zmieszany hrabia, odpowiedział znanem przysłowiem:

— Co kraj, to obyczaj.

Później, mieszkając jeszcze w Krzemieńcu, w podróży do mego ojca, gdym przejeżdżał przez Krzywiny i wstąpił do księcia Maksymiliana Jabłonowskiego, zastałem tam hrabiego Wacława Rzewuskiego. Było to już po ukazie Aleksandra I, wzbraniającym wszelkich obcych dla Rosyi ubiorów, wtenczas, gdy kontusz hrabiego Piotra Moszyńskiego w czasie rewii pod Wozniesieńskiem dał powód do potępienia zarazem i togi tureckiej emira. Ujrzałem go też u księcia w granatowej czamarze z pętlcami, skromnie ubranego, bez brody, a o żółtawych tylko wąsach, przy jakich widzieć go zdarzyło mi się r. 1810 po raz pierwszy w Żytomierzu, w bogatym węgierskim mundurze pułku huzarskiego, którego, służąc w Austrii, był rotmistrzem.

W Krzywiniu, gdy nam po wieczery podano fajki, on się odezwał:

— Pozwól, książę, ażebym przynajmniej po wschodniemu usiadł swobodnie!

Książę uśmiechnięty chętnie na to zezwolił. Owóż przy stoliku, gdzieśmy byli we trzech, on usiadł na dywanie, podłożywszy nogi na krzyż złożone pod siebie. Po raz ostatni widziałem go wówczas. Zginął w powstaniu podolskiem roku 1831.

Był to człowiek uczony. Historia tegoczesna wspomina o nim, że badał języki wschodnie i wspierał dzieło: „Kopalnie wschodnie.“ Żyje on jeszcze w pieśniach rusińskich znanego w naszej literaturze poety, Tomasza Padury, który z nim podróżował po Wschodzie.

Z urzędu mego przy komisji edukacyjnej było obowiązkiem bronić funduszu, na wychowanie publiczne przeznaczonego, od wszelkiej nieprawej napaści. Za czasów Rzeczypospolitej każdy starosta grodowy był dożywotnim posiadaczem i tego urzędu i dóbr, do jego starostwa należących. Po śmierci strażnika

koronnego, Janusza księcia Sanguszki, który mieszka w Zaslawiu, a był starostą krzemienieckim, cesarz Aleksander I nadał to starostwo wiecznymi czasy dla gimnazjum, później liceum wołyńskiego. Dobra te graniczą z ziemią wiszniowiecką.

Spór o granice, rozpoczęty pod panowaniem Stanisława - Augusta, był nierozwiązany po rok 1822-gi. Znaczny obszar lasu był w tak zwanej „dyferencji“, przez obie strony nieużywany. Przed rozbiorem Polski starosta, książę Sanguszko, wyjednywał u tronu zjazdy komisji z dostojnych dygnitarzy złożone, które nigdy ostatecznie owego sporu rozwiązać nie chciały, a owa „dyferencja“, przez obie strony była nietknięta. Na przedstawienie prefekta liceum, Antoniego Jarkowskiego, który po śmierci Felińskiego zastępował miejsce dyrektora i ztąd miał pod swoim zarządkiem dobra starostwa niegdyś krzemienieckiego, zarząd imperatorskiego wileńskiego uniwersytetu odniósł się do Karola hr. Mniszcha, dziedzica dóbr wiszniowieckich, z propozycją kompromisu w tej sprawie. I obie strony obrały sędzią polubownym, zrzekając się wszelkiej apelacji, Jana Wyleżyńskiego, wizytatora szkół trzech zachodnich gubernij. Dokumenty, obejmujące ten proces, w osobnej skrzynce złożone, a od kilkudziesięciu lat nietknięte, w mojem były archiwum.

Pan Antoni Jarkowski powiedział mi, że powyższa sprawa o granice ma być rozwiązana ostatecznie przez kompromis bezapelacyjny, którego przeprowadzenie na korzyść liceum zależeć będzie od dokładnego wyjaśnienia interesu i że on, wiedząc, jak liczne w tej sprawie zapadały dawniej dekreta, od których starosta krzemieniecki apelował do wyższej władzy, z czego nie mała wyniknie praca ku zebraniu literalnych za liceum dowodów, wezwał listem swoim magistra prawa, niedawno przybyłego z uniwersytetu, pana Padurę, który bawił na wsi, o mil kilka

od Krzemieńca, ażeby wspólnym ze mną przeglądem dokumentów przyniósł mi ulgę w tej pracy.

Ja, dowiedziawszy się, że ów magister prawa jest bratem znanego mi poety, Tomasza Padury, bardzo chętnie zgodziłem się na to. Lecz po wyjściu prefekta, powodowany ciekawością, wnet udałem się do naszej sali, gdzie skrzynka z papierami do tej sprawy nie przejrzana dotąd spoczywała.

Przyniesiono ją do mnie.

Dwa dni przesiedziałem z piórem w rękę, robiąc notatki z dekretów niegdyś komisji granicznych i z mapy starostwa krzemienieckiego. Z dektów, reduktów i decyzji, zupełnie przeciwnych prawdzie, powziąłem przekonanie, że ojciec dzisiejszego dziedzica dóbr wiszniowieckich, Michał Wandalin Mniszech, marszałek wielki koronny, pan możny i wyższego niż strażnik Sanguszko w kraju znaczenia, silniejsze niż on miał wpływy na komisje sądzące tę sprawę. Ale w dniu trzecim tej nad dokumentami zabawki całe wyjaśnienie zboczeń dawnych w tej sprawie sędziów w dwóch zawarłem arkuszach. Gdy już rzecz całą skończyłem, zjawił się u mnie młody magister prawa pan Padura. Rad byłem tej znajomości; grzeszny, pięknie ukształcony, a bez pedanterji, bardzo mi się podobał. Nie chciałem go nudzić czytaniem mojego w tej sprawie pisma, tylko mu podziękowałem za oświadczoną gotowość ulżenia w pracy, którą już bez niego dokonałem. Zabawiwszy krótko, pożegnał mnie i już go później nie widziałem, ani wiem, czy żyje.

Wyleżyński był wówczas w Krzemieńcu. Odniosłem mu moje wyjaśnienie. On zawierzył mojej prawości i nie czytając dokumentów, których treść rzetelną ze stron obu najwierniej w piśmie mojem przywołem, a to z dekretów komisji granicznych, ogłosił swój ostateczny wyrok na mojem wyjaśnieniu oparty i liceum sprawę wygrało bez mojego na grunt zjazdu.

W parę miesięcy potem pan Jarkowski z polecenia uniwersytetu złożył mi podziękowanie za dzielną obronę.

Z tego niegdyś starostwa krzemienieckiego miałem jeszcze dolegliwszy kłopot. Znani mi byli trzej bracia Malinowscy: Kajetan ożeniony z Mikuszewską, Józef<sup>1</sup> o którym wyżej wspomniałem, ożeniony z wdową księżną Ponińską, i Jakób, ożeniony z wojewodzianką Szwiejkowską. Wszyscy trzej po rodzicach nie więcej mieli jak jedną wieś Seweryny, którą później nabył mój krewny, Marcelli Budzyński. Lecz po bezdzietnych dwóch bogatych stryjach znaczny otrzymali w kapitałach i w ziemi spadek. Najstarszy z nich, Kajetan, wziął w udziale schedę po stryju, Łukaszu Malinowskim, który oprócz własnego, dziedzicznego majątku, jako wójt krzemieniecki, posiadał niegdyś blisko tego miasta wieś Folwarki, jego urzędowi przedwiecznie nadana.

Przybywa do mnie pan Kajetan i żąda, ażebym, jako im życzliwy, wskazał pewne środki do odebrania od liceum wioski, należącej niegdyś do jego stryja. Zdziwiłem się tej propozycji, a mając w świeżej pamięci przejrane papiery starostwa krzemienieckiego, przedstawiam mu naprzód: że wójtostwo, za konsensem króla, ustąpione zostało przez Łukasza Malinowskiego księciu Sanguszcze, staroście krzemieckiemu, i że ten konsens w orygnale z podpisem Stanisława Augusta mam w swoim archiwum. Powtóre: że gdyby nawet nie było tego ustępstwa, to ze śmiercią wójta wieś nadana temu urzędowi wraca do skarbu państwa, ażeby ją król nowym przywilejem następnemu nadał wójtowi. Ten przeto urzędnik był dożywotnim tylko posiadaczem wsi Folwarków, nie zaś dziedzicem, a przeto sukcesor jego, syn lub synowiec, nie ma prawa upominać się o tę wioskę.

Nic moje uwagi nie pomogły. Kajetan Malinowski, niezachwiany w mylnem uprzedzeniu, podał

z uroszczeniem swoim prośbę do komisji edukacyjnej i przegrał sprawę. Komisya bowiem, mając przed sobą konsens króla na powyższe ustępstwo i radanie cesarza Aleksandra I z wyrażeniem, że wszelkie około Krzemieńca wioski, z ich wyszczególnieniem, jakie były w dożywotniem posiadaniu Janusza księcia Sanguszki, a gdzie i wieś Folwarki jest zamieszczona, na wieczne czasy mają należeć do liceum, uroszczenia Kajetana Malinowskiego uznała za niesłuszne.

Biedny pan Kajetan na punkcie wójtostwa krzemienieckiego dostał jakby pomieszania zmysłów. Spotykając znajomych i nieznanym, opowiadał o niegodziwości komisji edukacyjnej, która mu wydarła wieś Folwarki. Cierpiałem z powodu jego zaślepienia.

Wspomnieć tu wypada, że w czasie pobytu mego w Krzemieńcu zjechała tam ze Lwowa na wezwanie dostojnych panów śpiewaczka europejskiej sławy, pani Catalani. Sprowadzono orkiestrę z Międzyrzecza, pod dyrekcją starego Kamińskiego, który niegdyś dawał mi lekcye gry na skrzypcach. Śpiew tej Włoszki dziwił i odurzał. Siła jej głosu tłumiała niekiedy całą orkiestrę, a trele nie różniły się od instrumentalnych. Płaciliśmy po dwa dukaty za wejście.

Salę ogromnych rozmiarów w murach liceum, szczerlnie była zajęta przez dwa wieczory, najlaskawiej nam odstąpiono. Z tem wszystkiem urok przez tę artystkę rzucony przemiął, jak dawny sen o jakiejś melodyi, gdy tymczasem proste, nieuczone nucenie mojej matki przy robocie domowej, ów śpiew jej pobożny: „Przed oczy Twoje, Panie!“ od lat dziecinnych dotąd brzmi w uszach jej syna!

Ta wizyta śpiewaczki była na początku wiosny 1820 roku. Karetą zjechała wprost przed mury licealne. Wyszło kilku arystokratów na jej powitanie. Jeden z nich, książę, miał narzucony na siebie płaszcz

migdałowy, cały podszyty drogim aksamitem. Torując więc przejście tej damie od stopni karety do schodów kamiennych, rzucił w błoto swój płaszcz jaśnie oświecony pod jej nogi. Dostojny towarzysz jego podbiegł, ażeby z nim łącznie podać jej rękę, gdy wysiadała z pojazdu. Chlubni mitrami na samym wstępie zmienili się na służalców Włoszki.

Nazajutrz po pierwszym jej śpiewie ulicę Ogrodową, gdzie był dom dla niej przeznaczony, uczczono ku wiekuiestej pamiętce napisem wielkimi literami: „Ulica Katalani.“

To odurzenie arystokracji podało pióro Stanisławowi Worcelowi, który posłał artykuł szyderyczy do wychodzącego pisma peryodycznego pod tytułem: *Wiadomości brukowe*. Doniesienie jego jest z wysepki „Rispa,“ co podzieliwszy na dwie zgłoski i czytając odwrotnie, znaczy „Paris.“ W tym artykule namacalnie dotknął niektórych czołem bijących przed artystką. Ztąd jeden hrabia, nazwany tam jej nieodstępny szambelanem, domyśliwszy się autora, wyzwał go na pojedynek. Wyzwany szukał we mnie sekundanta, ale ktoś z poważnych wiekiem skutecznie przedstawił obrażonemu wyrazy pacierza: „i odpuść nam nasze winy...“

Nawiedzali corocznie Krzemieniec muzycy rozmaitej narodowości, znani ze swej sławy, w przejeździe na kontrakty do Kijowa. Z pomiędzy nich najwięcej zyskał poklasków pamiętny mi Karol Lipiński. Po pierwszym jego koncercie złożyłem mu wizytę. Odwdzińczył mi się za tę grzeczność prześliczną grą arcy z waryacyami z tematu krajowego. Żalowałem, że był sam jeden, że nie było z kim podzielać mego zachwyty.

O! Muzyka dla mnie jest uroczą poezją duszy! Zda się, że niebo jest jej ojczyzną; że ona zstępuje do nas, jako przedsmak pośmiertnych, czystych rozkoszy — kto na nie zasłuży. Osiadły na wsi starzec, dziś nie mam sposobności zachwycać się grą Rom-

bergów i Lipińskich. Ale, przy osłabionych wiekiem nerwach, jakże często czuję lzy w oczach, gdy miła wnuka moja, kochana Marynia Czarnołócka, przemówi językiem Ogińskiego przy tortepianie! Wówczas, pod ciężarem niedoli własnej jęczę z nim w jego rzewnych polonezach i wzdycham do nadziemskiego życia aniołów!

Gdyby kto z pozytywnych, ceniący samą tylko rzeczywistość, czytał to moje uniesienie dla muzyki; pewnie z szyderyczym uśmiechem wyrzekłby stanowczo: — Oto jest dziecinnieja starzec, osłabiony na ciele i duchu! — Niech i tak będzie! Ja przeto niemniej dziękuję Bogu za te chwile słodkiej dla mnie rzewności!

A potem, czyliż w latach tylko zgrzybiałych starców lzy się dobywają na jakieś tkliwsze przemówienie do duszy? Bywa czasem jej usposobienie do silniejszego przejęcia się wyrazami uczucia, które lżę błogą wzbudzają. Ku chwale mojej przywidę zdarzenie podobne, najmniej spodziewane. Gdym jeszcze mieszkał w Krzemieńcu, pewna młoda osoba, pięknie ukształcona, objawiła mi pochlebne zdanie o mojej balladzie p. t. *Trzy krzyże* i deklamując z niej ustęp:

— Nikt nie śmiał płakać nad niemi,  
Kościół się wyrzekł opieki;  
Nie poświęcono tej ziemi  
Co ich złączyła na wieki! —

okazała współczucie nad grobem trojga nieszczęśliwych łzami, które w jej pięknych oczach widziałem.

O tej balladzie, która w swoim czasie nad swoją wartość odgłos otrzymała, powiem tu jeszcze słów kilka. Mieszkał w Krzemieńcu Józio książę Czetwertyński, znany pod tak spieszczonem imieniem, lubo już siwym okryty był włosem. Był to brat starszy poważanego w obywatelstwie księcia Dymitra, prezesa niegdyś sądu głównego wołyńskiego w cywilnym departamencie. Stary Józio głośnym był z sa-

meo ułożenia dziwakiem. Z lat dziecinnych kawaler maltański, mundur swój codziennie światu produkował. Śmiesznie nadstawiał się generalskiemi na ramionach bulonami, jakby dowodem wysokiej zasługi. Raz wystąpił na dzielnym koniu w zielonym wice-mundurze, z błyszczącemi bulonami, w czapeczce u brzegów złotem haftowanej, i pompatycznie przejeżdżał rynek. Żołnierz, stojący na głównej straży, dał znak całemu odwachowi do prezentowania broni, jak przed generałem.

Ta omyłka śmiech obudziła, a wojskowi polecili żołnierzom, aby odtąd nie zważać na bulony księcia. Znany mi on był z samego tylko widzenia w towarzystwach i chociaż tam zamieszkał z żoną dla wychowania córki, przecież nie szukając jego znajomości, nie byłem nigdy w ich domu. Ale raz, ku zdziwieniu memu, widzę z okna, że książe Józio spuszczoneym koczem podjeżdża pod mój ganek. Wchodzi i wita, jakby najlepiej mi znany.

Po pierwszych wyrazach zwykłej grzeczności spleśniałą mową, gdy proszony usiadł, zaczął od tego:

— Pan piszesz ballady. Czytałem, czytałem, bardzo pięknie pan to skomponował! Otóż ja chcę podać panu materiał do wierszy z dawnego czasu. Moje to własne a bardzo zajmujące zdarzenie. Mam dziś lat 56, a wówczas miałem lat kilka. Ojciec mój, kasztelan braclawski, przyjmował króla w Braclawiu. Otóż kazał guwernerowi, aby on nam trzem: mnie, Dymitrowi i Ludwikowi, skomponował mowy na powitanie króla, a to po francusku, po łacinie i po niemiecku. Robiono próby kilka razy i my recytowaliśmy bez omyłki. Ależ to nie żart, panie, mówić do króla! A odemnie, jako najstarszego, miało się zaczynać po francusku.

— To pewnie — rzekłem — było roku 1787, w podróży Stanisława-Augusta do Kaniowa dla wi-

dzenia się z Cesarzową Katarzyną II-gą. Książę wówczas miał lat dziewięć.

— A cóż to jest? Czy pan tam byłeś?

— Być nie mogłem, bom jeszcze nie żył; ale sam rachunek to pokazuje, skoro książe dziś liczy sobie lat 56.

— Tak, tak! Musi być tak. Uważajże pan. Karetą z królem zajeżdża pod nasz dom w Braclawiu. Już biskup z kropidłem w ręku przy święconej wodzie, mój ojciec kasztelan i nas trzech przy mnóstwie urzędników i obywateli stoimy na galeryi. Ja miałem na sobie pałowy mundur maltański, białą kitajką podszyty. Król po stopniach pojazdu zaledwie stanął przed nami; ja o krok podchodzę i głośno zacząłem:—*Sire!*—a ojciec chwyta mnie za ogon munduru i mówi:—Milcz, durniu! Tu biskup ma pierwszeństwo!—Co pan powiesz na to? czy to rzecz nie piękna do poezyi? Ach Boże, co się ze mną działo! Chciałbym wówczas pod ziemię się schować! Stoję okropnie zmieszany; biskup powitał króla kropidłem, a my na pokojach witali. Już mina moja nie była tęga, bo gdym ja mówił do króla, to słowa: milcz durniu! brzmiały ciągle w uszach. Zrób pan z tego balladę! Bardzo proszę, skomponuj pan, to prześliczna rzecz będzie!

— Przebacz, książe — odezwałem się — ten przedmiot jest nad moje siły. Szkoda, że Franciszek Zabłocki dawno już nie żyje; ten autor coś byłby napisał o tem dla sceny krajowej.

Ciemny jak w rogu, uwierzył temu książe Józio, nie wiedząc, że Zabłocki pisał tylko komedye.

Jeszcze o mojej balladzie. Podobała się ona staremu Mikołajowi Glücksbergowi, znanemu mi jeszcze w Warszawie, który ku znacznej swojej korzyści sprowadził do Krzemieńca liczny zbiór książek i własną założył drukarnię. Widząc się ze mną, prosił, abym mu pozwolił wydrukować tę moją ramotę,

a za to ma udzielić dla mnie kilkanaście jej egzemplarzy.

Łatwo mu było otrzymać zezwolenie cenzury, zależnej od zastępcy dyrektora liceum, p. Antoniego Jarkowskiego. Uścił się wkrótce z przyrzeczenia, dając mi kilkanaście obiecanych egzemplarzy, a trzysta ich, czy więcej, powiózł do Kijowa na styczniowe kontrakty. Wszelka, choć miernej wartości nowość, zwłaszcza w przedmiocie własnych okolic, zajmuje samą ciekawością. Chwalił mi się z wdzięcznością Glücksberg, że mu rozchwytano tę broszurkę z kilku kartek złożoną w cenie 50 kopiejek. Z liczby danych mi egzemplarzy, po udzieleniu krewnym i przyjaciołom, pozostało przy mnie pięć tylko, i te w marcu 1823 roku wywoziłem z Krzemieńca do wsi Czeczetówki, wziętej w dzierzawę, gdzie po trzech latach samotnego życia, lat cztery jeszcze już ożeniony, szczęśliwie z dobrą przeżyłem żoną. O moim związku małżeńskim pod właściwą datą zapiszę; a tu wracam do owych pięciu egzemplarzy mojej ballady. Tułały się one w zapomnieniu gdzieś pomiędzy moimi książkami.

Zona знаła te wiersze, będąc jeszcze panną, bo były o nich dość chlubne wspomnienia w pismach peryodycznych, przez jej ojca utrzymywanych. Raz zawitał do nas księgarz warszawski. Przeglądam jego katalog i wybieram dwa dzieła do nabycia. Przy badaniu o ostatnią cenę przypomniałem sobie moją ramotę i pytam, czy zechce przyjąć na rachunek jakiejś należności kilka egzemplarzy ballady, przez pana S. K. napisanej.

— A jaki jej tytuł?

— *Trzy krzyże pod Brykowem.*

— A któż to u mnie kupi? Nikt i trzech groszy nie da!

Uśmiechnąłem się na tę zniewagę, ale pocziwa żona mocno ją uczuła. Cała zarumieniona, pyta go:

— Czyliż panowie nie wozicie z sobą przy większych dziełach i tak małych broszurek? Skoro się zbywają, to przecież coś warte.

On na to:

— Nie dlatego ta ballada nieprzydatną jest dla mnie, że składa ją kilka tylko kartek, ale, że nikt jej nie kupi; bo po wszystkich dworach, począwszy od ekonomów i pisarzy, aż do paniczów i panien, wszyscy umieją ją na pamięć.

Z tryumfem spojrzała na mnie dobra moja żona i sutem za to księgarza uczciła śniadaniem.

Pojęcie wysokiego znaczenia umysłowego poety nie może być dostępne dla dziecka w latach kilku, lecz samo rymowanie jakiejbądź myśli, może je zajmować. Od lat dziecinnych dobieranie rymów najulubieńszą było mi zabawą.

Występowałem malcem będąc z kilku wierszykami na imieniny matki lub ojca, zwykle obwodząc takie powinszowanie wieńcem z listków i kwiatków własnej inwencji, rysowanych na ówciartce; było to w swoim czasie pociechą całego domu i podziwieniem sąsiadek. Ztąd później w szkołach łatwo mi już, obeznanemu z mechanizmem wiersza, dosięgać było pierwszeństwa nad kolegami w zadawanych nam elokubracjach. Ale gdym wyszedł z pod oka księży Pijarów i osiadł przy żytomierskiej palestrze i gdy ojciec silnie zaczął przemawiać o konieczności sposobienia się do urzędów sądowniczych, mając jedynie na celu zasługę w obywatelstwie, już nie było czasu myśleć o skarbieniu wielostronnej wiedzy, aby podsyć umysł do zawodu poety. Kilka wierszyków z serdecznego w młodości natchnienia stanowią tylko świadectwo, żem umiał rymować. Przypominam sobie, jak stał się dokuczliwym dla mnie nadany mi w okolicy tytuł dorywczego poety.

W ciągu dość długiej bezżenności mojej trwała uciążliwa moda panieńskich sztambuchów. Czy warto lub nie warto, uznano by prawie za impertynencyę



wymówienie się od przyznania rymem ujmujących przymiotów damie, która ze sztambuchem w rękę, z najśladzszym przymileniem w twarzy, ledwie nie mówi: — pochwal mnie! — Raz w Krzemieńcu zastałem u ciotki nieznaną mi pannę C. G., która kiedyś czytała w sztambuszkę Boguni mój wiersz do pączka. Tym razem przywiozła swój zlocisty sztambuch, aby schwycić rymowaną grzeczność. Prosi o pamiątkę zrobionej ze mną znajomości, a Bogunia wtyka pióro do ręki. Rad nierad skleiłem tych kilka wierszy:

— Gdy minął wiek omamień i przygasało czucie,  
Wypędzony z Parnasu, kląkłem przy statucie.  
U mnie statut jest bóstwo, jest żądzy podnieta,  
Pozwy są kupidyńcem, strzałami dekreta.  
W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha!  
Po cóż pozwy, dekreta weszyły do sztambucha!  
Przebac, pani, i przyjmij wyznanie najszczersze:  
Łatwiej robisz przyjaciół, niżeli ja wiersze.

Z pomiędzy mnóstwa grzeczności wymuszonych, jakie rozsiałem po sztambuchach bez najmniejszego wpływu serca, ten jeden wierszyk dla panny C. G. pozostał mi w pamięci. Nie zaliczam do ich ogółu trzech strofek do I. B., wyżej przywiedzionych, które się z duszy wylały.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.



119083/1

## DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Piłgusa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księstwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perelka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.
20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1825)**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
25. Zygmunt Krasiński. **Irydjon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.

Tom.

- 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*, z ilustr.
31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- 32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłumaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andréego balonem do bieguna**, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- 35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Prez z orężem!** historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasy**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 38 i 39. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego**, w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego*, z ilustr.
- 40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasieńskiej**, z przedmową *T. Jeske-Chońskiego*.
44. Wiktor Biernacki. **Nowe dziedziny widma**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- 45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
47. Juliusz Słowacki. **Beniowski**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
50. Adam Krechowicki. **Stella. — Tarłówna**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
51. G. Krahnmer. **Syberja i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej**, w tłumacz. i z przedmową *Włodz. Trąpczyńskiego*.
- 52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego**, z przedmową *Władysława Smoleńskiego*, z mapą dawnej Polski.
55. Adolf Dygasiński. **Wilk, psy i ludzie. — W puszczy**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- 56, 57. Marek Twain. **Przygody Huck'a**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
59. **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 60, 61. J. I. Kraszewski. **Barani Kozuszek**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
62. Marya Rodziewiczówna. **Straszny Dziadunio**, z przedmową *Adama Pługa*.
- 63, 64, 65. L. Gallet. **Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac**, przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilustr.

Tom.

- 66, 67. Oskar Mysing. **Berezyna**, w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąpczyńskiego*.
68. Konstanty Rengarten. **Pieszko do Chin**, w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
69. C. F. Gordon Cumming. **Zycie w Chinach**, w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
70. Michał Bałucki. **Przekłete pieniądze**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- 71, 72. Ferdynand Hoesick. **Miłość w życiu Zyg. Krasieńskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 73, 74. Kajetan Kraszewski. **Bartochowski**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- 75, 76, 77, 78, 79, 80. Cervantes. **Don Kiszot**, w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracyami G. Doręgo.
81. Edmund Biernacki. **Istota i granice wiedzy lekarskiej**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 82, 83. Anna Neumanowa. **Obrazy z życia na Wschodzie**, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracyami.
84. Stanisław Grudziński. **Półpanek**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- 85, 86. Teod. Tom. Jeż. **Nad rzekami Babilonu**. Powieść.
87. Teodor Jeske-Choński. **Historyczna powieść polska**. Studium krytyczno-literackie.
88. Włodzimierz Zagórski. **Wybór poezji**, z przedmową *Wiktora Gomulickiego*.
- 89, 91, 110. **Pamiętniki Szymona Konopackiego**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
90. Maciej Wierzbński. **Nowelle**, z przedmową *T. Jeske-Chońskiego*.
- I. Piotr Chmielowski. **Historja Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami.
92. S. M. Roguski. **Wilcze gardła**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- 93, 94. **Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a**, w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego*.
95. Ks. A. Brykczyński. **Listy z Włoch o sztuce kościelnej**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- 96, 97. Oskar Mysing. **Wróg Napoleona**, w przekładzie Topora.
- 98, 99, 100. Maurycy Jokay. **Serce kamienne**, z przedmową.
101. Roman Zawiliński. **Słowacy ich życie i literatura**, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracyami.
102. Sylweryusz Kondratowicz. **Całą siłą**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- II. Piotr Chmielowski. **Historja Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami.

Tom.

103. Gustaw Doliński. **Jak u nas chowano dzieci?** (Zarys dziejów pedagogii polskiej), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
104. Sewer. **Wśród pokus**, powieść z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
105. A. Seidel. **Transwaal i Boerowie**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami i mapką.
- 106, 107, 108. T. T. Jeż. **Ci i tamci**. Powieść z czasów kampanii węgierskiej.
109. Julian Mohort. **Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu**, z ilustracyami.



119 083/1

~~1047412~~